

BIULETYN IPN

nr 7-8 (52-53)/2016

# pamięć **PL**

**Ojciec Kolbe:**  
zakonnik, redaktor,  
męczennik

**Pogrom kielecki**

**Nieznane dzieciństwo  
Anny Walentynowicz**

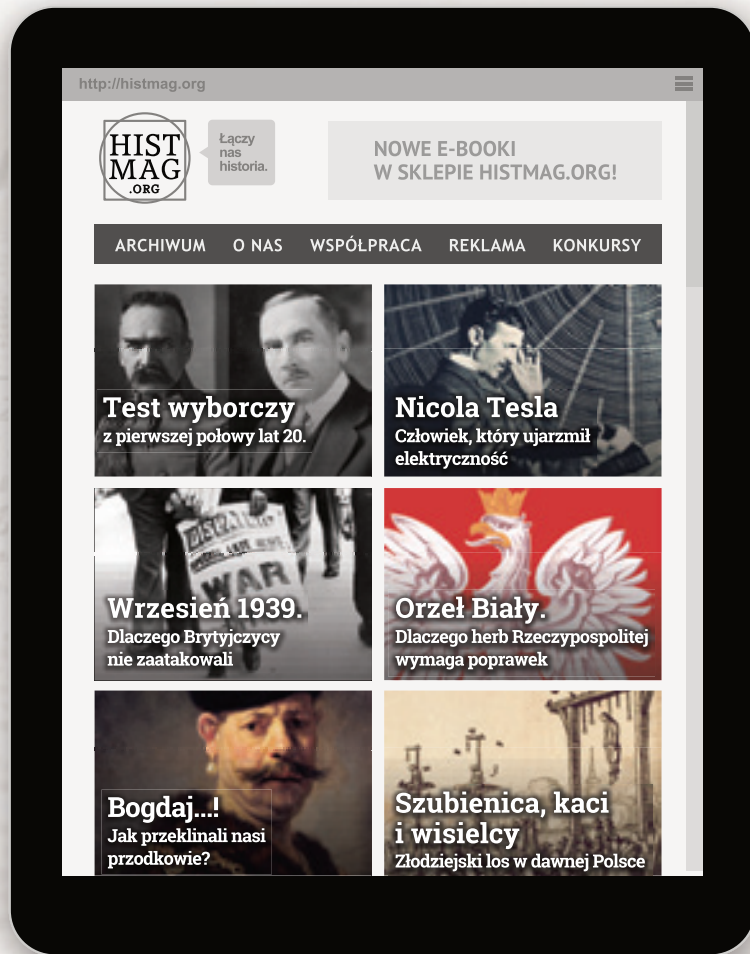
Cena 9 zł (5% VAT)



numer indeksu 284521  
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny:  
płyta z filmami  
*Kochankowie z lasu*  
i *Fotograf Solidarności*  
oraz emblematy  
na rocznicę Powstania  
Warszawskiego





# Najbardziej merytoryczny magazyn historyczny w Internecie

Histmag.org to najświeższe newsy, rzetelne artykuły popularnonaukowe, wnikliwe recenzje i zajmująca publicystyka. Wszystko co najlepsze w papierowych czasopismach, dzięki nam znajdziesz także online. Całkowicie za darmo!



Łączy nas historia!  
www.histmag.org

## MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 58 lat!

TEMAT MIESIĄCA:

### WOJSKO I SPOŁECZEŃSTWO W DZIEJACH RZECZYPOSPOLITEJ

- Drużyna Mieszka I. Rdzeń wczesnego państwa
- Obyczaj rycerski w średniowiecznej Polsce
- Armia Szlachecka Rzeczypospolitej Obojga Narodów
- Wojsko – symbol Drugiej RP
- Bitwy które przeszły do narodowej legendy
- Za wolność naszą i waszą
- Bitwa Warszawska 1920 roku

oraz recenzje, nowości historyczne i nowy dodatek historyczny „Pewne jak w banku”, przygotowywany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim. W 8 odcinku piszemy o bankowości internetowej

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: [ksiegarnia.bellona.pl](mailto:ksiegarnia.bellona.pl). Zamów prenumeratę: [kolportaz@bellona.pl](mailto:kolportaz@bellona.pl)

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: [www.mowiawieki.pl](http://www.mowiawieki.pl) oraz [www.facebook.com/mowiawieki](https://www.facebook.com/mowiawieki)

- 2** AKTUALNOŚCI IPN  
**4** KALENDARIUM  
**6** Z PIERWSZEJ STRONY

## FELIETON

- 8** Krzysztof Gottesman, *Chłopiec w autobusie*

## STOP-KLATKA

- 10** Robert Szcześniak, *Wolne państwo w sercu puszczy*

## Z ARCHIWUM IPN

- 14** Grzegorz Majchrzak, *Spacyfikować strajk*

## WYWIAD

- 16** *Przeżyliśmy własną śmierć* – rozmowa z Edwardem Zamiarą  
**20** *Gdy piosenka szła do wojska* – rozmowa z dr Karoliną Bittner  
**24** *Znak nadziei* – rozmowa z Andrzejem Gładkowskim

## WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 28** Sławomir Kalbarczyk, *Z ziemi sowieckiej do perskiej*  
**34** Szymon Nowak, *Niedoszła ucieczka „Zagończyka”*  
**38** Michał Butkiewicz, *Zbrodnia czasu ewakuacji*  
**43** Waldemar Brenda, *Kierunek: Prusy Wschodnie*  
**47** Igor Hałagida, *Nieznane dzieciństwo Anny Walentynowicz*  
**51** Barbara Bojaryn-Kazberuk, *Zginęli, bo byli Polakami*  
**54** Nikita Pietrow, *Oblawa Augustowska – pytania o liczbę ofiar*  
**55** Martyna Grądzka-Rejak, *„Jak was Hitler nie wykończył...”*  
**59** Magdalena Wnuk, *Szwedzki raj*  
**62** Małgorzata Żuławnik, *Zakonnik, redaktor, męczennik*



Fot. PAP/CAF



Fot. Igor Hałagida



Fot. ze zbiorów MWP



Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

## HISTORIA JEDNEJ FOTOGRAFII

- 67** Paweł Rokicki, *Dwie umowy, dwa zdjęcia*

## PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

- 70** Jerzy Eisler, *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*

## ORZEŁ BIAŁY

- 74** Tomasz Zawistowski, *Orły piotrogrodzkiego zegarmistrza*

## Z BRONIĄ W RĘKĘ

- 79** Michał Mackiewicz, *Zdobyczny arsenał AK*

## EDUKACJA HISTORYCZNA

- 82** Anna Klimowicz, *Relacje świadków, relacje ze świadkami*  
**84** Wojciech Sieroń, *Leguny na przepustce*

## AD VOCEM

- 86** *W obronie Antka Srebrnego*

## MIEJSCA Z HISTORIĄ

- 89** Katarzyna Dzierzbicka, *Mroczna historia „Jasnego Domu”*

## STRAŻNICY NARODOWEJ PAMIĘCI

- 94** Ewa Kowalska, *Artefakty katyńskie*

## WYSTAWY IPN

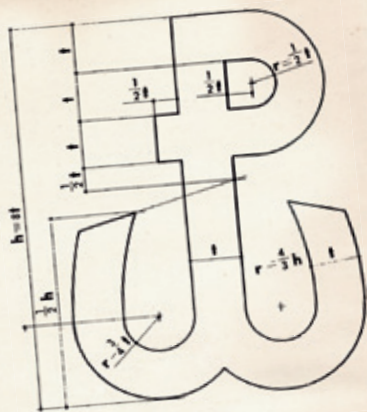
- 98** Andrzej Brzozowski, *Dowody ludobójstwa, świadectwo pamięci*

- 102** RECENZJE

- 105** BIBLIOTEKA IPN



Fot. PAP/Stefan Kraszewski



Fot. ze zbiorów Andrzeja Gładkowskiego

Szanowni Czytelnicy!

Tylko trzy ruchy, trzy maźnięcia farbą lub kredą – aby nakreślić znak Polski Walczącej i wlać nadzieję w serca Polaków, pokazać, że jeszcze nie zginęła. Tak niewiele, a ile to wymagało odwagi... Jak zawsze w sierpniu kotwica jest jakby coraz bardziej widoczna w przestrzeni publicznej. Pojawia się na muralach, na koszulkach, nawet wytatuowana na ramieniu. To symbol polskiego podziemia, a Powstania Warszawskiego w szczególności. O kotwicy rozmawiamy z Andrzejem Gładkowskim – harcerzem i uczestnikiem powstania, który wspomina o czasach, gdy jej malowanie wiązało się z ogromnym ryzykiem. Nośmy ten znak z szacunkiem jako symbol pamięci i hołdu powstańcom, nie traktujmy go wyłącznie jako modnego ornamentu. O tamtych latach rozmawiamy też z innym uczestnikiem powstania, Edwardem Zamiarą.

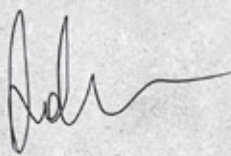
W tym roku mija siedemdziesiąt lat od dramatycznych wydarzeń, które na trwałe zapisały się w dziejach Kielc. Po latach niemieckiej okupacji i koszmarze Zagłady w lipcu 1946 roku Żydzi ponownie stali się ofiarami mordów. Pogrom kielecki to mroczna karta w historii miasta. Mroczna nie tylko ze względu na grozę, lecz także nie do końca wyjaśniony przebieg, a szczególnie kwestię inspiracji. O tropach w tej sprawie pisze Martyna Grądzka-Rejak.

W sierpniu 1942 roku z ZSRR została ewakuowana armia gen. Władysława Andersa. Utworzona mimo licznych trudności i przeszkód stawianych przez Stalina, w ciągu następnych lat wojny odegrała istotną rolę w zachodnim teatrze działań wojennych. Plan Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, wobec tych sił był jednak pierwotnie zupełnie inny. Kulisy ewakuacji andersowców opisuje Sławomir Kalbarczyk.

W numerze wspominaliśmy także dwie postaci symboliczne dla historii polski XX wieku. Małgorzata Żuławnik, w rocznicę męczeńskiej śmierci, opowiada o niezwykle wszechstronności, zmyśle organizacyjnym i determinacji św. Maksymiliana Kolbego, który m.in. potrafił od zera zbudować koncern wydawniczy i uruchomić istniejący do dziś ruch religijny. Drugą postacią jest Anna Walentynowicz. Nieznane dotąd szczegóły dotyczące jej pochodzenia i lat dzieciństwa poznał, przeanalizował i opisał Igor Hałagida. Życiorys Anny Solidarność – jak często bywa nazywana – to nie tylko wątki związane z walką o wolne związki zawodowe. To także dramatyczna historia związana z wydarzeniami, do których doszło w jej rodzinnych stronach – ludobójstwem Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej dokonany przez Ukraińców. Jak zauważył autor, ta nietuzinkowa postać może się stać łącznikiem między Polską a Ukrainą w trudnym konflikcie pamięci. W rocznicę masakry na Kresach prezentujemy także w numerze wystawę przygotowaną przez lubelski oddział IPN.

Do numeru dołączyliśmy – oprócz płyty z filmami dokumentalnymi – zestaw emblematów na rocznicę Powstania Warszawskiego. Korzystając z nich – nie tylko podczas uroczystości – pamiętajmy, co symbolizują. Pamiętajmy o tych, dzięki którym możemy je dziś z dumą i bez strachu nosić.

Redaktor naczelny  
Andrzej Brzozowski



**pamięć.pl**

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej  
– Komisja Ścigania Zbrodni  
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,  
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,  
dr Bartosz Kuświk,  
dr Tomasz Łabuszewski,  
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,  
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Szulc,  
dr Waldemar Wilczewski,  
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),  
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna:  
Andrzej Czyżewski, dr Dawid Gołik,  
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,  
Agnieszka Jaczyńska,  
dr Konrad Rokicki,  
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,  
dr Michał Siedziako, Emilia Świętochowska,  
dr Daniel Wicenty  
Redakcja: Andrzej Brzozowski  
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98,  
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,  
Jakub Gołębiowski, Andrzej Sujka,  
Karolina Wichowska  
Sekretariat: Maria Wiśniewska  
e-mail: maria.wisniewska@ipn.gov.pl  
tel. 22 581 88 19  
Korekta: dr Magdalena Baj  
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,  
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska  
Skład i łamanie: Hubert Rabiński  
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,  
Warszawa

Adres do korespondencji:  
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa  
www.ipn.gov.pl

Druk: „Legra” sp. z o.o.  
ul. Albatrosów 10c,  
30-716 Kraków

Redakcja nie zwraca materiałów  
niezamówionych i zastrzega sobie prawo  
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

■ Do 13 listopada w Stodole w Wylągów w Janowcu można oglądać **wystawę-instalację** Krzysztofa Findzińskiego „Przyczółek – береговой плацдарм – Landekopf. Janowiec 1944–1945”. Przypomina ona o wydarzeniach wojennych, które rozegrały się w okolicy Janowca między latem 1944 a styczniem 1945 roku, gdy trwały tam walki Armii Czerwonej z Wehrmachtem o zdobycie i umocnienie przyczółka na lewym brzegu Wisły. Ofiarami zmagania padli również miejscowi polscy mieszkańcy – bombardowani, ostrzeliwani, wysiedlani, już wcześniej doświadczeni okrucieństwami wojny. Organizatorem wydarzenia, nad którym patronat objął miesięcznik „Pamięć.pl”, jest Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym. Dofinansowania udzieliło Muzeum Historii Polski w ramach programu „Patriotyzm Jutra”.



■ 47 jednostek archiwalnych, w tym **fragmenty wojсковых akt personalnych Wojciecha Jaruzelskiego**, kopie stenogramów spotkań w Magdalence z lat 1988–1989, pisma i meldunki kierowane do gen. Jaruzelskiego m.in. przez resort spraw wewnętrznych, udostępnił 28 czerwca IPN. Dokumenty zostały zabezpieczone w lutym tego roku po przeszukaniu domu wdowy po zmarłym dwa lata temu Jaruzelskim. Czynności prokuratorskie były prowadzone w ramach śledztwa w sprawie ukrycia przez osobę do tego nieuprawnioną dokumentów podlegających przekazaniu do IPN.

■ 18 lipca na terenie Aresztu Śledczego Warszawa-Mokotów przy ul. Rakowieckiej 37 ruszyły **prace poszukiwawcze** prowadzone przez Biuro Poszukiwań i Identyfikacji IPN, którego dyrektorem jest wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej dr hab. Krzysztof Szwa-grzyk. Mają one na celu zlokalizowanie miejsc pochówku osób straconych i zamordowanych przy Rakowieckiej w latach 1945–1956. Pracami, nadzorowanymi przez prof. Szwa-grzyka, kieruje archeolog Jan Jagiełło. Uczestniczą w nich również pracownicy Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, które powstaje na terenie likwidowanego aresztu.

### Uzupełnienie

W numerze 4/2016 znalazł się niepełny opis fotografii pochodzącej ze zbiorów Ośrodka KARTA – autorem zdjęcia Edmunda Bałuki jest Maciej Jasiocki. Przepraszamy za brak tej informacji.

■ 9 czerwca poznaliśmy nazwiska kolejnych 22 **ofiar totalitaryzmów komunistycznego i narodowosocjalistycznego**, których szczątki udało się odnaleźć w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych m.in. przez IPN w Warszawie, Rzeszowie, Białymstoku, Tarnowie i Gdańsku. Uroczystość wręczenia rodzinom not identyfikacyjnych odbyła się w Pałacu Prezydenckim. Zidentyfikowani to: **Bronisław Chajęcki** „Boryna”, „Maciej Boryna” (1902–1953); **Adam Dedio** „Kopiec”, „Marynarz”, „Adrian”, „Draga” (1918–1947);

**Julian Dudyński** (1909–1942);

**Zygmunt Dudyński** (1907–1942);

**Aleksander Gąska** (1903–1948);

**Zygmunt Jezierski** „Jastrząb”, „Orzeł” (1925–1949);

**Jan Kaim** „Filip”, „Wiktor” (1912–1949);

**Czesław Kania** „Nalęcz”, „Witold”, „Wyrwa”, „Waldemar” (1909–1949);

**Zygmunt Kęska** „Świt”, „Krewny” (1917–1946);

**Władysław Antoni Koba** „Marcin”, „Rak”, „Tor”, „Żyła” (1914–1949);

**Stanisław Konczyński** „Kunda”, „Stary” (1914–1950);

**Tadeusz Masłoń** „Jul Wiesław” (1911–1942);

**Franciszek Nakoneczny** (1893–1942);

**Leopold Rząsa** „Wacław”, „Augustyn”, „Jesiotr” (1918–1949);

**Feliks Selmanowicz** „Zagończyk” (1904–1946);

**Stefan Skrzyszowski** „Bolek” (1911–1953);

**Jerzy Staniewicz** (1903–1952);

**Antoni Suchocki** (1920–1942);

**Antoni Trzepla** „Krakus” (1910–1948);

**Jan Wądołowski** (1934–1952);

**Klemens Wincenciuk** (1895–1942);

**Michał Jan Zygo** „Szymon” (1917–1949).

Bilans dotychczasowych prac poszukiwawczych, ekshumacyjnych i identyfikacyjnych zainicjowanych przez IPN w 2011 roku to ponad 800 osób odnalezionych i 66 zidentyfikowanych.



Fot. Piotr Życieński

► Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, w trakcie uroczystości 9 czerwca

■ Ukonstytuowało się **Kolegium IPN** – organ opiniodawczo-doradczy prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. W dziewięcioosobowym gremium znaleźli się **dr hab. Sławomir Cenckiewicz, prof. Jan Draus, prof. Piotr Franaszek, ks. prof. Józef Marecki i Krzysztof Wyszkowski** (wyłonieni 23 czerwca przez sejm), **prof. Wojciech Polak i prof. Tadeusz Wolsza** (wybrani dzień później przez senat) oraz **prof. Andrzej Nowak i Bronisław Wildstein** (wskazani 27 czerwca przez prezydenta Andrzeja Dudę). 28 czerwca kolegium na pierwszym posiedzeniu wybrało prof. Drausa na swojego przewodniczącego, a dr. hab. Cenckiewicza i prof. Wolszę – na zastępców przewodniczącego.



Fot. Piotr Życieński



Fot. Piotr Życieński

■ **Nowym prezesem Instytutu Pamięci Narodowej** został **dr Jarosław Szarek** – historyk i publicysta, dotychczas główny specjalista w Oddziałowym Biurze Edukacji Narodowej IPN w Krakowie. W latach osiemdziesiątych działał w opozycji antykomunistycznej; uczestniczył w pomocy internowanym i więzionym w czasie stanu wojennego, kolportował i drukował prasę podziemną. W 1991 roku ukończył studia na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stopień doktorski z historii uzyskał w 2011 roku na Wydziale Historii i Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Pracował m.in. w „Czasie Krakowskim” (1992–1997). Z IPN jest związany od 2000 roku. Jest autorem lub współautorem wielu książek, artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz wystaw historycznych. W 2007 roku został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Złotym Krzyżem Zasługi „za zasługi w dokumentowaniu prawdy o najnowszej historii Polski”.

Doktor Szarek objął urząd prezesa IPN 22 lipca, po złożeniu ślubowania przed sejmem. Dzień wcześniej sejm – za zgodą senatu – powołał go na pięcioletnią kadencję na tym stanowisku. Kandydatura dr. Szarka została rekomendowana przez Kolegium IPN, które – po przeprowadzeniu konkursu – podjęło w tej sprawie jednogłośnie decyzję.

## POSTAĆ MIESIĄCA

**3 sierpnia 1946:** Danuta Siedzikówna „Inka” została skazana na dwukrotną karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku.

Dorastała na Podlasiu w rodzinie o tradycjach patriotycznych. W 1943 roku straciła oboje rodziców. Ojciec Wacław, zesłany wcześniej przez Sowietów do katorżniczej pracy w kopalni w rejonie Nowosybirsk, podpadł na zdrowiu i zmarł w Iranie dwa lata po odzyskaniu wolności. Matka Eugenia, aresztowana przez gestapo za współpracę z Armią Krajową, została rozstrzelana w nieznanym miejscu koło Białegostoku. W grudniu tego samego roku Danuta i jej starsza siostra Wiesława wstąpiły do AK. Przeszły kurs dla sanitariuszek i działały w siatce konspiracyjnej Stanisława Wołonceja „Konusa”. Po przejściu frontu Danuta Siedzikówna pracowała jako kancelistka w nadleśnictwie w Narewce. W czerwcu 1945 roku, aresztowana wraz z pozostałymi pracownikami, została uwolniona przez żołnierzy podziemia niepodległościowego. Dołączyła w ten sposób do 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza



Fot. AIPI

▶ Danuta Siedzikówna „Inka” (1928–1946)

„Łupaszki”. Wykonywała zadania sanitariuszki, a niekiedy też łączniczki i wywiadowcy. 20 lipca 1946 roku została aresztowana w Gdańsku przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Oskarżono ją o nielegalne posiadanie broni, a także – fałszywie – o strzelanie do milicjanta i podżeganie do zabicia funkcjonariuszy UB. W trakcie śledztwa była bita, zastraszana i poniżana. Na karę śmierci skazano ją po jednoznacznej parodii procesu (w 1991 roku wyrok został uznany za nieważny przez Sąd Wojewódzki w Gdańsku). „Powiedźcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba” – pisała w grypsie z więzienia. 28 sierpnia niespełna osiemnastoletnia Siedzikówna stanęła przed plutonem egzekucyjnym. Jej zwłoki pogrzebano w nieoznaczonym grobie na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku. W 2014 roku szczątki zostały odnalezione przez zespół pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka z IPN. Osiem lat wcześniej Danuta Siedzikówna „Inka” została pośmiertnie odznaczona przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.



Fot. WBH

**4–6 lipca 1916:** Pod Kostiuchnówką Legiony Polskie stoczyły swą najkrwawszą bitwę z Rosjanami.

W czerwcu 1916 roku ruszyła wielka ofensywa wojsk rosyjskich przeciwko armiom państw centralnych – tzw. ofensywa Brusilowa. Na Polesiu Wołyńskim doszło do walk z udziałem Legionów Polskich. Główne uderzenie spadło na żołnierzy I Brygady, dowodzonej przez Józefa Piłsudskiego. Przez trzy dni Legiony Polskie skutecznie przetrzymywały napór przeważających liczebnie Rosjan. Po południu 6 lipca, w związku z fatalną sytuacją spowodowaną przełamaniem obrony sojuszniczych wojsk węgierskich, Komenda Legionów nakazała swym oddziałom opuszczenie zajmowanych pozycji. Polacy wycofali się za linię rzeki Stochód, gdzie niebawem walki przybrały charakter pozycyjny. Obrona pozycji pod Kostiuchnówką opóźniła ofensywę rosyjską i zapobiegła przerwaniu frontu. Poległo, zaginęło lub zostało rannych ok. 2 tys. legionistów. „Ogień artylerii, z nieznaną nam dotąd potęgą szalejący na naszych okopach, masowe ataki nieprzyjaciela, przebijanie się bagnietem przez piechotę wroga, masowe również szarże kawalerii rosyjskiej, wreszcie odwrót w nadzwyczajnie ciężkich warunkach – oto, cośmy przeszli w ciągu kilku dni” – czytamy w rozkazie Piłsudskiego wydanym kilka dni po tej bitwie.

**10 lipca 1941:** Co najmniej 340 osób zginęło w pogromie ludności żydowskiej w Jedwabnem pod Łomżą.

Do zbrodni doszło kilkanaście dni po napaści Niemiec na ZSRR i wkroczeniu Wehrmachtu na te ziemie II RP, które wcześniej – od września 1939 roku – znajdowały się pod okupacją sowiecką. Jedwabieński Żydzi zostali spędzeni na rynek. Kilkadziesiąt osób zabito w nieustalony sposób. Pozostałych Żydów poprowadzono do stodoły stojącej na obrzeżach miasteczka i spalono żywcem. Śledztwo prowadzone w latach 2000–2003 przez prok. Radosława Ignatiewa z Oddziału IPN w Białymstoku wykazało, że łącznie mord pochłonął co najmniej 340 ofiar – mężczyzn, kobiet i dzieci. „Przyjąć można, że zbrodnia w Jedwabnem została dokonana z niemieckiej inspiracji. [...] Wykonawcami zbrodni, jako sprawcy *sensu stricto*, byli polscy mieszkańcy Jedwabnego i okolic – mężczyźni, w liczbie co najmniej około 40 [...] uzbrojeni w kije, orczyki i inne narzędzia” – czytamy w uzasadnieniu postanowienia o umorzeniu śledztwa. W 1949 roku sąd w Łomży skazał w sprawie tego mordu dwanaście osób (dwie z nich uniewinnił później sąd apelacyjny), w tym jedną na karę śmierci, której jednak nie wykonano. Dziś część historyków domaga się dokończenia ekshumacji w Jedwabnem, tak by było możliwe precyzyjniejsze ustalenie przebiegu wydarzeń, w tym roli Niemców w pogromie. Wiosną 2001 roku odkryto dwa masowe groby ofiar, ale zrezygnowano z podnoszenia kości – z szacunku dla żydowskiej tradycji, która jest temu przeciwna.



Fot. Anna Fyzewska



► Ignacy Mościcki (1867–1946)

– w pewnym zakresie – możliwość wydawania rozporządzeń z mocą ustawy. Ograniczone zostały uprawnienia sejmu odnośnie do uchwalania wotum nieufności wobec rządu. „Nowela sierpniowa rozszerzała kompetencje Prezydenta RP i rządu kosztem parlamentu, którego rola była stopniowo pomniejszana. [...] Sprawami państwa faktycznie kierował [jednak] Józef Piłsudski” – podsumowuje w książce *Historia ustroju Polski w X–XX w.* prof. Marian Kallas.

**14 sierpnia 1941:** Prezydent USA Franklin Delano Roosevelt i premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill proklamowali Kartę Atlantycką.

Po wybuchu II wojny światowej Stany Zjednoczone początkowo unikały opowiedzenia się po którejjkolwiek z walczących stron. Zaniepokojone jednak rosnącą siłą Niemiec i ekspansją Japonii, stopniowo coraz wyraźniej wspierały przeciwników tych państw. Od 9 do 12 sierpnia 1941 roku na Atlantyku, na pokładzie brytyjskiego pancernika „Prince of Wales”, spotkali się prezydent Roosevelt i premier Churchill. 12 sierpnia obaj przywódcy podpisali, a dwa dni później proklamowali dokument określający cele polityki USA i Wielkiej Brytanii podczas II wojny światowej oraz wspólną wizję powojennych stosunków międzynarodowych. Sygnatariusze deklarowali, że nie dążą do zdobyczy terytorialnych i nie pragną zmian w tej dziedzinie sprzecznych z życzeniami „ludów zainteresowanych”. Dokument uznawał prawo wszystkich ludzi do wyboru „formy rządu, pod jakim chcą żyć”, podkreślał wolę przywrócenia niepodległości krajom jej pozbawionym oraz zapewnienia wszystkim państwom równego dostępu do surowców i światowego handlu. Zapowiadano nieprecyzyjnie stały „system ogólnego bezpieczeństwa” i kontrolę zbrojeń. 24 września tego samego roku, podczas międzynarodowej konferencji w Londynie, Kartę Atlantycką podpisali członkowie koalicji antyhitlerowskiej, w tym Polska i ZSRR. Moskwa nie zamierzała jednak respektować istotnych postanowień dokumentu.

**18 sierpnia 1976:**

W Radomiu zmarł ks. Roman Kotlarz, wspomagający robotników protestujących w Czerwcu '76.

Święcenia kapłańskie przyjął w 1954 roku. W emocjonalnych kazaniach piętnował antyreligijną propagandę władz PRL. W Koprzywnicy, gdzie był wikarym w końcu lat pięćdziesiątych, zaangażował się w obronę religii i krzyża w szkole. Od 1961 roku pełnił posługę w Pelagowie koło Radomia. 25 czerwca 1976 roku błogosławił pochód robotników protestujących w Radomiu przeciwko podwyżkom.



Fot. ze zbiorów Tomáša Švrtki

► Pogrzb ks. Romana Kotlarza (1928–1976)

w intencji represjonowanych przez władze uczestników radomskiego buntu. „Lud pracy, lud robotniczy miał słusne prawa i słusznie postąpił” – mówił w kazaniu z 11 lipca. Postawy nie zmienił nawet po tzw. rozmowie ostrzegawczej w prokuraturze. Był nachodzony i bity przez „nieznanych sprawców” – najprawdopodobniej funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. 15 sierpnia zasłabł przy ołtarzu, a trzy dni później zmarł w szpitalu w Krychnowicach. Oficjalna wersja mówiła o śmierci z przyczyn naturalnych. Kwestionowały to osoby z otoczenia księdza i historycy. Śledztwo podjęte w III RP zostało umorzone w czerwcu 1991 roku. Osiemnaście lat później ks. Roman Kotlarz został pośmiertnie odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Fot. PAP/CAF/Stanisław Wdowiński

**13 sierpnia 1951:** Przed Najwyższym Sądem Wojskowym zapadły wyroki w pokazowym procesie oficerów ludowego Wojska Polskiego.

Umocniwszy władzę w Polsce, komuniści przystąpili do czystek we własnych szeregach. Objęły one także armię. Wiosną 1950 roku aresztowano gen. Mariana Spychalskiego, wcześniej wiceministra obrony narodowej i członka Biura Politycznego KC PZPR. 31 lipca 1951 roku ruszył tzw. proces generałów, nazywany także procesem TUN – od nazwisk głównych oskarżonych: Stanisława Tatar, Mariana Utnika i Stanisława Nowickiego. Byli to oficerowie przedwojennego Wojska Polskiego, a później Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy po 1945 roku przeszli na stronę komunistów i umożliwili im zawłaszczenie części funduszy emigracyjnego rządu RP. W ludowym Wojsku Polskim objęły początkowo eksponowane stanowiska. Później jednak zostali aresztowani, fałszywie oskarżeni o zawiązanie w armii spisku antykomunistycznego oraz współpracę z wywiadami USA i Wielkiej Brytanii. Poddani wcześniej brutalnemu śledztwu – przyznali się do zarzucanych im czynów. Generalowie Tatar, Jerzy Kirchmayer, Franciszek Herman i Stefan Mossor zostali skazani na karę dożywotniego pozbawienia wolności, trzej pułkownicy, w tym Utnik i Nowicki – na 15 lat, a niżsi rangą oficerowie – na 12 lat więzienia. W tzw. procesach odpryskowych, powiązanych ze sprawą TUN, zapadło 37 wyroków śmierci (ponad połowę wykonano). Na fali odwilży politycznej 1956 roku wyroki wydane w procesie generałów zostały uchylone.

Cena dla Czechosłowacji: 28 marek  
Wydawca: WYDAWCA  
W Krakowie: 25 gr.  
ILUSTROWANY  
**KURYER CODZIENNY**  
Założyciel i Naczelny Redaktor Marjan Dąbrowski  
Cena numeru w Krakowie: 25 gr.

Wydanie 12 stron  
**Głos Wielkopolski**  
Poznań, wtorek 23 lipca 1946 r.  
P. Nr 199 (1946)  
**Magna Charta demokracji**  
W imię demokracji i wolności

### 25 sierpnia 1932 roku

25 lipca 1932 roku podpisano w Moskwie polsko-radziecki pakt o nieagresji, który dwa lata później został przedłużony do 31 grudnia 1945 roku. Postanowienia paktu zostały złamane przez Związek Radziecki najpierw przez tajny protokół do paktu Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku, a następnie przez agresję Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 roku.

Polacy od początku doskonale wiedzieli, że Sowieci nie są wiarygodnymi partnerami. Świadczy o tym artykuł, który ukazał się na łamach „**Ilustrowanego Kurjera Codziennego**” 25 sierpnia 1932 roku, a więc miesiąc po podpisaniu traktatu przez przedstawicieli II Rzeczypospolitej i ZSRR.

Autor artykułu *Drugim frontem – ku Kresom Wschodnim!*, dr St. Peters, pisał m.in.: „Nikt nie neguje wartości paktu o nieagresji z Sowietami, ale każdy, kto choć trochę orientuje się w stosunkach »po tamtej stronie«, nie może zapomnieć, że pakt został zawarty przez rząd sowiecki, a że obok rządu istnieje druga potęga, Komintern, który idzie swoją drogą do celu niezależnie od rządu (przynajmniej dla oka). Czy zaniecha on działalności w Polsce, a zwłaszcza na Kresach, po zawarciu paktu? Bardzo wątpliwe”.

Autor, nie negując bynajmniej zagrożenia niemieckiego, podkreślał, że między prowokacjami niemieckimi a bolszewickimi istnieje zasadnicza różnica: „Zachodni sąsiad prowokuje głośno [...]; ludzie Wschodu robią to cichaczem, bardziej chytrze, dzięki czemu zwracają mniej uwagi, a więcej zyskują. Cechuje ich podstęp i chytryść, a więc metody, które wymagają o wiele większej czujności. [...] Pakt o nieagresji nie może [...] postawić w cieniu Kresów Wschodnich. Bolszewicy nie wyrzekną się swych planów »przebudowy świata«, a teren kresowy jest specjalnie niebezpieczny, bo łatwo podatny na wszelkie wpływy i namowy z powodu niskiej oświaty chłopów. Są przecież na kresach miejscowości, gdzie trudno znaleźć »piśmiennych« ludzi wśród starszego pokolenia. [...] Jeżeli jesteśmy świadkami wspaniałego zjednoczenia się społeczeństwa w kierunku Kresów Zachodnich, to równocześnie musimy się zdobyć na taki sam wysiłek w kierunku Kresów Wschodnich. Społeczeństwo musi mieć owe dwie twarze mitycznego Janusa, musi umieć zdobyć się na wysiłek podwójnej uwagi. Jeśli zwróci się tylko w jedną stronę, mogą je spotkać wielkie niespodzianki. Bo jeśli słusznym jest powiedzenie, że »czas pracuje dla Polski«, to również słusznym jest twierdzenie, że ten sam czas pracuje i dla naszych wrogów. Dwa fronty dziś są konieczne, jeden ku morzu [czyli obrona przed prowokacjami niemieckimi], drugi ku Kresom Wschodnim [czyli obrona przed agresywnym Związkiem Radzieckim]”.

### 23 lipca 1946 roku

„Piękny lipcowy poranek. – Tłumy ludzi płyną ulicami miasta w kierunku Cytadeli. Już na godzinę przed czasem wyznaczonym na egzekucję Artura Greisera otwartą przestrzeń między cmentarzami u wylotu alei Pułaskiego, jak również przyległe ulice wypełnił tłum. Tłum ten rósł z każdą minutą i o godz. 7-mej przekroczył z pewnością znacznie liczbę sto tysięcy. Nastrój jednak jego odpowiadał powadze chwili. Zgromadzona masa ludzka uświadamia sobie, że nie przyszła tu po to, aby uczestniczyć w jakimś makabrycznym widowisku, lecz że zostaławołana do roli naoznacznych świadków w akcie wymiaru sprawiedliwości” – czytamy w „**Głosie Wielkopolskim**” (nr 199) z 23 lipca 1946 roku.

W artykule *Zbrodni nie popełnia się bezkarnie* redakcja zdała szczegółową relację z egzekucji niemieckiego zbrodniarza wojennego. Stracenie byłego namiestnika Kraju Warty (obejmującego m.in. Poznań i Łódź) odmalowano w konwencji reportażu: „Artur Greiser ma związane z tyłu ręce i czarną opaskę na oczach. Ślania się na nogach. Dwaj strażnicy podtrzymują go, prowadząc w kierunku szubienicy”. Nie zabrakło też wątków moralizatorskich: „Symboliczna to tylko odpłata, nie stojąca w żadnym stosunku do przewinień nikczemnika, nie stanowiąca żadnego zadośćuczynienia za montaż krwi i łez ludzkich, przelanych w okresie jego »rządów«. – Jest to przede wszystkim przestroga na przyszłość, unaocznienie faktu, że zbrodni nie popełnia się bezkarnie nawet wówczas, gdy za pokrywkę służą szowinistyczne marzenia i światoburcze plany”. Arthur Greiser był odpowiedzialny za brutalną politykę germanizacyjną oraz eksterminację ludności polskiej i żydowskiej na podległych mu terenach podbitych przez Niemcy. Choć kara śmierci była zasłużonym wyrokiem, publiczna egzekucja na stokach poznańskiej Cytadeli – obserwowana m.in. przez dzieci – wywołała duże kontrowersje. W rezultacie władze zdecydowały się odejść od tej praktyki. Kolejnych zbrodniarzy niemieckich tracono już w więzieniach, a Rudolfa Höbba – na terenie byłego obozu Auschwitz, którym kierował w czasie II wojny światowej.

## Zbrodni nie popełnia się bezkarnie

### Jak powieszono

Piękny, lipcowy poranek. – Tłumy ludzi płyną ulicami miasta w kierunku Cytadeli. Już na godzinę przed czasem wyznaczonym na egzekucję Artura Greisera otwartą przestrzeń między cmentarzami u wylotu alei Pułaskiej prowadzają z niego zbrodniarza, który za chwilę niedługo swym życiem zapłaci ma narodowi polskiemu za śmierć tysięcy istnień ludzkich, za nędzę, poniżenie i poniewierkę całego społeczeństwa. Symboliczna to tylko



ODDZIAŁY:  
Rok XXIII.  
Wydoby  
Fa  
Gdy upat  
Dorado  
Dru  
ku nr

Upa  
Lond  
Wielko





# TRYBUNA ROBOTNICZA

Z ostatniej chwili

Wzrost najpopularniejszego dziennika  
Wzrost najpopularniejszego dziennika  
Wzrost najpopularniejszego dziennika

ROK XIX  
Nr 205 (6089)

# DZIENNIK POLSKI

KRAKÓW  
Czwartek 29 VIII 1963

Cena 50 gr

## Największa demonstracja w dziejach stolicy USA Amerykanów manifestowało



### 12 lipca 1957 roku

Rehabilitacja 4400 osób – brzmiał tytuł krótkiego artykułu na pierwszej stronie „Trybuny Robotniczej” z 12 lipca 1957 roku. „Na posiedzeniu Sejmowej Komisji Wymiaru Sprawiedliwości zastępca generalnego prokuratora PRL – M[arian] Mazur – złożył sprawozdanie z dotychczasowego przebiegu akcji rehabilitacyjnej” – pisał autor tekstu. Artykuł zawierał szczegółowe sprawozdanie, jak przebiegała weryfikacja wyroków sądowych, które wydano w okresie stalinizmu. „Do 15 maja br. wpłynęło ogółem 6100 podań o rehabilitację, z czego załatwiono dotychczas 4400” – relacjonowano. „W 900 przypadkach postawiono wnioski o uchylenie wyroków, z czego w stosunku do 600 osób złożono wnioski o uniewinnienie, zaś sprawy 300 osób przesłano do ponownego rozpatrzenia. W tysiącu sprawach powzięto wnioski o nadzwyczajnym złagodzeniu kary”. Rehabilitacja nie przebiegała jednak automatycznie: „2500 podań załatwiono odmownie, gdyż przy ich wnikliwym zbadaniu okazało się, że nie ma podstaw do rewizji zapadłych wyroków”. W artykule podkreślano także, że władze państwowe zorganizowały pomoc dla obywateli poszkodowanych w minionym okresie: „Osoby objęte rehabilitacją w szeregu przypadkach skorzystały z pomocy państwa. Pomoc ta wyraziła się jak dotychczas w zasiłkach pieniężnych dla 686 osób, leczeniu około 350 osób, przydzieleniu mieszkań 224 osobom, przyznaniu renty ponad 180 osobom oraz wyszukaniu pracy dla 133 osób”.

Weryfikacja wyroków sądowych przez władze PRL po październiku 1956 roku oznaczała wolność dla tysięcy przeciwników władz komunistycznych, przedstawicieli opozycji, członków AK i innych formacji powstańczych, duchownych. Była też jednym z najważniejszych procesów destalinizacji w Polsce w okresie tzw. odwilży gomułkowskiej. To, że ten artykuł w ogóle ukazał się w prasie partyjnej, świadczy o zmianie we władzach komunistycznych. Bardzo ciekawe jest jedno z ostatnich zdań tekstu: „W stosunku do osób winnych łamania praworządności zapadło już szereg skazujących wyroków”. Istotnie, przed sądami PRL odbyły się procesy niektórych zbrodniarzy z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, od władzy zostali odsunięci najbardziej skompromitowani przywódcy i działacze. Jednak Służba Bezpieczeństwa, powstała zamiast Urzędu Bezpieczeństwa, również prześladowała „wrogów systemu”, a osoby rehabilitowane zostały objęte inwigilacją i nadal były szykanowane.

### 29 sierpnia 1963 roku

„Największa demonstracja w dziejach stolicy USA! 200 tys. Amerykanów manifestowało w obronie praw obywatelskich” – donosił na pierwszej stronie „Dziennik Polski” z 29 sierpnia 1963 roku. „Marsz urządzony pod hasłem »Żądamy pracy i wolności« rozpoczął się oficjalnie o godzinie 11.15, gdy dwie olbrzymie kolumny demonstrantów wyruszyły spod pomnika Waszyngtona” – pisał amerykański korespondent Polskiej Agencji Prasowej. Uczestnicy marszu zbierali się od wczesnego ranka 28 sierpnia 1963 roku, a pierwsze pociągi i autobusy z demonstrantami przybyły do Waszyngtonu już w nocy. Manifestację opisywano jako pierwszy marsz Murzynów na Waszyngton. Z satysfakcją odnotowano, że było obecnych wielu białych zwolenników równouprawnienia. Autor artykułu szczególną uwagę zwracał na powtarzane postulaty społeczne: „Nad tłumem unosiły się transparenty i plakaty z napisami »Prawa obywatelskie plus pełne zatrudnienie równa się wolność«. Zabrani wysłuchali także orędzia, jakie przeczytał James Farmer, przewodniczący kongresu równości rasowej. Farmer został niedawno aresztowany w stanie Luizjana za udział w demonstracji antyrasistowskiej i swoje orędzie napisał w więzieniu w Donaldson” – podkreślano w artykule.

Marsz na Waszyngton, wielka demonstracja na rzecz zniesienia segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych, jest dla obywateli USA jednym z najbardziej znanych wydarzeń w powojennej historii. Podczas tego marszu Martin Luther King wygłosił słynne przemówienie *I have a dream* (Mam marzenie). W „Dzienniku Polskim” przedstawiono to wydarzenie jako pierwszy dzień rewolucji w USA. Zgodnie z wytycznymi pochodzącymi od komunistycznej władzy, w polskiej prasie starano się przekazać, że Stany Zjednoczone, największy wróg zwycięskiego ZSRR, są niedemokratyczne i gnębią własnych obywateli. Ta propaganda była obecna we wszystkich krajach tzw. demokracji ludowej. Na tle rasistowskiej Ameryki dążącej do wojny Związek Radziecki i jego satelici miały być oazami pokoju i sprawiedliwości. Podkreślano również wyższość socjalistycznego systemu gospodarczego nad „niehumanym” wolnym rynkiem w Ameryce. Miał o tym świadczyć przytoczony postulat pełnego zatrudnienia, gwarantowanego w krajach komunistycznych. Cóż bowiem z tego, że w PRL nie ma za co żyć, skoro „w Ameryce biją Murzynów”.

## 200 tys. Amerykanów manifestowało w obronie praw obywatelskich

WASZYNGTON (PAP). Prawie 200 tysięcy Amerykanów ze wszystkich stron USA zebrało się w środę na placach i ulicach Waszyngtonu, aby zaprotestować przeciwko dyskryminacji rasowej w Ameryce. Według agencji UPI była to największa demonstracja w dziejach stolicy amerykańskiej. Była to zarazem największa demonstracja w obronie praw obywatelskich w historii USA.

nie równa się wolność”. „Chcemy pracy i wolności już teraz!”, „Skończyć z brutalnością policji!”, „Segregacja szkodzi jedności USA” itp. oprac. FG, JG, AS t. w Ghanie so-zemnego twinnama o Boła, wy-biłnego bojownika o równo-prawienie Murzynów. Gdy dwie kolumny demon-strantów, jedna prowadzona przez męż-czyznę, druga przez kobietę, dota-

### Sejm debatuje nad planem 5-letnim



Na porządku obrad m.in. projekty ustaw o zwalczaniu

Uczennice Liceum Ogólnokształcącego z Cieszyna na

Rekordowy skup żywca na przestrzeni

# Chłopiec w autobusie

Krzysztof Gottesman

Wielki polski aktor Gustaw Holoubek, pytany kiedyś o awangardę teatralną, odrzekł, w swoim niepowtarzalnym stylu, że nawet Szekspir musiał czasami pójść do toalety, ale nie o tym były jego sztuki. Ta teatralna anegdota jak ulał pasuje także do fotografii.

**F**otografia prasowa towarzyszyła mi, odkąd zacząłem z ciekawością spoglądać na zadrukowane wielkie płachty papieru.

Te krajowe i, jak była okazja, zagraniczne. Miałem to szczęście, że dorastałem w czasach, gdy zdjęcia w gazetach i tygodnikach były najwyższej próby, u nas może nie technicznej, bo jakość druku była fatalna, ale na pewno reporterskiej, artystycznej, czasem także socjologicznej. Były ważnym bytem dziennikarskim, stanowiły nieodzowne uzupełnienie tekstu, jego intelektualne dopełnienie. Funkcjonowały również samodzielnie, jak choćby portrety. Te zdjęcia żyją do dziś. Jako świadectwo historyczne i jako dzieła sztuki.

Próbowaliśmy iść tą drogą, gdy w latach dziewięćdziesiątych tworzyliśmy nową „Rzeczpospolitą”. Zdjęcia na pierwszej stronie i wewnątrz numeru, na stronach krajowych, zagranicznych, kulturalnych, sportowych, ale także ekonomicznych i prawnych były wybierane z wielkim pietyzmem, dyskutowaliśmy o nich tak jak o tekstach, dlatego zwracały na siebie uwagę. Nie tanią efektywnością, choć były bardzo atrakcyjne, lecz przemyślaną treścią, kompozycją, dbałością fotoreporterów o każdy szczegół znajdujący się w kadrze. Dziś ze smutkiem patrzę, co się dzieje ze zdjęciami – i działami foto – w gazetach. W czasach powszechnie dostępnych aparatów cyfrowych

i komputerowych programów obróbki zdjęć, ze słynnym photoshopem na czele, wszystkim prawie się wydaje, że zdjęcie może zrobić każdy. I każdy je robi, i publikuje. Jest taniej, ale na takie zdjęcia rzadko i mało kto zwraca uwagę, a na pewno nie dają się zapamiętać.

Jest kilka fotografii prasowych, które na zawsze utkwily w mojej pamięci. Z różnych czasów, z różnych miejsc na ziemi. Twórców większości z nich – wiem, że to nieładnie – nie pamiętam, ale niech zadośćuczynieniem dla nich będzie nieśmiertelność ich dzieł. Stos czaszek ofiar kambodżańskich Czerwonych Khmerów, bezkresne, śniegiem pokryte, poszatowane ogrodzeniem i wieżyczkami tereny sowieckiego GUŁagu, dzieci posłusznie podciągające rękawy łachów, by pokazać numery obozowe wypalone przez Niemców. Każde z nich osobno, a razem jeszcze silniej i mocniej mówią o szalonych totalitarnych ideach, ich twórcach, przede wszystkim ofiarach. Zapomnieć tych obrazów nie sposób. Tak, jak nie da się zapomnieć uchwyconego w kadrze – trafionego właśnie kulą – samotnego żołnierza pod Verdun. Krótkie życie szeregowca właśnie zostało przerwane. O okrucieństwie wojny, tej dobrej i złej, prowadzonej w obronie ludzkiej godności i gwałcającej ją, mówi bardzo wiele także słynne zdjęcie z wojny wietnamskiej. Uciekające przed napalmem, gołe, poparzone

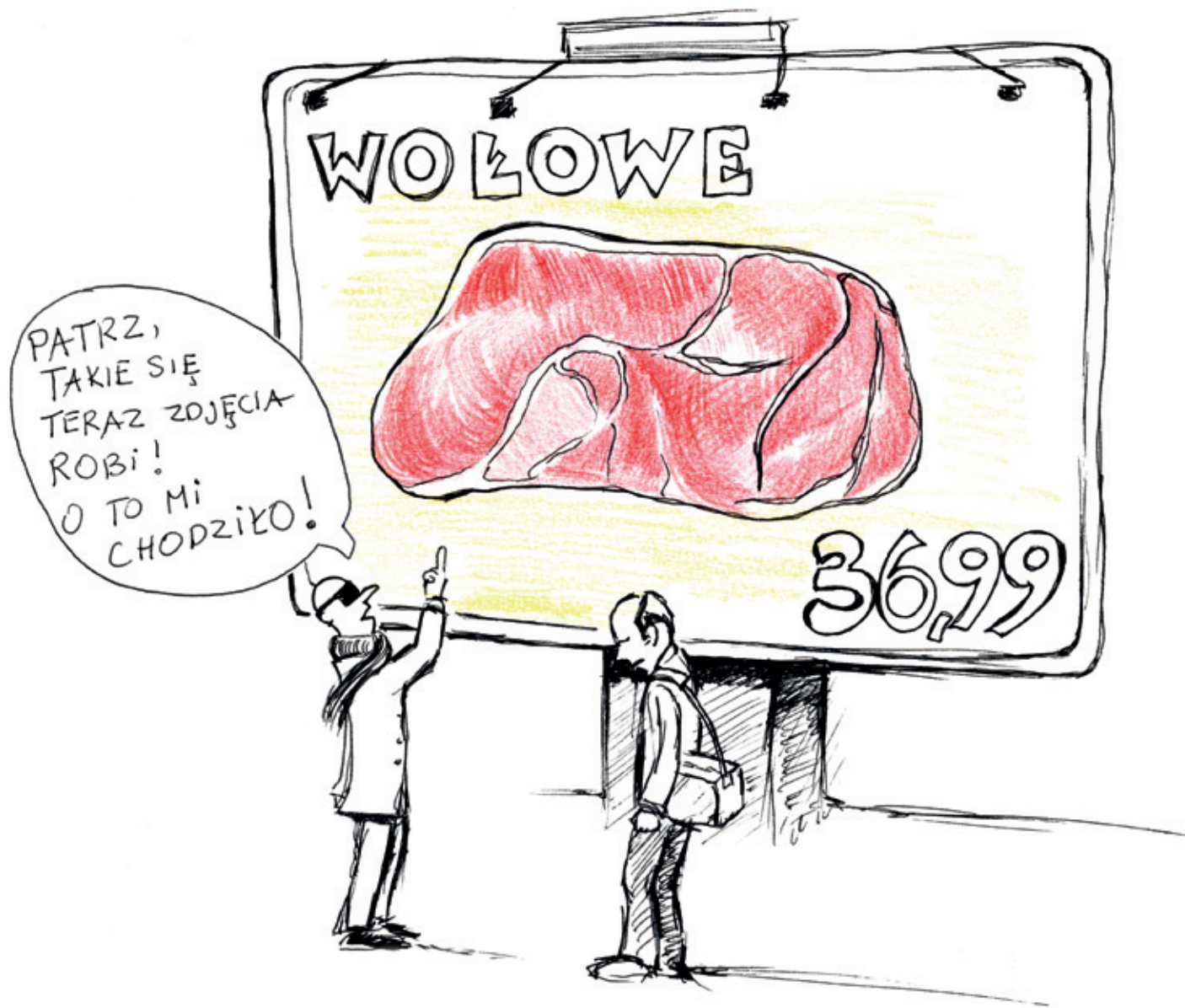
dziewczynki. I z tej samej wojny, moment strzału oddawanego przez oficera z Południa w skroń żołnierza z komunistycznego Wietkongu.

Kłęczący w grudniu 1970 roku przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie zachodni Niemiec kanclerz Willy Brandt pokazuje, że czasami świat stara się opamiętać, okazać skruchę, przeprosić. Rzadki to gest i dlatego – tym bardziej gdy wydaje się szczery – uchwycony przez reportera, tak bardzo zapada pamięć.

Wśród wielu wartości, które łączą te ważne dla mnie zdjęcia, jest ich powściągliwość w formie. Choć dotyczą spraw ostatecznych, nie epatują okrucieństwem. Nie ma wybebeszonych wnętrzności, płynącej rzeki krwi. Zło i okrucieństwo, dotykające czasem całe narody, pokazują przez los pojedynczych ludzi. Wiemy, dlaczego cierpią, kto im to cierpienie zadaje. Choć nie znamy ich imion, nie są anonimowi, mówią za miliony.

Na koniec kilka słów o dwóch zdjęciach, które w ostatnich latach zrobiły na mnie największe wrażenie. I które pokazują, że moje widzenie fotografii reporterskiej i dzięki niej poznawanie świata nie jest całkowicie pogrzebane. Są twórcy – i redaktorzy – którzy podzielają te wartości, są gotowi ich bronić i je nagradzać.

Pierwsze, wykonane przez Krzysztofa Millera, pokazuje wojnę domową w RPA przed pierwszymi wolny-



Rys. A. Szafirski

mi wyborami. Śmiertelnie trafiony mężczyzna jest otoczony przez sporą grupę fotoreporterów. Każdy z nich chce zdobyć najlepsze ujęcie, jak sępy rywalizują między sobą. Wojna jako spektakl, jako część kultury masowej. Ot, przy śniadaniu przeglądamy gazetę, dzisiaj serwisy internetowe, a tam leży zabity mężczyzna tak fajnie pokazany, przewracamy stronę – coś równie interesującego.

I drugie zdjęcie, na mojej liście bezapelacyjnie numer jeden. Zobaczyłem je pierwszy raz dwadzieścia lat temu, gdy zdobyło nagrodę World Press Photo 1996. Zrobił je amerykański fotoreporter, z wykształcenia biolog, Lucian Perkins. Scena z wojny czeczeńskiej. Odjeżdżający z Groznego szary autobus z samotnym chłopcem, który oparty o tylną szybę, patrzy na znikającą drogę. Nic więcej. Pusta dro-

ga, brzydki autobus, wygolona głowa chłopca w szybie. Nigdy wcześniej ani później nie widziałem równie przekonującego zdjęcia. Ból, okrucieństwo, samotność. Zbrodnia pokazana w najczystszej formie. Bez kropli krwi. Dlatego gdy pomyślałem o wielkiej fotografii prasowej, przypomniła mi się wypowiedź Holoubka. Jak ułał pasuje. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Polskiego Radia



► Jeden z żołnierzy obserwuje przez lornetkę przedpole w okolicach wsi Pociecha

Fot. AIPN

dzonęgo przez por. Adolfa Pilcha „Górze”. Kresowy oddział w czerwcu 1944 roku znalazł się w krytycznym położeniu operacyjnym. Nie chcąc dopuścić do zniszczenia jednostki, por. Pilch zdecydował się podążyć na zachód. Kresowi partyzanci po blisko czterotygodniowym marszu, wykorzystując zamieszanie związane z odwrótem wojsk niemieckich, pod koniec lipca przybyli z pełnym uzbrojeniem, końmi i taborami do Dziekanowa Polskiego. Wieść o pojawieniu się licznego oddziału w polskich mundurach szybko dotarła do dowódcy Rejonu VIII „Łęgów” Obwodu VII „Obroza” Okręgu Warszawskiego AK, kpt. Józefa Krzyczkowskiego „Szymona”. Krzyczkowski niezwłocznie skontaktował się z dowództwem kresowian. Po krótkich rozmowach por. Pilch podporządkował swój oddział rozkazom kpt. Krzyczkowskiego. Tym samym siły Rejonu VIII, którego zadaniem na czas powstania miały być m.in. atak na lotnisko białeńskie oraz opanowanie niemieckich placówek na terenie puszczy, zostały wzmocnione. Jednocześnie wydarzenia te dały początek powstaniu „Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej”.

Pod tym mianem do historii przeszedł obóz warowny, który obejmował kilka miejscowości w sercu Puszczy Kampinoskiej, m.in. Wiersze, Brzozówkę, Janówek, Aleksandrów. W jego granicach, jak napisał jeden z partyzantów, „na każdym kroku wolność się spozstrzegało i wolność się czuło. Ludność pozbyła się nękającego ją od lat strachu”. Za bezpieczeństwo tej enklawy polskości odpowiadali żołnierze Grupy „Kampinos”, która powstała ze struktur VIII Rejonu Obwodu VII „Obroza” oraz różnych oddziałów AK, które w wyniku akcji „Burza” i Powstania Warszawskiego znalazły się na terenie Puszczy Kampinoskiej. W szczytowym okresie liczyła ok. 3 tys. żołnierzy. Losy Grupy „Kampinos” mogłyby stanowić kanwę niejednego scenariusza filmowego, jednak jest to przede wszystkim historia zwykłych ludzi, zarówno żołnierzy, jak i cywilów, uwikłanych w dramatyczne koleje wojny.

# Wolne państwo w sercu puszczy

Robert Szcześniak

**W czasie akcji „Burza” powstało ponad siedemdziesiąt partyzanckich republik. Na niewielkim terenie każdej z nich pełnił władzy sprawowała polska administracja. Dawało to wielu tysiącom cywilów nie tylko schronienie, lecz także poczucie wolności, którego przez lata okupacji tak bardzo im brakowało. Jedną z takich republik była „Niepodległa Rzeczpospolita Kampinoska”.**

**29** lipca 1944 roku mieszkańcy położonej w Puszczy Kampinoskiej miejscowości Wiersze obudziły gwar głośów i słowa żołnierskich piosenek. Ludzie nie mogli uwierzyć w to, co wi-

dzieli i słyszeli. Po latach zniewolenia i niemieckiego terroru znów ujrzeli żołnierzy w polskich mundurach. Niespodziewanymi gośćmi w Wierszach i innych okolicznych miejscowościach byli żołnierze oddziału partyzanckiego Armii Krajowej z Puszczy Nalibockiej, dowo-

W tej enklawie polskości w sercu puszczy każdy czuł się partyzantem. Leśni żołnierze roztoczyli nad okoliczną ludnością parasol ochrony, w zamian otrzymywali wyżywienie i pomoc w codziennych obowiązkach. Jedni i drudzy na swój sposób pracowali dla dobra ogółu.

Jednym z podstawowych problemów mieszkańców puszczańskiego państwa było wyżywienie tak dużej grupy ludzi (żołnierze plus ludność cywilna) i koni. Wymagało to stałej dostawy dużych ilości zboża, ziemniaków, mięsa, a dla koni siana. Za aprowizację odpowiadał kwatermistrz Grupy „Kampinos”, kpt. Wojciech Dwornicki „Wojtek”. Przyjęto zasadę nieprzeprowadzania darmowych rekwizycji i za każdy towar starano się płacić. Jednak okoliczna ludność, często z własnej woli i nieodpłatnie, organizowała zbiórki żywności dla „Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej”. Z tej pomocy korzystały również okoliczne majątki ziemskie. Ważnym źródłem zaopatrzenia byli Niemcy. W pierwszych dniach sierpnia przechodzące przez puszcę transporty zaopatrujące niemieckie oddziały stawały się łatwym łupem patroli partyzanckich. Jednak z biegiem czasu musiano organizować dalsze wypadki, jak np. 8 września na dwór Pilaszków, gdzie zdobyto m.in. duże stado krów (ok. 250 sztuk).

Żywność pozyskiwano również za pomocą forteli. Przykładem tego może być działanie kilku oficerów, m.in. cichociemnego por. Tadeusza Gaworskiego „Lawy” i por. Jana Dąbrowskiego „Jana”, którzy na zdobyczym niemieckim motocyklu w mundurach żandarmerii zatrzymywali na szosie Zaborów–Leszno niemieckie samochody. (fot. 1, 2) Po obezwładnieniu załogi kierowano je w głąb puszczy. Rekwirowano za pokwitowaniem również żywność z legalnie działających spółdzielni. Ponieważ produkty do nich dostarczali Niemcy, traktowano je jako niemieckie.

W przygotowywaniu posiłków nieocenioną pomoc niesły gospodynie wiejskie. Gotowały zupy, drugie dania, piekły chleb. W sukurs ich poczynaniom szły kuchnie wojskowe, które również serwowały posiłki dla cywilów (fot. 3).

Oprócz wyznaczonych kucharzy pomagali w tym ci wszyscy, którzy nie mieli innych zadań.

Nieformalną stolicą puszczańskiej enklawy była miejscowość Wiersze, gdzie rozlokowało się dowództwo Grupy „Kampinos” (fot. 4). Tutaj znajdowała się radiostacja, za pomocą której utrzymywano łączność zarówno z Warszawą, jak i Londynem. W Wierszach i innych okolicznych miejscowościach, w których znajdowały się partyzanckie placówki, żołnierzy traktowano jak członków rodziny. Do ich dyspozycji oddawano kwatery w domach, a gdy tych brakowało, organizowano je w stodołach i innych budynkach gospodarczych. Partyzantów zapraszano na rodzinne uroczystości, np. chrzciny (fot. 5). Odmowę uważano za wielki afront wobec gospodarzy.

W „Rzeczypospolitej Kampinoskiej” funkcjonowały m.in. masarnie, warsztaty rusznikarskie, zakłady szewskie; kolportowano prasę, odbywały się posiedzenia sądów. W zakładach krawieckich szyto i naprawiano mundury. Z płótna spadochronowego szyto bieliznę i koszule dla żołnierzy oraz białoczerwone opaski (fot. 6). Kiedy jeden z patroli zdobył niemiecki samochód propagandowy, zorganizowano kino (fot. 7). Wieczorami na ekranie ze spadochronu wyświetlano filmy. W czasie wolnym od służby żołnierze mogli się wybrać z koleżanką na spacer do lasu (fot. 8). Dzięki tej namiastce zwykłego, codziennego życia można było choć ▶

Fot. AIPN



**1** ▶ Patrol motocyklowy w mundurach niemieckich wyrusza na szosę Zaborów–Leszno



**2** ▶ Sortowanie zaopatrzenia zdobytego w potyczce pod Wólką Pracką



**3** ▶ Kolejka do zdobyczej kuchni polowej; posiłek wydaje Gruzin Andriaj



4



5

Fot. AIPN

► Kancelaria dowództwa Zgrupowania „Kampinos”; przy stole siedzą kpt. Edmund Jungowski „Krzemień” oraz Jadwiga Bałbuszko-Sławińska; w głębi stoi Stanisław Pilarski, obok niego (po lewej stronie) widoczna radiostacja

► Chrzczony córki państwa Dudzińskich; za stołami od lewej: strz. Józef Jerzak „Sum” (pierwszy z lewej), strz. Włodzimierz Rejmer „Lolek” (trzeci z lewej), sanit. Wacława Stelmachówna „Halina” (z lewej pod ścianą – częściowo zasłonięta), por. Stefan Iwanowski „Domek” (po prawej pod ścianą)



6

► Porucznik Tadeusz Gaworski „Lawa” (stoi na pierwszym planie) podczas dzielenia czaszy spadochronu ze zrzutów zaopatrzenia RAF dla bazy Kampinos



7

na moment zapomnieć o toczącej się dookoła wojnie i zagrożeniu.

Jednak takie chwile trwały krótko. Nie było dnia bez potyczek czy akcji bojowych. Dzięki systemowi czujek, rozmieszczonych przy wejściach do puszczy, informacja o nieprzyjacielu szybko docierała

do dowództwa. Zauważony niemiecki oddział wpuszczano w głąb lasu, gdzie w dogodnym miejscu go otaczano. Zdobywano w ten sposób cenną broń i amunicję (fot. 9). Partyzanci prowadzili również działania ofensywne, likwidując niemieckie placówki na terenie puszczy. Przykładem tego może być atak w nocy z 2 na 3 września na stacjonujący we wsi Truskaw oddział RONA (rosyjskich kolaborantów). Zabito wówczas 250 nieprzyjacielskich żołnierzy. W akcjach



8

► Od lewej: Stanisław Nojek „Petri”, sanitariuszki Wacława Stelmachówna „Halina” i Barbara Przeorska „Nusia”, kpr. pchor. Kazimierz Styczeń „Smuga”

Fot. AIPN

Fot. AIPN



10



11

► Kapral pchor. Witold Szeronos „Wit” podczas ćwiczeń obsługi wyrzutni ppanc. PIAT

tego typu nieocenione usługi partyzantom oddawali miejscowi leśnicy, którzy prowadzili wywiad i służyli za przewodników. Jeżeli nie było akcji bojowych, czyszczono broń, uzupełniano amunicję, podnoszono kwalifikacje, szkoląc się w obsłudze broni, np. brytyjskich granatników przeciwpancernych PIAT, które docierały do partyzantów dzięki alianckim zrzutom (w Puszczy Kampinoskiej podjęto ich 22) (fot. 10). Należy

tutaj wspomnieć jeszcze o tym, że żołnierze Grupy „Kampinos” brali również udział w Powstaniu Warszawskim. Zapisali chlubną, choć krwawą kartę podczas nieudanych ataków na Dworzec Gdański z 20 na 21 i z 21 na 22 sierpnia.

Kres „Niepodległej Rzeczypospolitej Kampinoskiej” położyła rozpoczęta 27 września 1944 roku niemiecka operacja „Spadająca Gwiazda” (niem. *Sternschnuppe*). Niemcy zaatakowali w dwóch grupach operacyjnych w sile kilku tysięcy żołnierzy, wspieranych przez czołgi, lotnictwo i liczną artylerię. Na wstępie niemieckie lotnictwo zbombardowało i zniszczyło niemal doszczętnie m.in. wieś Wierze (fot. 11). W wyniku cało-

dziennych zaciętych walk partyzantom udało się utrzymać pozycję, jednak dalsza walka z przeważającymi siłami wroga nie rokowała powodzenia. Dowódca Grupy „Kampinos”, mjr Alfons Kotowski „Okon”, zdecydował o opuszczeniu Puszczy Kampinoskiej i przemarszu w kierunku Gór Świętokrzyskich (fot. 12). Przez kolejne dwa dni, odpierając niemieckie ataki, partyzanci maszerowali do wyznaczonego celu. Ten znajdował się pod Jaktorowem, gdzie w wyniku błędów dowództwa Grupa „Kampinos” została rozbita przez niemieckie oddziały. Ostatecznie z 2 tys. partyzantów, którzy rozpoczęli odwrót z Puszczy Kampinoskiej, w rejon Gór Świętokrzyskich dotarło jedynie osiemdziesięciu. 🇺🇸

Robert Szcześniak – pracownik Archiwum IPN

9



► Strzelec Eugeniusz Widlicki „Leszek” segreguje zdobyczną amunicję

12



Fot. AIPN

Fot. AIPN

**Gdyby władze PRL w sierpniu 1980 roku przyjęły złożoną przez MSW propozycję siłowej likwidacji strajków robotniczych, historia mogła potoczyć się zupełnie inaczej. Na szczęście jednak do tego nie doszło.**

**D**o pierwszych „przerw w pracy” (jak rządzący określali strajki) doszło 1 lipca 1980 roku, w dniu ogłoszenia kolejnej decyzji o podwyżce cen, tym razem „niektórych gatunków wędlin i mięsa”. Początkowo strajkowało (najczęściej na pierwszej zmianie) po kilkaset osób. Przez cały lipiec stawały kolejne zakłady pracy, właściwie w całym kraju. Jednak w pierwszej połowie sierpnia wydawało się, że strajki wygasają. Sytuacja się zmieniła, kiedy 14 sierpnia stanęła Stocznia Gdańska – był to pierwszy protest zorganizowany latem 1980 roku przez opozycję. Zakończył się on co prawda po dwóch dniach porozumieniem z dyrekcją, ale część strajkujących (w związku z protestami w innych zakładach pracy Trójmiasta) zdecydowała się go kontynuować. Utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, opracowano wspólną dla zakładów wchodzących w skład MKS listę 21 postulatów.

Przywódcy PRL znaleźli się pod presją, tym bardziej że oprócz Gdańska zastrajkował Szczecin, gdzie 19 sierpnia również utworzono MKS i sformułowano własną listę 35 postulatów. W tym samym dniu ponadzakładową strukturę strajkową utworzono też w Elblągu. A protest stopniowo rozszerzał się poza Wybrzeże.

Skutku nie przyniosły jawne i tajne działania władz, zwłaszcza Służby Bezpieczeństwa. I to mimo że funkcjonariusze SB wydawali się do protestów dobrze przygotowani. Na Rakowieckiej bowiem jeszcze na początku lat siedemdziesiątych stworzono stosowne plany. Aby uniknąć powtórki z Grudnia '70, opracowano „konceptję operacyjnego przygotowania na konflikt w szerszej skali”. Przewidywała ona, że wcześniej przygotowani i odpowiednio przeszkoleni tajni współpracownicy będą gotowi do „przejścia w razie strajków roli przywódczej, a następnie kierowania spokojnym ich przebiegiem i niedopuszczenia do skie-

rowania ruchu strajkowego na niebezpieczne politycznie tory”.

Latem 1980 roku SB zaangażowała duże siły i środki. Jej funkcjonariusze zastraszała organizatorów strajków. Próbowali też rozmawiać z ich przywódcami (m.in. Lechem Wałęsą w Gdańsku czy Marianem Jurczykiem w Szczecinie). Protestujących i osoby je wspierające obserwowano, fotografowano, czasem również spisywano, a nawet zatrzymywano. Przede wszystkim jednak próbowano unieszkodliwić działaczy opozycji. Uniemożliwiano im organizowanie spotkań czy zbieranie podpisów pod apelami z poparciem dla strajkujących, i oczywiście kontakt z protestującymi robotnikami. Przechwytywano drukowane i kolportowane przez nich wydawnictwa, a także prewencyjnie zatrzymywano ich rzekomo na 48 godzin, by po kilku minutach po wypuszczeniu znów zatrzymać na dwie doby (w ten sposób obchodzono przepisy, zabraniające zatrzymania na dłużej). Bezpiekę wspierała jej agentura, dezintegrując strajkujących pracowników.

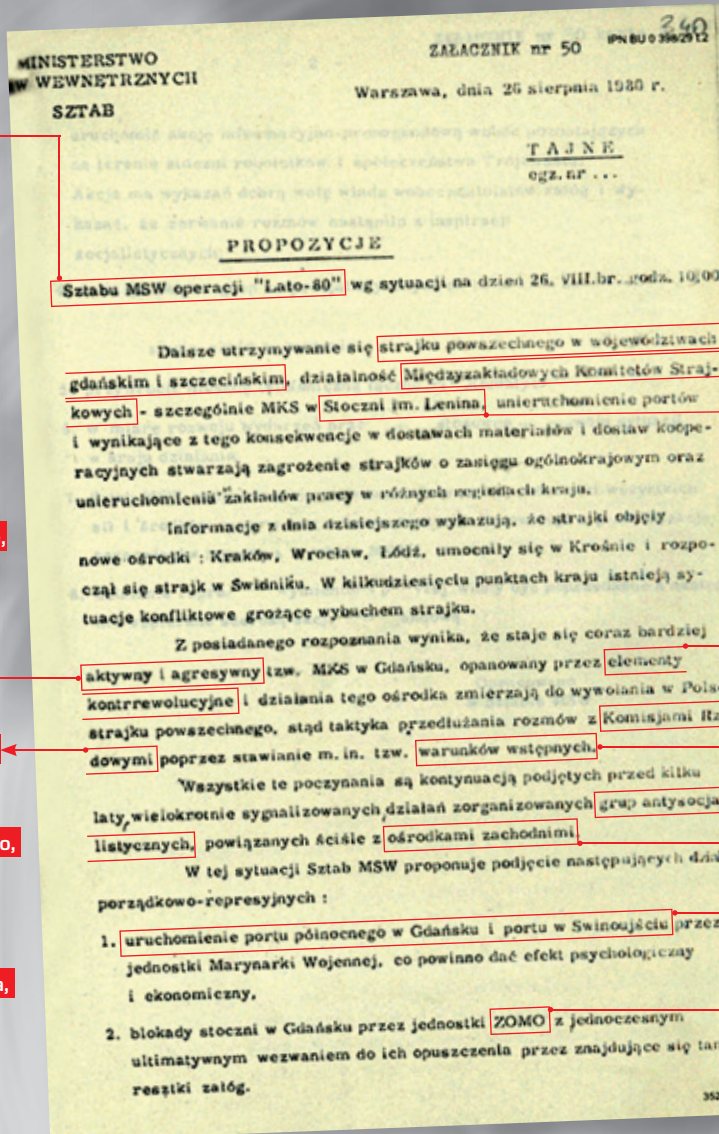
Mimo pewnych sukcesów SB okazała się nieskuteczna. „Możemy już dzisiaj, towarzysze, stwierdzić, że w sytuacji masowej solidarności, a szczególnie strajków typu okupacyjnego, nasze pozytywne profilaktyczne oddziaływania są bardzo ograniczone, nieskuteczne, a przeciwdziałania wręcz niemożliwe” – przyznawał potem z goryczą Władysław Ciastoń, dyrektor Departamentu III „A” MSW. Na Rakowieckiej zresztą szybko się zorientowano, że źle się dzieje. I próbowano temu zaradzić. 26 sierpnia rano Sztab Operacji „Lato 80”, utworzony dziesięć dni wcześniej „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”, przedstawił propozycję siłowego zakończenia protestów. Zakładano m.in. uruchomienie

(przy wykorzystaniu jednostek Marynarki Wojennej) portów w Gdańsku i Świnoujściu oraz blokadę Stoczni Gdańskiej przez Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej z „jednoczesnym ultimatywnym wezwaniem” strajkujących do jej opuszczenia. A także aresztowanie działaczy opozycji.

Rozpoczęto nawet, nie czekając na decyzje polityczne, przygotowania do realizacji tego wariantu. Jeszcze tego samego dnia kierownik Sztabu Operacji „Lato 80”, wiceminister spraw wewnętrznych Bogusław Stachura, odwołał funkcjonariuszy i pracowników cywilnych resortu z urlopów, wstrzymał też (do odwołania) wydawanie zgód na ich udzielanie, skoszarował ZOMO i słuchaczy wszystkich szkół resortowych, a także nakazał komendantom wojewódzkim milicji skoszarowanie (według ich uznania) podstawowych jednostek komend wojewódzkich. „Odpowiednie wytyczne” (na podstawie tej decyzji) podległym jednostkom mieli też wydać dowódcy Wojsk Ochrony Pogranicza i Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW, komendant główny Straży Pożarnej oraz kierownik Głównego Inspektoratu Ochrony Przemysłu. O zaawansowaniu przygotowani do siłowego złamania strajków świadczy podjęcie działań w celu przekształcenia resortowego Domu Wypoczynkowego Eden w Sopocie w szpital, a także (w razie potrzeby) kempingu MSW w tym samym mieście.

Propozycja resortu została przedstawiona członkom Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i była przez nich omawiana 27 sierpnia. Nadzorujący MSW z ramienia partii Stanisław Kania ostrzegał: „Wejście do stoczni siłą jest nierealne, niewiele by dało, a mogłoby doprowadzić do rozlewu krwi”. A członek Biura Politycznego KC PZPR Alojzy Karkoszka dodawał: „Zdobyć port możemy, ale go nie uruchomimy”. Niechętny użyciu wojska był też minister obrony narodowej Wojciech Jaruzelski. Uważał, że to zadanie dla odpowiednio wyposażonej (w pałki) milicji, a nie dla uzbrojonych żołnierzy. Za





Specjalne, utworzone 16 sierpnia 1980 roku ciało „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”; sztab ten odegrał ważną rolę w przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego

Być może chodzi o zgłoszone postulaty, uznane przez władze za polityczne, niewykluczone jednak, że o działalność (w tym druk biuletynu strajkowego i ulotek skierowanych do społeczeństwa Trójmiasta)

W Szczecinie od 21 sierpnia rozmowy prowadziła komisja pod przewodnictwem wicepremiera Kazimierza Barcikowskiego, w Gdańsku zaś od 19 sierpnia negocjacje (z pominięciem MKS) próbował prowadzić z pojedynczymi zakładami wicepremier Tadeusz Pyka, dwa dni później zastąpił go inny wicepremier, Mieczysław Jagielski

Strajk powszechny na Wybrzeżu trwał już od 19 sierpnia

Pierwszy MKS utworzono w Stoczni Gdańskiej 16 sierpnia, kolejne 19 sierpnia w Stoczni Szczecińskiej oraz w Elblągu

Stocznia Gdańska, w latach 1967–1990 nosiła imię Włodzimierza Lenina

Tak nazywano działaczy opozycji

Sformułowane przez MKS w Gdańsku 25 sierpnia; strajkujący żądali przywrócenia łączności telefonicznej Trójmiasta z resztą kraju

Inne określenie działaczy opozycji

W działalności opozycji doszukiwano się zachodniej inspiracji

W obu zakładach trwały strajki okupacyjne

Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej

Chodziło głównie o ulotki demaskujące działaczy opozycji jako rzekomo winnych niepowodzenia rozmów

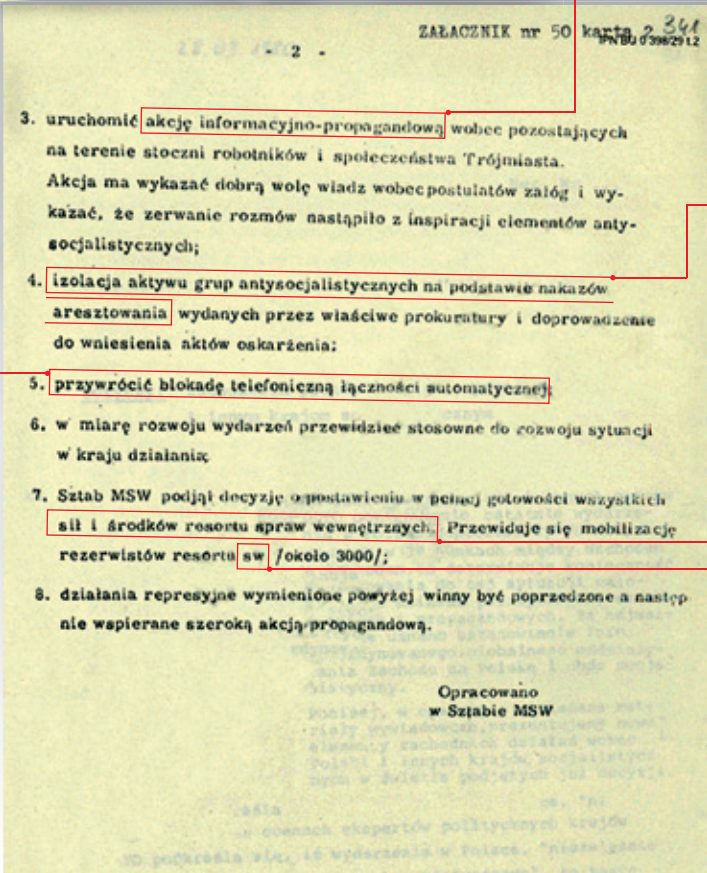
W nocy z 25 na 26 sierpnia władze na żądanie MKS w Gdańsku częściowo odblokowały połączenia telefoniczne między Wybrzeżem a resztą kraju

rozwiązaniem siłowym nie optował też I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Ostatecznie zatem przywódcy partii nie zdecydowali się na nie. Mimo braku decyzji politycznej stan podwyższonej gotowości do działań resortu spraw wewnętrznych (w tym do zduszenia siłą robotniczych protestów) był utrzymywany do początku września 1980 roku.

Obok dokument zawierający propozycję siłowego zakończenia strajków na Wybrzeżu przygotowany w Sztabie Operacji „Lato 80”. Jest to jeden z 55 załączników Raportu z działalności Sztabu MSW Operacji »Lato 80« w okresie od 16 sierpnia 1980 do 30 kwietnia 1982 r.

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Badań Historycznych IPN

Fot. AIPN



z władzami, które w rozpoczęły się 23 sierpnia, ale zostały przerwane (26 sierpnia)

Chodziło o uwięzienie przywódców i najaktywniejszych opozycjonistów, w pierwszych dniach strajków stosowano wielokrotne zatrzymywanie (bez sankcji prokuratorowskiej) na 48 godzin

Chodziło o takie formacje jak MO, SB, ZOMO czy Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej (ORMO)

Spraw wewnętrznych

# Przeżyliśmy własną śmierć

**Ciągle nie mogę uwierzyć w to, że nie dałem się zabić. Wówczas trzeba było być nad wyraz dorosłym, mądrym, a nawet trochę cwym – mówi Edward Zamiała, który jako dziesięcioletek uczestniczył w Powstaniu Warszawskim, w rozmowie z Magdaleną i Tomaszem Dźwigałami**

**Nie jest Pan z urodzenia warszawiakiem. Kiedy i w jakich okolicznościach Pańska rodzina zamieszkała w stolicy?**

Przed wojną rodzice, siostra Apolonia i ja mieszkaliśmy w małej miejscowości Porozów, położonej niedaleko Wołkowyska. Mój ojciec Władysław, były legionista, był tam komendantem posterunku policji. W miejscowości tej żyło wówczas około dziesięciu polskich rodzin. Większość mieszkańców stanowiła ludność żydowska i białoruska. Nie odczuwało się jednak wrogości – wręcz przeciwnie. I choć była to prowincja, to jednak nie byliśmy całkowicie oderwani od świata, codzienne przed południem dochodziły do nas warszawskie gazety, sprowadzaliśmy książki, słuchaliśmy radia. Żyło nam się dostatnio.

Aż nastał rok 1939. Ojciec został zmobilizowany do macierzystego 77. Pułku Piechoty w Lidzie, później trafił do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, dowodzonej przez gen. Franciszka Kleeberga. Pod jego rozkazami walczył do 5 października. Kiedy generał rozpuścił swoje wojsko, ojciec wiedział, że do domu nie ma po co wracać. Tam byli już Sowieci. Przedostał się do Warszawy.

Tymczasem w pierwszych dniach września wujek zabrał nas do Jałówki, do rodzinnego domu mamy. Od lutego 1940 roku Rosjanie wywozili Polaków na wschód. Z Jałówki wywieźli wszystkich, oprócz naszej rodziny. Czekali z tym na powrót ojca. Gdyby wtedy wrócił, z pewnością zginąłby w Ostaszko-

wie, a my gdzieś w stepach Kazachstanu. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób, ale ojciec nawiązał kontakt z matką. Zaczęły się starania o nasz wyjazd do Generalnego Gubernatorstwa [tj. na tereny pod okupacją niemiecką]. Mama wyprzedawała wszystko, a za zarobione pieniądze kupowała wódkę i kielbasę. Przekupiła kogo trzeba w Wołkowysku. Pamiętam, jak przyjechała i z jaką radością pokazała nam dokumenty zezwalające na nasz wyjazd do Warszawy. W ten sposób 16 kwietnia 1940 roku w bydłych wagonach dojechalśmy do granicy. Pamiętam, że Niemcy przesadzili nas do wagonów pulmanowskich i tak przekroczyliśmy Bug. W Warszawie na peronie przywitał nas ojciec.

**Jak tak małemu chłopcu, jakim Pan wówczas był, jawiła się okupowana Warszawa?**

Zamieszkaliśmy przy Marszałkowskiej 31a. To był siedmiopiętrowy budynek, nasze mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze. Ojciec pracował jako policjant posterunku przy Wilczej, natomiast mama gimnastykowała się, jak wyżywić naszą czwórkę.

Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że oboje byli zaangażowani w podziemię. Byłem dzieckiem, dopiero po latach rzeczy, których wówczas nie rozumiałem, zacząłem układać w logiczną całość. Na przykład do dziś pamiętam numer telefonu do ojca na posterunek – 8 93 11. Musiałem sobie wbić ten numer do głowy. Dostawałem polecenia typu: kiedy mam tam dzwonić, co powiedzieć ojcu, po czym należało natychmiast odkładać słuchawkę. Telefonować chodziłem do mieszkania pani Wandzi, na naszym piętrze. Dziś domyślam się, że posługiwano się mną, by przekazać ojcu jakieś wiadomości. Były jeszcze inne przypadki. Mama chodziła z nami na ul. Królewską, tam dawała nam po ciastku, a sama załatwiała jakąś sprawę, po czym rozradowana wychodziła z tego domu.

W 1940 roku zostałem ministrantem w kościele Najświętszego Zbawiciela w Warszawie. Pamiętam, że szczególne znaczenie miały msze, podczas których kazania wygłaszał ks. Cegłowski. Wybitny kaznodzieja, potrafił rzucić cały kościół na kolana. Co ciekawe, również i on posługiwał się mną jako przykrywką. Mianowicie ks. Cegłowski miał w zwyczaju zabierać mnie w niedziele na ciastka do kawiarni Lardellego (róg Polnej i al. Piłsudskiego). Po latach, kiedy opowiadałem o tym na jednym ze spotkań, na którym był obecny kapitan Jan Prüffer [kapitan Żeglugi Wielkiej, pierwszy kapitan masowca ms „Powstaniec Warszawski”], okazało się, że on – cztery lata ode mnie starszy – służył podczas wojny do mszy w kościele św. Wojciecha na Woli i chodził z meldunkami właśnie do kawiarni Lardellego, do ks. Cegłowskiego. A ja, niczego nieświadomy, siedziałem obok księdza i zjadałem się ciastkami.

To właśnie ks. Cegłowski nazwał mnie Hrabią. A wzięło się to stąd, że moja mama bardzo dbała o mój wygląd. Zawsze miałem piękną komżę, w koronkach i innych cudach. Kiedyś

Fot. ze zbiorów Edwarda Zamiary



**Edward Zamiała „Hrabia”** urodził się 16 listopada 1934 roku w Porozowie w powiecie wołkowyskim. Mając dziesięć lat, brał udział w Powstaniu Warszawskim, służąc jako łącznik w 3. Kompanii Batalionu „Golski”, walczącego w Podobwodzie Śródmieście-Południe Warszawskiego Okręgu AK. 15 września został ciężko ranny. Po upadku powstania został wraz z rodziną, przez obóz w Pruszkowie, wysiedlony do Prędocina w pobliżu Iłży. Po wojnie osiedlił się w Szczecinku na Pomorzu Zachodnim. Ukończył Wydział Budownictwa Politechniki Szczecińskiej. Od początku lat osiemdziesiątych XX wieku był zaangażowany w upamiętnianie i dokumentowanie historii i tradycji Powstania Warszawskiego oraz powojennych losów powstańców zamieszkałych w Szczecinie.



Fot. ze zbiorów Edwarda Zamiary



▶ Edward Zamiara z siostrą Apolonią



▶ Edward Zamiara w mundurku harcerskim, Szczecinek, koniec lat czterdziestych

ks. Cegłowski zobaczył mnie tak wystrojonego i powiedział, że wyglądam jak hrabia. Od razu podchwycili to koledzy, zaczęli mnie tak przezywać, stąd właśnie wziął się mój powstańczy pseudonim.

#### **Co w perspektywie postrzegania świata, dotąd szczęśliwego i bezpiecznego, w przypadku osoby tak wówczas młodej jak Pan, zmieniły wojna i okupacja?**

Bardzo dużo. Gdy w 1944 roku wybuchło powstanie, to mam wrażenie, że byłem już dorosłym człowiekiem. Jak po latach patrzyłem na dorastającego wnuka, to pomyślałem: „Dziecko, ciebie by zabili zaraz pierwszego dnia!”. Wówczas trzeba było być nad wyraz dorosłym, mądrym, a nawet trochę cwanim. Z perspektywy lat ciągle nie mogę uwierzyć w to, że nie dałem się zabić. A przecież w czasie okupacji i powstania były ku temu setki okazji.

#### **Czy pamięta Pan dzień wybuchu Powstania Warszawskiego? Miał Pan wówczas niespełna dziesięć lat. Było to dla Pana i Pańskiego otoczenia całkowitym zaskoczeniem?**

Pamiętam ten dzień doskonale. Wczesnym rankiem 1 sierpnia 1944 roku wróciłem z kościoła. Zawsze chodziłem na pierwszą mszę, którą odprawiał ks. Cegłowski. Zaskoczyło mnie uroczyste śniadanie, które zjedliśmy wszyscy razem. Później ojciec serdecznie się z nami pożegnał. Spotkaliśmy się dopiero po pięciu tygodniach. Wówczas dowiedziałem się, że poszedł do powstania. Walczył w zgrupowaniu „Jeleń”. Jego 1112. pluton pod dowództwem Jerzego Kamlera „Stolarza” został przydzielony do ochrony Komendy Głównej AK.

Myślę, że ojciec spodziewał się wybuchu powstania. Już wiele miesięcy wcześniej rodzice sukcesywnie gromadzili jedzenie. Mama suszyła suchary, po kątach chowała groch, spirytus, papierosy i lekarstwa. Niestety, nigdy z tych zapasów nie skorzystaliśmy. W czasie powstania nie mogliśmy wrócić do domu, a potem to wszystko zostało spalone.

#### **Co się działo później?**

Około 15.00 czuło się już gęstniejącą atmosferę. Trudno to dziś wytłumaczyć. Słyszał było jakieś ruchy na korytarzach, bieganie, taką nerwowość. Zadzwoił do mnie mój starszy kolega z szóstego piętra – Janek – chciał, żebyśmy wyszli na dwór. Wówczas mama przytomnie się nie zgodziła. Ale po chwili Janek przyszedł ze swoją mamą i zabrali mnie na spacer. To było ok. 16.30. Poszliśmy w kierunku ul. Polnej i dalej w stronę szkoły Wawelberga. Szliśmy wzdłuż muru i gdy byliśmy naprzeciwko kawiarni Lardellego, usłyszałem pierwsze strzały. Początkowo pojedyncze, po czym szybko odezwały się granaty na Polu Mokotowskim.

Mama Janka złapała nas za ręce i biegiem zaczęliśmy uciekać w stronę domu. I wtedy z ul. Marszałkowskiej odezwał się karabin maszynowy, a nam do bramy zostało zaledwie 40 m. Wówczas wpadliśmy w rzędy rosnących wzdłuż chodnika ziemniaków. To mogło być ok. 17.20. Tam zaczęła się nasza gehenna. Tylko huk, strzały i granaty. Modliliśmy się głośno. W pewnym momencie Janek został ranny. Jak się później okazało, dostał tzw. kulą dum-dum. Miał dziurkę w obojczyku, a z drugiej strony rozerwało mu cały bok i rękę.

Około 21.30, obawiając się, że Janek umrze z upływu krwi, jego mama podjęła decyzję. Krzyknęła: „Idziemy!”. Oboje podnieśli- ▶

śmy go i chodnikiem wleliśmy w kierunku rogu ul. Marszałkowskiej. Wówczas zobaczyłem ten karabin maszynowy, obsługiwało go trzech niemieckich żołnierzy. Widzieli nas, a my ich. Szliśmy jednak dalej. Widzieliśmy, jak odwracają karabin maszynowy, żeby strzelić nam w plecy. Pamiętam to doskonale. Wówczas nie przeżywałem tego jak dziecko, tylko jak dorosły. Wtedy człowiekowi robi się tak... nie tyle słabo, ile miękko – z pełną świadomością, że to już jest koniec. Szliśmy tak, ciągnąc Janka, krok za krokiem, i wciąż ta myśl: Dlaczego jeszcze nie strzelają? Nie strzelili. Wpadliśmy do bramy. Kilka osób zabrało Janka. Poleciałem jak na skrzydłach do domu i padłem w ramiona matki.

### Zna Pan późniejsze losy kolegi?

Janka spotkałem jeszcze dwa razy w życiu. Pierwszy raz może 3 lub 4 sierpnia, widziałem, jak wynoszą go na noszach. Drugie niesamowite spotkanie było w 1946 roku, gdy mieszkaliśmy w Szczecinku. Wyszedłem z domu i obok ciastkarni zobaczyłem w bramie Janka. Okazało się, że jechał transportem na zachód, mieli postój w Szczecinku. Zamieniliśmy dosłownie kilka słów.

### Jak doszło do tego, że niespełna dziesięcioletnie dziecko zostało przyjęte w szeregi walczących powstańców? Jak odnosili się do was dowódcy?

Po tym jak cudem uniknąłem śmierci, do 4 sierpnia siedzieliśmy w piwnicach naszego domu. Jednak gdy gruchnęła informacja, że na Marszałkowskiej Niemcy i RONA [kolaboracyjna formacja złożona z Rosjan] palą domy i mordują ludzi, musieliśmy uciekać. Prowadzeni przez młodych żołnierzy ulicami Mokotowską, Jaworzyńską, 6 Sierpnia i Śniadeckich, dostaliśmy się na Koszykową. Tam już zostaliśmy do końca powstania. Znaleźliśmy kąt u księży, których jako ministrant dobrze znałem. Następnego dnia spotkałem tam mojego bliskiego kolegę – Janusza Księgę. I to właśnie on zaprowadził mnie na Wydział Architektury (róg Koszykowej i Lwowskiej), gdzie stacjonowała 3. Kompania Batalionu Pancernego „Golski”. Początkowo nie



▶ Zaświadczenie o wysiedleniu rodziny Zamiarów do Starachowic – Edward Zamiaara wskazuje na błędną datę, wg niego do Starachowic rodzina przybyła 6 lub 7 października 1944 roku

chcieli ze mną rozmawiać, mówiąc, że jestem za smarkaty. Wówczas Janusz z kimś tam pogadał – i już zostałem.

### Na czym polegały wyznaczane Panu zadania?

Nie od razu poszedłem na pierwszą linię, czyli na barykady. Przyzwyczajano mnie do różnych zadań. Bardzo dużo było roboty łącznościowej, noszenia meldunków, rozkazów, leków. Z biegiem czasu dopuścili mnie do noszenia zapalników i butelek zapalających, czego przeraźliwie się bałem. Produkowano je w podziemiach szpitala na Śniadeckich. To było wielkie bieganie. Co ważne, dostawałem tam jeść. Jak zostałem ranny, przestałem chodzić na stołówkę, było mi wstyd, że nie mogę już nic zrobić dla powstania.

Ponieważ wiedziano, że mieszkam u księży, często zlecano mi pośrednictwo w organizacji pogrzebów. Zmarłych chowano między ulicami Śniadeckich, Lwowską a Koszykową. Byłem ministrantem, do mnie należało uczestniczenie w pogrzebach, miałem również dopilnować, żeby groby zostały oznaczone nazwiskami pochowanych tam ludzi.

### Mali powstańcy, prócz tego, że byli łącznikami, pełnili również wiele innych ważnych funkcji.

Tak, to prawda. Na przykład Harcerska Poczta Polowa była doskonale zorganizowana. Dzięki jej działalności mama miała stały kontakt z ojcem. Stąd wiedział, gdzie jesteśmy i jak się trzymamy.

### W jakich okolicznościach został Pan ranny?

Gdy pluton ojca został przeniesiony na ul. Piusa XI (dzisiejsza Piękna), dostał przepustkę i przyszedł do nas na Koszykową. Ja w tym czasie kręciłem się na trasie i ktoś powiedział, że ojciec wrócił. Nie poznałem go! Stał w mundurze niemieckim, a reszta na nim to była sama stal. Był dosłownie cały zakuty w zbroję, obwinięty wstęgami amunicji, z pistoletem maszynowym w rękę i długą nieogoloną brodą.

15 września poszedłem do szpitala na Poznańską, miałem jeszcze zanieść coś na Śniadeckich. Po drodze wstąpiłem do ojca. I w tym momencie dosięgł nas Karl. Pocisk ważący ponad dwie tony padł kilkadziesiąt metrów dalej, w kierunku ul. Mar-



▶ Zaświadczenie o nadaniu Władysławowi Zamiarze nieruchomości w Szczecinku, lipiec 1946 roku

szalkowskiej. Siła rażenia była przerażająca. Po wybuchu straciłem słuch i wzrok. Ojciec, któremu zmiażdżyło kolana, ciągnął mnie w kierunku korytarza i dalej schodkami przez podwórko do bramy. Wówczas zdałem sobie sprawę, że jestem ranny. Krew z przeciętej żyły tryskała jak gejzer – jakaś kobieta zerwała chustkę z głowy i zawinęła nią moją rękę. Miałem jeszcze przecięty nos i dziurę w głowie. Nie wiem, kto zaprowadził mnie do szpitala przy Śniadeckich. To był chyba najgorszy obraz, jaki widziałam w czasie powstania. Było mnóstwo rannych.

### Jak zakończył się dla Pana udział w powstaniu? Jak przyjęliście wieść o jego ostatecznym upadku?

Ostatnie dwa tygodnie powstania z najbliższymi spędziliśmy w piwnicach. Nie było co jeść, warunki sanitarne były straszne. Pamiętam takie zdarzenie. W kierunku ul. Lwowskiej szedł żołnierz i niósł naręczę chleba. Mama dobiegła do niego, zdjęła złotą obrączkę i dawała mu za jeden bochenek. Nie zgodził się. Chleb miał wówczas większą wartość niż złoto. Pod koniec powstania stosunek ludności cywilnej do żołnierzy był, delikatnie mówiąc, niesympatyczny. Powstanie musiało się skończyć.

Z Warszawy wychodziliśmy ulicą Śniadeckich. Ojciec szedł o kulach. Mnie niosła mama, z osłabienia nie byłem w stanie iść o własnych siłach. Dotarliśmy do obozu w Pruszkowie, tam dzięki ojcu i jego znajomości niemieckiego nie zostaliśmy rozdzieleni. Załadowano nas do otwartych wagonów – węglarek. Straszna to była podróż: w ścisku, bez jedzenia i wody. W pewnym momencie znaleźliśmy się w pobliżu Oświęcimia. Wówczas pierwszy raz usłyszałem tę nazwę. Pociąg jednak zawrócił. Około 6 października wysadzono nas na stacji w Starachowicach, tam dostaliśmy posiłek, i rozwożono nas do pobliskich miejscowości. My trafiliśmy do Prędocina niedaleko Iłży, przyjął nas Jan Kurek, tamtejszy sołtys.

### Jak to się stało, że ostatecznie znaleźliście dom na Ziemiach Zachodnich?

W styczniu 1945 roku ruszyła ofensywa zimowa Sowieców, skończyła się niemiecka okupacja. Trzeba było coś ze sobą począć. W marcu ojciec wyjechał do Warszawy, ale szybko wrócił, nie było już naszego domu. Więc wyruszył na zachód. Po jakimś czasie wrócił i zabrał nas do Czaplinka – to był czerwiec 1945 roku. Znalazł pracę jako milicjant. Szybko przenieśliśmy się do Szczecinka, ojciec był kierownikiem miejscowego komisariatu, ale tylko do końca 1946 roku.

### Czy trauma przeżytych doświadczeń miała wpływ na późniejsze życie Pana i rodziny?

Takie przeżycia zostawiają ślad w ludzkiej psychice. Kłamią ci, którzy mówią, że to było, minęło i nie wróci. To nie mija nigdy. To ciągle tkwi w człowieku. My przecież przeżyliśmy własną śmierć. W ostatnich dniach powstania ranni, głodni i wycieńczeni siedzieliśmy w piwnicach. Niemcy dobrali się do naszego kwartału, wiedzieliśmy, że burzą budynek po budynku. Wybuch bomby zasypał wejście i okna do piwnicy, panowała ciemność.



Fot. ze zbiorów Edwarda Zamiaty

► Spotkanie członków Kóło Powstańców Warszawskich w Urzędzie Wojewódzkim w Szczecinie

Całe kawałki muru sypały się na głowę. Wówczas wśród nas był ksiądz, modlił się, a wszyscy powtarzali za nim. Czuliśmy, że to już koniec. Mama trzymała nas, dzieci, w objęciach. Wtedy kapłan udzielił nam wszystkim zbiorowego rozgrzeszenia *in articulo mortis*. I w tej chwili wszystko ustało, ocaliliśmy.

Jeszcze jedno, co ze mną zostało, to smak głodu. Jak byłem w harcerstwie, szkole, na uczelni, zawsze chodziłem z suchą kromką chleba w kieszeni. Bałem się, że będę znów głodny. Do dziś zawsze mam pełną zamrażarkę – to jest silniejsze ode mnie!

Przez lata dochodziłem do zdrowia. Moja ręka i palce długo nie były sprawne. Dzięki wstawiennictwu sowieckiego komendanta Szczecinka wyciągnięto mi tkwiący w przedramieniu odłamek, a później w ramach rehabilitacji uczyłem się gry na różnych instrumentach. To wszystko zawdzięczam moim rodzicom.

### Czy po wojnie często rozmawialiście o powstańczych przeżyciach?

Mój ojciec wychodził z założenia, że im mniej się wie, tym dla człowieka lepiej – dlatego tak mało wiedziałem i wiem o działalności ojca w czasie Powstania Warszawskiego. Nigdy po wojnie nie wracaliśmy do tych wydarzeń. To był w rodzinie temat tabu. Z jednej strony mówienie o tym było dla nas trudne, z drugiej zaś niebezpieczne.

### Do dziś spotyka się Pan z młodzieżą, opowiadając o doświadczeniach i przeżyciach sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Jak Pan myśli, jest to dla nich już raczej prehistoria czy wręcz przeciwnie, wykazują zainteresowanie tą tematyką?

Wykazują niespotykane zainteresowanie. Dziwi mnie to. Zadają przy tym mądre, ciekawe pytania. Na przykład taki chłopak pyta: „Czy to prawda, że kobiety nie dostawały broni?”. A ja na to, że broni było zbyt mało dla samych powstańców. Kupuję literaturę dotyczącą powstania i przekazuję te książki młodzieży. Ale nie po to, żeby gloryfikować wojnę i zabijanie. Chcę, by wiedzieli, by znali te wydarzenia, żeby nikt nie wcisnął im różnych bzdur na ten temat. ❄



Fot. TVP/PAP/Mirosław Staniekiewicz

# Gdy piosenka szła do wojska

**Festiwal w Kołobrzegu okazał się kompletną porażką władz. Nie tylko ogół społeczeństwa, ale nawet mundurowi nie chcieli słuchać ani śpiewać sztucznie wykreowanych piosenek żołnierskich – mówi dr Karolina Bittner, autorka książki *Piosenka w służbie propagandy. Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu 1968–1989*, w rozmowie z Karoliną Wichowską**

**Na co dzień zajmujesz się polskim wzornictwem przemysłowym. Jak to się stało, że badaczka zjawiska powszechnie uznawanego za symbol dobrego smaku zajęła się Festiwalem Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu, czyli imprezą uchodzącą za symbol obciachu?**

To bardzo ciekawe zestawienie dwóch zjawisk kultury masowej w PRL! Festiwale muzyczne z tamtego okresu zawsze mnie interesowały, ale wokół tego kołobrzegskiego narosło najwięcej

mitów. Artyści, którzy tam występowali, albo wymazują go z życiorysu, albo dorabiają do tych występów ideologię kombatancką, twierdząc, że byli zmuszeni tam występować. Dlatego postanowiłam się dokładniej przyjrzeć jego historii.

**Prześledziłaś teksty prasowe poświęcone kołobrzegiemu festiwalowi oraz związane z nim dokumenty, wytworzone przez partię i organizatora festiwalu – Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Co Cię zaskoczyło podczas tej lektury?**

Niespodzianką był dla mnie odbiór imprezy w prasie lokalnej. Tytuły takie jak „Gazeta Koszalińska” czy „Głos Pomorza” przedstawiały imprezę w jej schyłkowym okresie, jakby została narzucona społeczności lokalnej wbrew jej woli. Czytamy o prezentowanych na estradzie szmirze i grafomańskich tekstach. Tego oczywiście nie znajdziemy w prasie wojskowej, tam są same peany, w „Trybunie Ludu”, organie Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, głosy krytyki się zdarzają, ale są wyważone, nieśmiałe. Zaskoczyło mnie również to, że możemy wyodrębnić w historii festiwalu okresy, między którymi da się zauważyć istotną różnicę w jakości repertuaru. Najważniejsza cezura to rok 1975, kiedy wojsko całkowicie przejęło organizację imprezy. Wcześniej przygotowywała ją z udziałem władz lokalnych. W tym samym momencie festiwal stał się bardziej niż poprzednio zideologizowany. Do 1975 roku na festiwalu prezentowano piosenki po prostu dobre, broniące się melodią i lekkimi tekstami, np. *Powołanie* („Gdy piosenka szła do wojska...”) Maryli Rodowicz. To jest zwykły utwór popowy, nie tak ideologiczny jak np. *Gdy Polska da nam rozkaz* Adama Zwierza z 1981 roku. Do tej pierwszej, ciekawszej



Fot. Karolina Wichowska

**dr Karolina Bittner** (ur. 1983) – historyk, pracowniczka Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Poznaniu, zajmuje się rolą polskiej muzyki rozrywkowej w PRL i polskim wzornictwem przemysłowym tego okresu; autorka książki *Piosenka w służbie propagandy. Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu 1968–1989* (2015), współredaktorka (z Dorotą Skotarczak) serii wydawniczej „W kręgu kultury PRL” oraz tomu „*My głodujemy – my chcemy chleba*”. *Poznański Czerwiec 1956 r. w listach opublikowanych w Biuletynach Biura Listów Komitetu do Spraw Radiofonii „Polskie Radio”* (2011; współredaktorzy: Grzegorz Majchrzak i Przemysław Zwiernik)

grupy można też zaliczyć *Chabry z poligonu* Jerzego Rynkiewicza. Piosenka graniczna to *Wszystkie barwy lipca* Niny Urbano – utwór liryczny, w którym motyw wojska jest zasygnalizowany bardzo dyskretnie („Posłuchaj/Jak dźwięczy piosenka w mundurze”). Byłam zaskoczona, że nie wszystkie piosenki z Kołobrzegu musiały być toporne, sławiące służbę wojskową, Układ Warszawski i polsko-radzieckie braterstwo broni.

### **Na pierwszym festiwalu, jeszcze nie w Kołobrzegu, ale w Polczynie-Zdroju, miała wystąpić artystka najwyższej próby – Ewa Demarczyk.**

Również w późniejszych latach bywały plany zapraszania artystów z najwyższej półki, takich jak zespół Breakout czy Grzegorz Markowski, ale i z tego nic nie wyszło. Pamiętajmy, że pierwszy festiwal, ten w Polczynie-Zdroju, miał być po prostu jedną z wielu podobnych imprez. Podobnie jak na pierwszym festiwalu opolskim, tak i tutaj gwiazdy estrady lat pięćdziesiątych nie chciały brać udziału w nowym przedsięwzięciu, którego nie uważały za godne. Pamiętajmy, że na początku w Opolu występowali właściwie sami śpiewający aktorzy.

### **Jak to się stało, że festiwal, początkowo zlokalizowany w Polczynie, już po roku został przeniesiony do Kołobrzegu?**

Kołobrzeg to większe miasto, w Polczynie nie wystarczało miejsc noclegowych nawet dla wykonawców, trzeba ich było i tak kwatrować w Kołobrzegu, a następnie wozić na próby i występy. Połączynianie czuli się pokrzywdzeni tą zmianą i na pocieszenie dostali Przegład Zespołów Artystycznych Wojska Polskiego, w którym na przemian co dwa lata występowali profesjonalści i amatorzy. Ale to już nie była impreza rangi festiwalu kołobrzegskiego, media się nią nie interesowały. Mieszkańcy mieli prawo czuć się pokrzywdzeni, że zabrano im imprezę, która u nich się zrodziła.

### **A wymyślił ją prezes Polczyńskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, Eugeniusz Tkaczuk.**

Wcześniej działał na południu Polski i tam też próbował zainicjować coś podobnego, ale się nie udało. Spróbował po przeniesieniu do Polczyna i pomysł się przyjął. Na pozytywny wynik starań zapewne miała wpływ konfiguracja polityczna w 1967 roku – ówczesny minister spraw wewnętrznych, Mieczysław Moczar, był skory poprzeć każdą imprezę, podczas której można było uczcić partyzantów, oczywiście tych jedynie słusznych – z Armii Ludowej.

### **A „ci z AK mogli się najwyższej dołączyć” – że sparafrazują słowa serialowego Hansa Klossa.**

Tak, byleby to nie byli dowódcy. Bywały w Kołobrzegu widowiska, np. *Twoi chłopcy*, *Polsko*, zawierające bardzo szeroki przekrój piosenek, łącznie z *Czerwonymi makami na Monte Cassino*. Ale jeśli uważny widz spojrzał na mundury śpiewających je na scenie żołnierzy, to zauważył, że brakuje tych najwyższych rangą. Był to zatem hołd oddany Polakom walczącym

na różnych frontach II wojny światowej – „i na polach Lenino, i pod Monte Cassino”, jak głoszą słowa pieśni *Za nasz spokojny dom*, ale w ramach obowiązującej w PRL wizji historii.

### **Co to właściwie jest piosenka żołnierska?**

To była forma stworzona specjalnie na potrzeby festiwalu, ale docelowo miała żołnierzom zastąpić tradycyjne pieśni, np. legionowe. Mieli śpiewać o ludowym Wojsku Polskim, a nie o Pierwszej Brygadzie. Ale wystarczy sięgnąć do wydawanych dzisiaj śpiewników albo płyt z pieśniami wojskowymi, żeby się przekonać, że piosenki z Kołobrzegu się nie przyjęły. Nie przyjęły się nawet w wojsku. Dość powiedzieć, że nawet w czasie musztry żołnierze, zamiast śpiewać piosenki festiwalowe, intonowali *Szklaną pogodę* Lombardu. W książce przytaczam wyniki badań socjologicznych z 1988 roku, które świadczą o kompletnej klęsce koncepcji wychowania przez piosenkę żołnierską. Żołnierze – od szeregowych do najwyższych rangą, łącznie z oficerami kulturalno-oświatowymi – w ogóle nie dostrzegali funkcji wychowawczej w piosenkach, traktowali je wyłącznie jako formę rozrywki, zabawy. Nie potrafili też wymienić żadnych kołobrzegskich przebojów ani artystów tam występujących. Skoro zatem piosenki nie trafiły do głównej grupy docelowej, tym bardziej nie przyjęły się w pozostałej części społeczeństwa.

Drugą funkcją piosenki żołnierskiej miała być realizacja ówczesnej polityki historycznej, czyli opowiadanie historii szlaku bojowego ludowego Wojska Polskiego – znad Oki, przez Lenino, Kołobrzeg aż po Berlin. To było jedno z tego typu narzędzi, obok filmów, książek i wystaw. Nie bez kozery przez wiele lat (od 1968 do 1986) głównym konferansjerem festiwalu był niezwykle popularny odtwórca wspomnianej przez ciebie roli Hansa Klossa – Stanisław Mikulski. W autobiografii opowiadał, że bardzo lubił ten festiwal, za każdym razem dostawał od publiczności wyrazy sympatii, opisywał np., jak pewnego razu musiał wyjechać z hotelu karetką pogotowia, bo inaczej fani nie daliby mu spokojnie przejść do samochodu. ▶



### Koniec przygody „Klossa” z festiwalem zbiegli się z końcem czasów świetności imprezy.

Rzeczywiście, w połowie lat osiemdziesiątych formuła zaczęła się wypalać. Przeszły się pojawiać gwiazdy, zabrakło wielkich przebojów. W 1990 roku Ministerstwo Obrony Narodowej przestało finansować festiwal, stwierdziwszy, że ma znacznie ważniejsze wydatki, jak np. reorganizacja armii. Od 1991 roku festiwal funkcjonował w szczątkowej formule w Gdyni jako „Arsenał Artystyczny”, a w 1995 wrócił jeszcze na krótko do Kołobrzegu i po raz ostatni odbył się w 1997 roku, a brali w nim udział przede wszystkim muzycy nurtu disco-polo, stąd określenie „piosenka disco-żołnierska”. Być może Mikulski uznał, że wobec słabnącego prestiżu festiwalu nie ma ochoty dłużej się w niego angażować, nie znalazłam jednak w dokumentach żadnej informacji o powodach jego rezygnacji, nie ma też śladów negocjacji aktora z organizatorami.

### Znalazłaś za to dokumentację dyskusji między organizatorami a kompozytorką Katarzyną Gärtner.

Nie tyle dyskusji, ile kłótni! W drugiej połowie lat osiemdziesiątych planowano zorganizować koncert wojskowych piosenek Katarzyny Gärtner, takich jak wspomniane *Powołanie* czy wystawione na trzydziestolecie „zwycięstwa nad faszyzmem” wybitne oratorium *Zagrajcie nam dzisiaj wszystkie srebrne dzwony*. GZP WP postawił jednak warunek, że utwory zaśpiewają debiutanci, a nie pierwotni wykonawcy, jak np. Maryla Rodowicz, Halina Frąckowiak, Marek Grechuta czy Daniel Olbrychski. Gärtner miała taką pozycję, że mogła sobie pozwolić na ostrą wymianę zdań, ale w rezultacie i tak niewiele osiągnęła – koncert po prostu się nie odbył. Kompozytorka podjęła w tej korespondencji jeszcze jeden wątek, a mianowicie to, że nie dostała honorariów za utwory napisane na rzecz festiwalu. I tutaj wyszła ciekawostka: otóż okazało się, że w archiwum biura festiwalu nie ma dokumentów finansowych. Nikt nie wie, co się z nimi stało. Protokoły poszczególnych festiwali są nie do zdobycia – ani w Archiwum Państwowym w Koszalinie, ani w Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, które ma w swoich zbiorach plakaty, ulotki, karty wstępu – i to wszystko, żadnych dokumentów z biura festiwalowego. Nie ma ich też w archiwum MON. Pytanie, czy zostały zniszczone, czy ktoś je przechowuje w domu i nie chce się przyznać.

### A przecież zdarzały się oskarżenia o defraudację.

Tak, np. takie, że kiedy tomiki z tekstami piosenek, drukowane jeszcze przed festiwalem, nie znajdowały zbytu, skupowano je i niszczone. Tymczasem oficjalna prasa podawała, że festiwal kołobrzegi to jedyna tego typu impreza, która nie przynosi strat.



► Irena Falska i Stanisław Mikulski; Kołobrzeg, 1982 rok

### Zanim jednak nastąpiło załamanie lat osiemdziesiątych, festiwal cieszył się sporą popularnością, niektórzy nawet specjalnie planowali sobie urlopy na lipiec, żeby móc przyjechać na wczasy do Kołobrzegu akurat w okresie festiwalu.

Takie wpisy można dziś znaleźć na forach internetowych pod wrzuconymi do sieci nagraniami z festiwalu. Możemy zaobserwować wspólnotę, która się buduje wokół wspomnień z wakacji, tęsknoty za młodością i rozkołysanym amfiteatrem. Dla wielu festiwal był czymś bliskim ze względu na to, że występował w nim odbywający służbę wojskową syn czy brat. Ale w tej nostalgii brakuje szerszego spojrzenia na zjawisko, choćby w kontekście stanu wojennego. W ostatnim festiwalu przed jego ogłoszeniem, w 1981 roku, Adam Zwierz bez wiedzy i zgody autora tekstu, Lecha Konopińskiego, zaśpiewał *Gdy Polska da nam rozkaz*, zmieniając fragment „jak zielony młody las” na „socjalizmu bronić wraz”.



### Zupełnie jak piosenkarz wykreowany przez Pawła Wawrzeckiego w filmie Stanisława Barei *Miś*, który deklarował: „Ja wszystko, wszystko wam wyśpiewam”.

Zgadza się. A to, jak potraktowano Konopińskiego, najlepiej pokazuje, jaki był stosunek organizatorów do autorów. Zresztą i w przypadku wykonawców nie było tak, że artyści się zgłaszali z propozycjami, tylko organizatorzy zwracali się do piosenkarzy, pytając, czy zechcą zaśpiewać konkretną piosenkę. W stanie wojennym już żaden z popularnych artystów nie chciał śpiewać na kołobrzegskiej estradzie, wobec czego organizatorzy postanowili poszukać nowego odbiorcy, mianowicie dzieci. Wystawiono wtedy widowisko dla najmłodszych, autorstwa Piotra Łosowskiego z muzyką Artura Żalskiego, *Żołnierskie przygody Tomaszka Pogody*. Bo jak przekonać dorosłych ludzi tekstem „Wojsko można pokochać, wojsko można polubić” w 1982 roku?



W szczególnie kuriozalny sposób wykorzystano piosenkę żołnierską, puszczając internowanym przez radiowęzeł utwór śpiewany przez Reginę Pisarek ze słowami „Gdyby nie oni, nie byłbyś tu”. Brzmi jak czarny humor.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na to, że w stanie wojennym zdecydowano się obstarwić scenę kordonem żołnierzy. Wcześniej tak nie robiono. To świadczy o tym, że wówczas zaczęto się obawiać przejawów agresji ze strony publiczności. Zresztą stowarzyszenie „Wolność i Pokój” planowało rozrzucanie ulotek, jednak Służba Bezpieczeństwa zdołała je skonfiskować. W sektorach publiczności siedzieli też żołnierze i milicjanci (wojsko zresztą zapewniało w ten sposób zadowalającą frekwencję) i mieli interweniować w razie niepożądanego zachowania cywilów.

**Wspomniałaś, że dziś wielu artystów dopisuje kombatanckie legendy do swoich występów w Kołobrzegu, sugerując, że byli do tego zmuszani. Sądziś, że w rzeczywistości chcieli po prostu zyskać popularność lub zarobić?**

Halina Frąckowiak twierdzi, że występowała, żeby pomóc swojemu partnerowi, Józefowi Szaniawskiemu, wyjść z więzienia. Urszula Sipińska z kolei relacjonuje, iż straszono ją, że jeśli nie wystąpi na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej, to już nigdy potem nie wystąpi na innym. Mimo tego odmówiła, a później się okazało, że jednak ją zapraszano na pozostałe festiwale. Tego typu rozmowy, jeśli miały miejsce, nie były oczywiście nigdzie protokolowane, więc trudno tamte relacje w jakikolwiek sposób zweryfikować. Jednak próby odcinania się od Kołobrzegu dziwią szczególnie wtedy, gdy tamtejszą imprezę porównamy z zielonogórskim Festiwalem Piosenki Radzieckiej, który przecież był jeszcze bardziej zideologizowany. Udział w tym ostatnim nie był traktowany jako powód do wstydu. Artyści mówią raczej, że traktowali go jako jedną z wielu tego typu imprez, byli młodzi i chcieli zaistnieć. Występowali tam Małgorzata Ostrowska, Izabela Trojanowska (wtedy jeszcze Schütz) czy Michał Bajor – i oni dzisiaj się tego nie wstydzą. Ci zaś, którzy śpiewali w Kołobrzegu, mają problem, żeby o tym wspominać. Szczególnie kuriozalny jest przykład Adama Zwierza, który twierdzi, że dla niego te występy to był tylko epizod i nie chce do tego tematu wracać. Tymczasem, abstrahując od jego dużych umiejętności wokalnych, on szerszej publiczności był znany wyłącznie z Kołobrzegu!

**Powiedziałaś, że festiwal poniósł porażkę w warstwie wychowawczej czy propagandowej. Komuniści byli skuteczni w uprawianiu propagandy w mediach, ale na estradzie już nie. Dlaczego?**

Sądzę, że to wynika w jakimś stopniu z postawy artystów wobec festiwalu. On się zresztą stał obiektem kpín w kabaretach, np. kiedy wokalista Daniel wygrał z piosenką *Strzelec podhalański*, to Jan Pietrzak ripostował, że podhalańska to może być kielbasa, a nie strzelec. Piosenka jako element propagandy sprawdziła się w latach pięćdziesiątych, kiedy upowszechniano

pieśni masowe zagrzewające do odbudowy kraju po wojnie. Ale w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Polacy mieli już dostęp do zupełnie innej – bardzo dobrej – muzyki. Były inne festiwale – Sopot czy FAMA. Na tym ostatnim wielokrotnie wyśmiewano się z kołobrzeskich przebojów. Ludzie śmiali się też z tego, że na festiwalu występują głównie żony, narzeczone i kochanki oficerów. Trochę w tym było prawdy, bo jedna z najbardziej znanych gwiazd kołobrzeskich, Barbara Książkiewicz, to żona gen. Władysława Czuby z GZP.

Próbowano w pewnym momencie unowocześnić festiwal w Kołobrzegu, w latach siedemdziesiątych pojawiły się na nim rytmy disco. Piosenka *Gdy batalion rusza w marsz* może akurat nie zalicza się do tej kategorii, ale za to stroje pań w niej występujących są jakby wprost przejęte z dyskoteki. W latach osiemdziesiątych znów próbowano wprowadzić muzykę rockową, żeby przyciągnąć młodych ludzi, jednak te pomysły nie znalazły zrozumienia w GZP. Trudno mi zresztą sobie wyobrazić jakikolwiek zespół wykonujący w rockowej stylistyce *Gdy Polska da nam rozkaz*. Ale w latach osiemdziesiątych było już za późno na ratowanie takiego przedsięwzięcia, zwłaszcza dlatego, że działały trzy obiegi kultury: oficjalny, opozycyjny (występy artystów w kościołach i prywatnych mieszkaniach) i alternatywny, punkowy – najbardziej zbuntowany.

Piosenki kołobrzeskie z lat osiemdziesiątych rażą banalnością i infantylnymi tekstami. Prawdziwą perełką jest dla mnie utwór z 1985 roku *Stąd jesteśmy, stąd będziemy*: „Czasem nam tu było źle, ale częściej było dobrze i to liczy się”. Ale nie oszukujmy się, ile można napisać piosenek o wojsku? Festiwal w swej pierwotnej formule był organizowany przez ponad trzydzieści lat. Przez kilka lat można było mieć świeże pomysły. Ale w pewnym momencie autorzy musieli powieleć schematy. Skoro na każdy festiwal oczekiwano stworzenia trzydziestu nowych piosenek, to w ciągu dwudziestu lat daje to sześćset utworów. A ile można ich napisać na jeden temat? 🍷

Fot. PAP/Stephan Kraszewski



# Znak nadziei

Znak Polski Walczącej mocno niepokoił niemieckich okupantów, zwalczających zaciekle wszelkie symbole polskiej niepodległości. Mimo ostrych zakazów i nakazów jego usuwania był upowszechniany w czasie wojny – mówi **Andrzej Gładkowski**, powstaniec warszawski i autor książek o tematyce historycznej, w rozmowie z Filipem Gańczakiem

**Losy II wojny światowej rozstrzygnęły się na frontach, ale bardzo istotna była też rywalizacja propagandowa.**

Obie strony toczyły m.in. walkę o symbole zwycięstwa. Były potrzebne, by podtrzymywać na duchu społeczeństwa biorące udział w wojnie. Na przełomie 1940 i 1941 roku, a więc w okresie niemieckich zwycięstw, powstał w Wielkiej Brytanii znak V – *Victory* – świadczący o żywej mimo wszystko nadziei na zwycięstwo. Powszechnie znak ten wyrażały uniesione w górę dwa palce. Znak V został natychmiast podchwyceny przez niemiecką propagandę. W III Rzeszy zaczęto go wykorzystywać jako symbol własnych zwycięstw. Rozpoczęło się jego upowszechnianie w bardzo agresywnej formie. Monumentalna litera V została na



Fot. Teresa Gładkowska

**Andrzej Gładkowski** „Andrzejek”, „Ostoja” (ur. 1931) – w czasie okupacji działał w konspiracyjnych Szarych Szeregach; w trakcie Powstania Warszawskiego był łącznikiem szefa Służby Sanitarnej Grupy „Północ”, płk. dr. Stefana Tarnawskiego; we wrześniu 1944 roku opuścił miasto wraz z ludnością cywilną; trafił do obozów przejściowych w Pruszkowie i we Frankfurcie nad Odrą; był wykorzystywany przez Niemców do prac przymusowych; wiosną 1945 roku powrócił do Warszawy; ukończył w SGGW mechanizację rolnictwa; jest członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i m.in. kawalerem Warszawskiego Krzyża Powstańczego; wydał m.in. książki *Kotwica Walcząca. Dzieje znaku Polski Walczącej* (2008), *Motoryzacja w konspiracji* (2011) i *Symbol Polski Walczącej* (2016)

przykład ustawiona przez Niemców na pl. Piłsudskiego w Warszawie, noszącym wówczas imię Adolfa Hitlera. Nasz ruch oporu podjął walkę z niemieckim znakiem V przez przeinaczenie jego znaczenia na różne, często satyryczne sposoby. Do V dopisywano chociażby „kaputt” lub „GrunVald”.

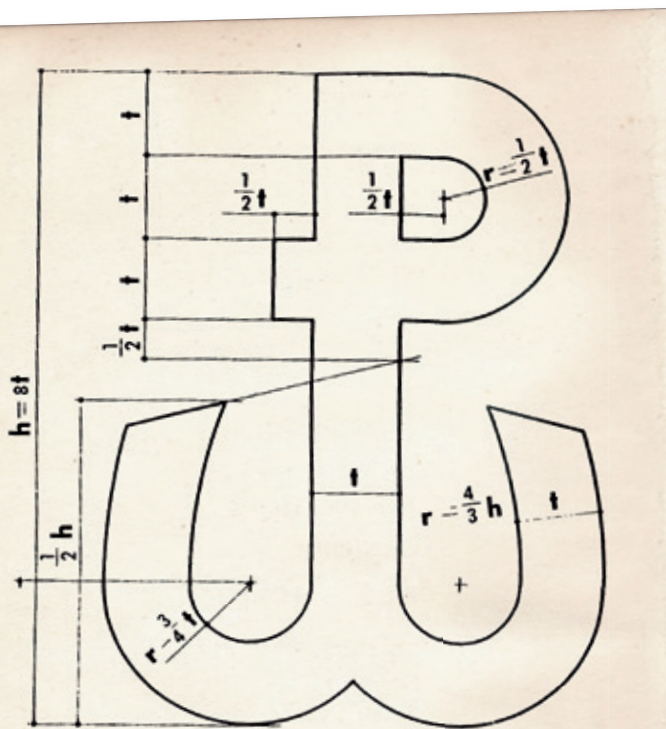
**Na początku 1942 roku w polskiej konspiracji niepodległościowej postanowiono stworzyć własny znak nadziei na ostateczne zwycięstwo.**

W Komisji Propagandy Okręgu Warszawskiego Związku Walki Zbrojnej (od 14 lutego 1942 roku: Armii Krajowej) rozpisano wówczas tajny konkurs na znak nadziei na ostateczne zwycięstwo. Znak taki musiał być prosty w wykonaniu. Informację o konkursie upowszechniano metodami konspiracyjnymi w środowisku Komisji KP i wtajemniczanych znajomych. Nadeszło ponad dwadzieścia projektów. Brano pod uwagę zwłaszcza znak tworzony przez dwa skrzyżowane miecze grunwaldzkie. Ostatecznie jednak największe uznanie jury zyskał konkurencyjny projekt kotwicy, tworzonej przez splecione litery P oraz W – znak dzisiaj tak dobrze znany.

**Jego autorstwo przypisuje się Annie Smoleńskiej „Hani”.**

Najpewniej tak właśnie było. Potwierdziła to zresztą po latach Maria Straszewska, zasiadająca w tajnej komisji konkursowej. Harcerka Anna Smoleńska była sekretarzem tej komisji, była uzdolniona graficznie. Prawdopodobnie, znając już inne, wcześniejsze symbole kotwicy, zaproponowała znak kotwicy jako Polski Walczącej.

**Już przed wojną niektóre wydawnictwa – w książce *Symbol Polski Walczącej* wspomina Pan o Wydawnictwie Polskim i Wydawnictwie Przeworskiego – umieszczały w swoim logo litery P i W.**



► Klasyczny kształt kotwicy według standardu londyńskiego

Fot. ze zbiorów autora



► Pierwsza strona „Biuletynu Informacyjnego” z 16 kwietnia 1942 roku z artykułem o kotwicy

► Anna Smoleńska (1920–1943)

Kotwica jako symbol nadziei albo czegoś pozytywnego funkcjonuje od starożytności. Pojawiała się także w naszej biżuterii patriotycznej z okresu Powstania Styczniowego. Wykorzystanie w znaku kotwicy liter P (jak Polska) i W (jak walka), rozumianych jako symbol nadziei na niepodległość, to już jednak oryginalny pomysł z okresu II wojny światowej.

**Przyjmuje się, że pierwsze kotwice pojawiły się na przełomie marca i kwietnia 1942 roku, m.in. przed wejściem do cukierni Lardellego przy ul. Polnej w Warszawie, a ich wykonawcą w tym miejscu był słynny harcerz – konspirator „Alek”, Maciej Aleksy Dawidowski.**

Tak. W połowie kwietnia o akcji rysowania kotwicy na murach Warszawy pisał już konspiracyjny „Biuletyn Informacyjny” AK. Znak Polski Walczącej szybko został upowszechniony. Pojawiał się w wielu przypadkach spontanicznie, ale też w sposób zorganizowany. W jego malowaniu na murach Warszawy i innych miast wyróżniała się młodzieżowa Organizacja Małego Sabotażu „Wawer”.

**Zaletą kotwicy Polski Walczącej była jej prostota.**

Do namalowania znaku Polski Walczącej wystarczą trzy ruchy ręką. Potrafią to zrobić nawet przedszkolaki. W warunkach okupacyjnych upowszechnianie kotwicy było jednak bardzo trudne. Okupant wydał specjalne rozporządzenie, które w sposób ogólny zabraniało umieszczania jakichkolwiek napisów, poza urzędowymi, w jakimkolwiek miejscu. To sprawiało, że znaki Polski Walczącej musiały być urzędowo usuwane. Znane są – anegdotyczne raczej – opowieści o tym, jak dozorca domu, na którym narysowano kotwicę, na polecenie jej usunięcia – usuwając, wykuł jej rysunek w murze. Faktem jest jednak to, że znaki Polski Walczącej najdłużej utrzymały się nie na domach mieszkalnych, tylko na murach miejskich i gmachach instytucji użyteczności publicznej. W kilku miejscach udało się je namalować nawet na niemieckich urządach okupacyjnych.

► Pierwszy znak kotwicy w okupowanej Warszawie, umieszczony na werandzie cukierni Lardellego (zdjęcie z okresu wojny)





▶ Kotwica na pomniku Lotnika (zdjęcie z okresu okupacji)

### Czy Pan w czasie okupacji też widywał kotwice?

Tak, oczywiście. Nie tylko widywałem – sam kilka razy pokusiłem się o wykonanie takiego znaku kredą. Znaki, ogólnie rzecz biorąc, były wykonywane w dwóch kolorach. Czarne wykonywano specjalnie przygotowaną, bardzo trudno zmywalną mieszanką farb, a białe – mieszanką gipsu z kredą albo samą kredą.

### Kotwicę malowano na różne sposoby – nie tylko kredą lub pędzlem.

Harcerskie zespoły dziewczęce Szarych Szeregów stosowały stempel Polski Walczącej, który odbijały na murach. Starsi harcerze celowali m.in. w umieszczaniu znaku Polski Walczącej wysoko, w trudno dostępnych miejscach, aby nie było łatwo go usunąć. Stosowano do tego specjalne urządzenie zwane piórem z kałamarzem, czyli umieszczoną na składanym kiju puszkę z farbą i z knotkiem. W ten sposób znak został wykonany również na pl. Unii Lubelskiej w Warszawie. Tam właśnie powstał najbardziej znany znak Polski Walczącej z czasu okupacji.

### Chodzi o znak namalowany przez Jana Bytnara „Rudego” na pomniku Lotnika, dziś stojącym w innym miejscu, u zbiegu Żwirki i Wigury, Wawelskiej i Raszyńskiej.

Wtedy namalowany – dodajmy – w zasadzie w biały dzień, w centrum stolicy, w pobliżu siedziby gestapo.

### Choć trudno w to uwierzyć, wydaje się, że nikt nie został zatrzymany, aresztowany ani zastrzelony podczas malowania kotwicy.

Rzeczywiście nikt nie zginął, aczkolwiek ryzyko było duże. W samej Warszawie było kilka tysięcy obywateli niemieckich, którzy nawet po cywilnemu byli obowiązani do noszenia broni. Kotwice malowano jednak ukradkiem i szybko oddalano się od miejsca wykonania znaku. Dzięki temu nikogo nie złapano, choć np. zdarzyło się, że przechodząca Niemka urządziła awanturę. Kreślący znak konspiracyjni harcerze, wykonując odwrót, maznęli ją po twarzy pędzlem z czarną farbą.

### W co najmniej jednym przypadku – w marcu 1944 roku – znak Polski Walczącej był malowany w dwóch etapach.

Średniej wielkości znak kotwicy był prosty do wykonania za jednym razem. Ale harcerze z Szarych Szeregów chcieli, by był widoczny z daleka dla Niemców stacjonujących na Polu Mokotowskim. Zaczęli malować mniej więcej dwumetrowy znak, jednak zastygła im farba i dopiero następnego dnia dokończyli swe dzieło. Jest to chyba jedyny znany przypadek malowania kotwicy na raty.

### Interesująca była też akcja opatrzenia znakiem Polski Walczącej części nakładu polskojęzycznej gazdówki niemieckiej, „Nowego Kuriera Warszawskiego” – 27 czerwca 1942 i 1943 roku.

Za pierwszym razem ostemplowano w ten sposób – w porozumieniu z dostawcami gazet – kilkaset, a za drugim razem nawet kilka tysięcy egzemplarzy dziennika oficjalnie wydawanego w czasie okupacji. Ta część nakładu znalazła się w sprzedaży i była potem pamiątką patriotyczną i bibliofilską.

### Wiele spośród znaków kotwicy, które przetrwały wojnę na murach, zostało usuniętych w trakcie odbudowy Warszawy.

Kotwica podzieliła losy polityczne Armii Krajowej, która w okresie powojennym była co najmniej źle widziana przez władze komunistyczne. Znaki Polski Walczącej były usuwane w czasie odbudowy stolicy. Ostatnio, w 2014 roku, w trakcie odnawiania elewacji gmachu Najwyższej Izby Kontroli przy ul. Filtrowej odkryto zatynkowane oryginalne kotwice malowane w okresie okupacji. Warto zauważyć, że w tym budynku mieściły się wówczas biura miejskie Urzędu Gubernatora Dystryktu Warszawa. Okazuje się, że i na tym gmachu udało się umieścić znaki Polski Walczącej.



Fot. Andrzej Gladkowski

► Gmach PAST-y w Warszawie

**W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych znak Polski Walczącej był wykorzystywany przez ówczesną opozycję antykomunistyczną. Pamięć o znaku kotwicy była też pielęgnowana na emigracji.**

Różne partie polityczne lub stowarzyszenia, np. sportowe, usiłowały wykorzystywać znak Polski Walczącej na swych transparentach. W londyńskich kołach emigracyjnych zbliżonych do rządu RP na uchodźstwie dokonano nawet tzw. normalizacji znaku kotwicy. Powstał standard tego rysunkowego znaku z zaznaczeniem dokładnych proporcji i łuków – jak powinna wyglądać taka klasyczna kotwica. Rysunkowi towarzyszyła wzorcowa ilustracja – kotwica umieszczona na tle muru, czyli tam, gdzie pojawiała się najczęściej.

**Dziś znak Polski Walczącej zdobi budynki, pomniki, kwatery powstańcze. Czy do któregoś z tych miejsc ma Pan szczególny sentyment?**



Fot. PAP/Radek Pietruszka

► Uroczystość odsłonięcia pomnika Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej, Warszawa, 7 października 2013 roku



Do moich ulubionych kotwic obecnie widocznych należy znak Polski Walczącej umieszczony na gmachu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej przy ul. Zielnej w centrum Warszawy. Byłem w gronie kilku osób, które w 2003 roku doprowadziły do ustawienia znaku w tym miejscu.

**Kotwica Polski Walczącej pojawia się też m.in. na koszulkach.**

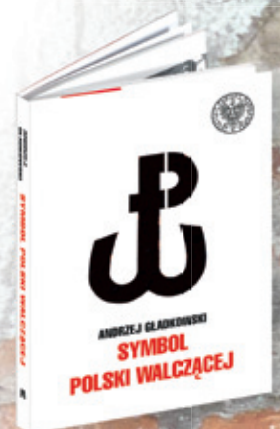
Jest częstym elementem tzw. odzieży patriotycznej, co uważam za słuszne. Znak Polski Walczącej, naszyty na ramieniu, noszą też żołnierze jednostki specjalnej GROM.

**Niektóre współczesne sposoby wykorzystania znaku Polski Walczącej budzą jednak kontrowersje.**

Zdarzało się używanie tego znaku przy okazji manifestacji różnego rodzaju, na przykład na tegorocznej Paradzie Równości w Warszawie. Znak Polski Walczącej zaczął być też wykorzystywany jako zawieszka do kluczy samochodowych, nadruk na kubku itp. Pojawiły się nawet tatuaże ze znakiem kotwicy. Tatuaże – to nie sposób na upamiętnienie znaku Polski Walczącej. Wśród ludzi pamiętających, jak ten znak powstał, budzi to niekiedy niesmak i zdenerwowanie. Związek Powstańców Warszawskich, którego działalność wspieram, doszedł do wniosku, że wykorzystanie znaku Polski Walczącej powinno zostać ujęte w jakieś ramy, określające, kiedy jest to pożądane i potrzebne, a kiedy niestosowne. Udało się przekonać do tego polityków. 10 czerwca 2014 roku sejm niemal jednogłośnie – przy jednym głosie przeciwnym i jednym wstrzymującym się – przyjął ustawę o ochronie znaku Polski Walczącej.

**Poświęcił Pan kotwicy aż dwie książki.**

Pierwsza, *Kotwica walcząca*, ukazała się w 2008 roku nakładem Fundacji „Warszawa Walczy 1939–1945”. Napisałem tę książkę tak, jak na to pozwalał ówczesny stan wiedzy. W roku 2016 wiemy dużo więcej. Obecne ipeenowskie wydanie, *Symbol Polski Walczącej*, jest kompletne. Ma też bardzo nowoczesną oprawę graficzną i zawiera około stu ilustracji, w większości kolorowych. Książka o znaku Polski Walczącej powinna znaleźć miejsce w każdym domu o tradycjach patriotycznych, tak aby rodzice mogli przekazać wiedzę na ten temat kolejnemu pokoleniu. 🇵🇱





Fot. NAC

# Z ziemi sowieckiej do perskiej

Sławomir Kalbarczyk

**W sierpniu 1942 roku Armia Andersa została ewakuowana ze Związku Sowieckiego do Iranu. Była to klęska polityki gen. Władysława Sikorskiego, który zakładał obecność polskiego wojska na froncie wschodnim.**

**A**rmia Polska pod dowództwem gen. Władysława Andersa, która powstała w Związku Sowieckim na podstawie polsko-sowieckiego układu z 30 lipca 1941 roku, miała walczyć na froncie wschodnim. Najlepiej świadczy o tym to, że chociaż jako całość stanowiła część sił zbrojnych suwerennej Rzeczypospolitej, operacyjnie miała podlegać Najwyższemu Dowództwu Armii Czerwonej. Jednak bardzo szybko, bo już jesienią

1941 roku, pojawił się zamiar ewakuowania jej z terytorium sowieckiego do Iranu. Wynikało to z problemów z uzbrojeniem: Sowietci, którzy cierpieli na brak broni, mogli wyposażyć zaledwie jedną polską dywizję. Było to zdecydowanie poniżej aspiracji Polaków, którzy chcieli stworzyć w Związku Sowieckim formację liczącą nawet 100 tys. ludzi. Wiedząc o problemach z uzbrojeniem i wyposażeniem Armii Polskiej w Związku Sowieckim, brytyjski premier Winston Churchill za-

► Premier RP i Naczelnny Wódz, gen. Władysław Sikorski, wita się z ambasadorem Stanisławem Kotem

proponował w końcu października 1941 roku szefowi polskiego rządu i zarazem Naczelnemu Wodzowi, gen. Władysławowi Sikorskiemu, ewakuowanie wojsk polskich do Iranu, gdzie Brytyjczycy mogliby dostarczyć potrzebny sprzęt. Gotowa do walki armia miała wrócić na rosyjską ziemię i walczyć na froncie wschodnim. Sikorski zapalił się do tego pomysłu.

## Milczenie Kota, wściekłość Stalina

Być może wszystko poszłoby gładko, gdyby nie jeden człowiek – prof. Stanisław Kot, polski ambasador w Związku Sowieckim. Z niewiadomych względów zignorował on polecenie Sikorskiego i nie powiadomił Józefa Stalina, że premier RP chce na określony czas przenieść armię polską do Iranu. A miał ku temu niejed-

na okazję. Tymczasem o ewakuację polskiego wojska wystąpili do sowieckiego dyktatora Amerykanie, poproszeni przez Sikorskiego o dyplomatyczne wsparcie jego zamysłów. Ponieważ nie ujawnili inspiratora swojej akcji, w umyśle sowieckiego dyktatora powstało podejrzenie, że aliansi zachodni uknuli intrygę – chcą odciągnąć polskie wojska od walki na trzeszczącym froncie wschodnim i użyć do swoich celów na Bliskim Wschodzie. Odpowiedział zatem – zgodnie zresztą z prawdą – że władze polskie, tj. ambasador Kot, nie wystąpiły z inicjatywą przeniesienia armii poza teren Sowietów, i dał do zrozumienia, by Anglosasi nie mieszały się w stosunki polsko-sowieckie.

W końcu listopada 1941 roku nieświadomy całej tej sytuacji premier Sikorski przybył z oficjalną wizytą do Związku Sowieckiego. Rozmawiając ze Stalinem 3 grudnia, wspomniawszy o zamiarze przeniesienia armii polskiej do Iranu. Wtedy sowiecki dyktator wpadł we wściekłość. Swój atak kierował głównie przeciw Anglosasom, których oskarżał o chęć zabrania polskiego wojska i wykorzystania we własnych interesach w Iraku czy nawet Singapurze. Nie wierzył, że Polacy kiedykolwiek powrócą.

Widząc, że Stalin postrzega inicjatywę ewakuacji jako anglosaski spisek, Sikorski wycofał się z całego pomysłu i postanowił, że armia pozostanie w Związku Sowieckim. Były jeszcze inne motywy, które skłaniały go do pozostawienia tam wojska. Bardzo wiele można się o nich dowiedzieć z napisanego przez premiera sprawozdania z podróży do Związku Sowieckiego. Wynika z niego, że darzył on Rosję sowiecką przesadnym zaufaniem i w ogóle nie rozumiał jej imperialnej natury. Uważał, że wejście w alians z państwami demokratycznymi zmusi Sowietów do zrewidowania stosunku do Polski. Rozumował, że skoro podpisali lipcowy układ z Rzeczpospolitą, to zaciągnęli zobowiązanie do szanowania suwerenności innych państw i narodów. Sikorski sądził, że Polska powinna dogadać się ze Związkiem Sowieckim, bo w przy-

szłości walka na dwa fronty – z Niemcami i Sowietami – będzie tylko walką o „honor narodowy”. Oceniał wreszcie, że obecnie Sowietci dotrzymują umów. Swe sprawozdanie kończył następującą uwagą: „A gdyby miało być kiedyś inaczej, wtedy poparci możliwie silną armią polską [...] będziemy w stanie przeciwstawić się tym tendencjom”.

Czy rzeczywiście polska armia byłaby w stanie sprostać takiemu zadaniu? Wydaje się to bardzo wątpliwe. Harvey Sarnier, jeden z zachodnich badaczy problemu, stwierdza wprost, że ewentualne starcie armii polskiej z Armią Czerwoną podczas wyzwania Polski byłoby rzezią Polaków.

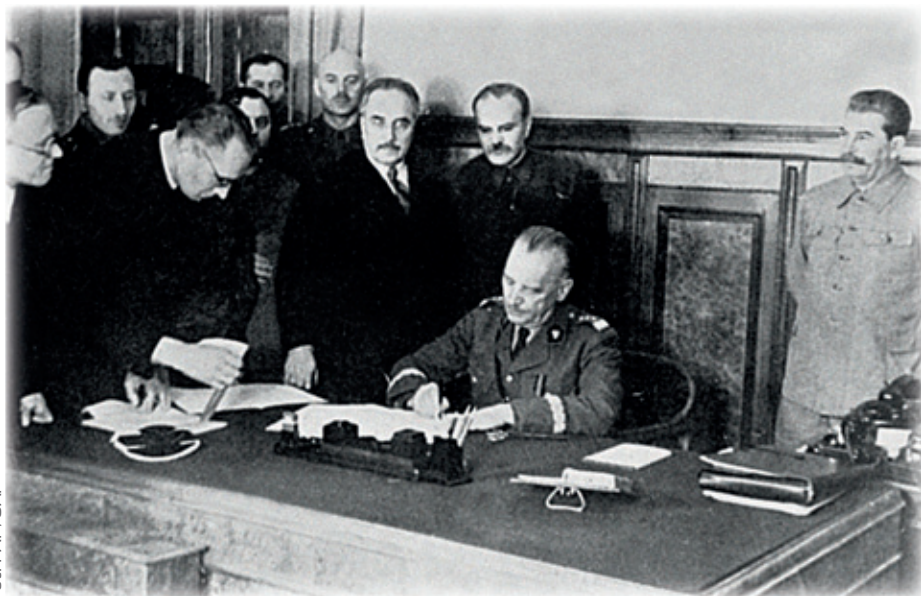
Wojsko miało zatem pozostać w Sowietach; więcej, uzgodniono, że będzie rozbudowane do niemal 100 tys. ludzi. Wydawało się, że rozwój armii polskiej został tym samym zagwarantowany.

### Zabiegi Andersa

Były to jednak tylko złudzenia i po wyjeździe Naczelnego Wodza sprawy dość szybko zaczęły się komplikować. Do pierwszego zgrzytu doszło na początku lutego 1942 roku, kiedy to Sowietci za-

proponowali, by jedna, najlepiej uzbrojona polska dywizja wyruszyła na front. Anders i Sikorski kategorycznie odmówili, uznając, że Polacy powinni wejść do walki jako cała armia, nie zaś włączać się do działań wojennych poszczególnymi dywizjami. Miesiąc później Sowietci obcięli racje żywnościowe dla armii Andersa do 26 tys. porcji (w jej szeregach było już wówczas ponad 70 tys. żołnierzy). Stalin tłumaczył 18 marca 1942 roku zaproszonemu na Kreml Andersowi, że jest to wymuszone przez sytuację: wybuch wojny z Japonią dziesięciokrotnie zredukował dostawy zboża dla Związku Sowieckiego z Ameryki. Z tego powodu należało zrewidować plany zaopatrzenia wojsk, zmniejszając przydziały dla oddziałów niebiorących bezpośredniego udziału w walkach.

Czy była to prawda, czy tylko pretekst do ograniczenia liczebności armii, która odmawiała włączenia się do walki na warunkach sowieckich? A może, jak sądzą niektórzy historycy, kryła się za tym chęć zablokowania rozwoju polskiej armii jako takiej? Po rozmowach z Sikorskim na Kremlu, w trakcie których szef polskiego rządu odrzucił dyskusję na te- ▶



Fot. PAP/CAF

▶ Po napaści Niemiec na Związek Sowiecki rząd polski postanowił nawiązać stosunki z naszym wschodnim sąsiadem; do Moskwy udała się delegacja z premierem RP gen. Władysławem Sikorskim; 4 grudnia 1941 roku podpisano umowę o współpracy wojskowej i politycznej; od prawej: Józef Stalin, Władysław Sikorski (siedzi), Wiczesław Mołotow, ambasador polski Stanisław Kot i gen. Władysław Anders

mat rewizji wschodniej granicy Polski, Stalin nie miał już złudzeń, że uda mu się uzyskać akceptację polskich władz dla zaboru ziem polskich, którego dokonał po 17 września 1939 roku. Należało więc – pod byle pretekstem – zmniejszać armię podporządkowaną tymże władzom. Im większa bowiem i silniejsza była polska armia, tym większy w przyszłości stanowiłaby problem w realizacji terytorialnych pretensji Kremla.

Wątpliwości co do motywów obcięcia liczby racji żywnościowych budzi podejrzany sens wywodów Stalina podczas wspomnianej rozmowy z gen. Andersem, poświęconej kryzysowi zaopatrzeniowemu armii polskiej. Sowiecki dyktator z całą powagą informował, jakoby wywalczył utrzymanie liczby racji na poziomie 26 tys. – jakby ktoś śmiał spierać się z nim na ten temat! W czasie zaś dalszej wymiany zdań, nie konsultując się i nie „walcząc” z nikim, lekką ręką podniósł liczbę racji niemal o połowę – do 44 tys.

Jakkolwiek by było – bez dokumentów sowieckich zdani jesteśmy na spekulacje – redukcja armii do 44 tys. ludzi była faktem. Zdecydowano, że nadwyżka żołnierzy zostanie wysłana do Iranu. Ewakuację 30 tys. żołnierzy i ok. 14 tys. cywilów ze Związku Sowieckiego przeprowadzono w ekspresowym tempie: od 24 marca do 5 kwietnia 1942 roku.

W kwietniu 1942 roku gen. Anders polecił do Londynu – na konferencję z Naczelnym Wodzem. Nie widząc perspektyw dla Armii Polskiej w Związku Sowieckim, chciał pozostawione tam 44 tys. żołnierzy również ewakuować do Iranu. Z tym zamiarem Anders nie krył się w czasie londyńskich spotkań z gen. Sikorskim. Proponował także, by na Środkowym Wschodzie skoncentrować wszystkie siły polskie. Sikorski nie oponował wyraźnie, choć z jego wypowiedzi wynikało, że chciałby ewakuować armię w dłuższym horyzoncie czasowym. To dziwi, skoro jeszcze całkiem niedawno porzucił pomysł przeniesienia armii do Iranu. Ugodowe stanowisko Naczelnego Wodza wobec koncepcji dowódcy armii polskiej w Sowietach tłumaczy zapewne jego ówczesne zapatrywania na rozwój



► Wizyta Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego w Armii Polskiej w Związku Sowieckim; na pierwszym planie od lewej widoczni: gen. Władysław Sikorski, gen. Władysław Anders; na drugim planie od prawej widoczni: gen. Michał Tokarzewski-Karaszewicz, ambasador Stanisław Kot

sytuacji strategicznej. W liście do premiera Winstona Churchilla, z 1 kwietnia 1942 roku, a więc ledwie na kilka tygodni przed spotkaniem z Andersem, Sikorski dzielił się z brytyjskim premierem obawą przed niemiecką ofensywą na Kaukaz i Turcję, co stanowiłoby zagrożenie dla Środkowego Wschodu. W związku z niebezpieczeństwem uważał za wskazane utworzenie tam silnego zgrupowania wojsk polskich. „Możliwe – kończył swoje rozważania Naczelny Wódz – że gen. Anders ze swoimi dywizjami będzie raczej potrzebny na Środkowym Wschodzie niż w Związku Radzieckim”. Jednak po wyjeździe Andersa Sikorski zmienił zdanie i zdecydowanie odrzucił koncepcję koncentracji wojsk polskich na Środkowym Wschodzie. Opowiedział się za utrzymaniem ich rozproszenia na obszarach Środkowego Wschodu, Wielkiej Brytanii i Sowietów, ponieważ nie był w stanie przewidzieć, skąd wyjdzie główne ude-

czenie wyzwajające kraj. Z tego względu chciał nie tylko pozostawienia polskiego wojska w Związku Sowieckim, lecz także zwiększenia jego liczebności do blisko 100 tys. żołnierzy – tak, jak ustalono to w rozmowach na Kremlu w grudniu 1941 roku. Rząd podzielił jego stanowisko i 30 kwietnia 1942 roku podjął uchwałę, że pozostawienie części Polskich Sił Zbrojnych w Sowietach odpowiada polskim interesom.

1 maja 1942 roku Sikorski wysłał Andersowi instrukcję, w której nakazywał pozostanie armii w Związku Sowieckim i informował o wspomnianej uchwale rządu. Uzasadniając swoje stanowisko, podkreślał, że ewakuacja wojska pozbawiłaby miliony Polaków w Związku Sowieckim jedyne wsparcie. Chęć pozostawienia armii wynikała także z niepewności, skąd – ze Związku Sowieckiego, Wielkiej Brytanii czy Środkowego Wschodu – prowadzi najkrótsza droga do Polski.





Fot. NAC

Anders niespecjalnie przejął się poleceniami Naczelnego Wodza. W drodze powrotnej do Rosji 20 maja 1942 roku spotkał się w Kairze z dowódcą wojsk brytyjskich na Środkowym Wschodzie, gen. Claude'em Auchinleckiem, i omawiał z nim kwestię ewakuacji armii polskiej z Sowietów. Nie omieszczał zresztą powiadomić o tym Sikorskiego w wysłanej do niego depeszy. Już po powrocie do Związku Sowieckiego, 28 maja, Anders zwrócił się do Stalina o audiencję. Indagowany 3 czerwca, co chciałby z nim omówić, podał, że tematem rozmowy miałyby być przesunięcie armii polskiej ze Związku Sowieckiego na najbardziej w tym roku zagrożony teren, jakim był Środkowy Wschód. Konieczność przesunięcia armii uzasadniał także fatalnymi warunkami, w których się ona znajdowała: brakiem żywności, chorobami, klimatem itd.

Kiedy Anders bez wiedzy Naczelnego Wodza podejmował dyskusję z wła-

dzami sowieckimi o wyprowadzeniu armii, Sikorski i jego rząd jeszcze bardziej usztywnili swoje stanowisko w tej sprawie. Stało się to pod wpływem układu sowiecko-brytyjskiego, podpisanego 26 maja 1942 roku. Z tym układem Sikorski łączył wielkie obawy, ale po jego zawarciu uznał, że w niczym nie narusza on interesów Polski, a jego sygnatariusze wyrzekli się w nim wszelkich zaborów i zobowiązali do przestrzegania Karty Atlantyckiej. W oczach premiera wiarygodność Związku Sowieckiego jako lojalnego partnera wzrosła, tym bardziej więc uznał za konieczne mieć na jego terytorium polskie oddziały. Jeszcze w dniu podpisania układu sowiecko-brytyjskiego polski rząd podjął uchwałę, która głosiła, że „pozostanie części PSZ na terenie ZSSR jest w obecnej dobie koniecznością o decydującym znaczeniu politycznym”. O treści uchwały Sikorski powiadomił Andersa 5 czerwca 1942 roku. Ten odpowiedział

dwa dni potem, donosząc o katastrofalnej sytuacji armii: braku żywności, możliwości szkolenia itd. Pisał przy tym tajemniczo, że jest „prywatnie sugerowany o konieczności zasilenia wojskami naszymi Syrii, gdyż władze sowieckie obawiają się poważnej ofensywy niemieckiej na Kaukaz i wejścia Turcji do wojny po stronie Niemiec, a na przyszłość odcięcia [brytyjskich] dostaw [dla Sowietów] od [strony] Morza Czarnego”.

11 czerwca Sikorski odrzucił w całości diagnozę Andersa, stwierdzając, że dużo gorsza aniżeli armii jest sytuacja polskiej ludności cywilnej, a władze sowieckie wcale nie chcą przenosić polskiego wojska do Syrii czy na Kaukaz – o czym poinformował go sowiecki minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow (bawił akurat w Londynie). Żądał pozostania armii w Rosji. Po tej reprimendzie Anders nie występował już formalnie do władz sowieckich o zgodę na ewakuację żołnierzy.

Na upór Sikorskiego, jeśli chodzi o pozostawienie armii w Związku Sowieckim, wpływał niewątpliwie jego ówczesny pogląd na końcowy etap wojny. Naczelnny Wódz uważał, że w wyniku wyczerpujących zmagania Sowietów i Niemcy „legną bezsilnie na olbrzymich przestrzeniach rosyjskich” i o zwycięstwie, a także o kształcie powojennego świata będą decydować alianci zachodni i państwa z nimi sprzymierzone. Widać tu nie tylko myślenie życzeniowe, ale i jawne nawiązywanie do finału I wojny światowej. Przewidywania Sikorskiego okazały się zupełnie nietrafne, ale z jego punktu widzenia trzymanie polskiego wojska na ziemi rosyjskiej było uzasadnione: miało ono mianowicie, przy wsparciu mocarstw anglosaskich i korzystając z domniemanej bezsilności Sowietów, decydować o losach kraju w końcówce wojny. Dodatkową asekuracją dla planów użycia armii polskiej do ochrony polskich interesów na froncie wschodnim w końcowym okresie zmagania wojennych miało być przydzielenie jej jednej dywizji amerykańskiej i jednej brytyjskiej. Te połączone i znajdujące się pod polską komendą siły miały reprezentować wojska alianckie na froncie wschodnim, a w razie

potrzeby ich zadaniem było „przeciwstawić się symbolicznie, lecz solidarnie niepożądanym tendencjom”.

### Wolta Moskwy

Chociaż po opisanej wymianie depeš z Sikorskim gen. Anders nie podejmował już dalszych starań o ewakuację polskiego wojska ze Związku Sowieckiego, nie miało to większego znaczenia: sytuacja, zainicjowana jego zwróceniem się do Stalina o przyjęcie, zaczęła żyć własnym życiem. Początkowo jednak inicjatywa Andersa nie dała żadnych skutków: miały tygodnie, a zaproszenie z Moskwy nie nadchodziło. Nieoczekiwanie nastąpiło coś innego: 2 lipca 1942 roku Mołotow przekazał brytyjskiemu ambasadorowi w Moskwie, Archibaldowi Clarkowi Kerrowi, oświadczenie Stalina, że proponuje on, by trzy polskie dywizje zostały przesunięte z terytorium sowieckiego na Środkowy Wschód. Brytyjczycy byli tą propozycją zaskoczeni – nie rozumiejąc, dlaczego władze sowieckie zwracają się do nich o pośrednictwo w tej sprawie. Natychmiast też powiadomili o inicjatywie Stalina rząd polski, prosząc o zajęcie stanowiska. Dopiero pięć dni potem gen. Anders otrzymał depešę informu-

jącą, że rząd sowiecki zgadza się uczynić zadość jego staraniom o ewakuację wojsk polskich na Środkowy Wschód.

Dlaczego Stalin przystał na propozycję dowódcy Armii Polskiej w Związku Sowieckim? Niektórzy badacze twierdzą, że chciał się pozbyć kłopotu, jaki stanowiła niezawisła armia polska. Niewykluczona, choć to tylko hipoteza, która dodatkowo nie wyjaśnia jednej istotnej sprawy, dlaczego sowiecki dyktator nie wyrażał zgody na ewakuację przez cały miesiąc i nagle zmienił zdanie 2 lipca 1942 roku.

### Jak właściwie było?

Czy istnieją świadectwa, które mówią o motywach tej decyzji? Tak, choć jest ich niezbyt wiele. 8 lipca 1942 roku sowiecki oficer łącznikowy przy Armii Polskiej w Związku Sowieckim, kapitan NKWD Arsenij Tiszkow, poinformował Andersa, że „Stalin zdecydował się na to [na ewakuację polskiej armii] i że inicjatywa wyszła od niego, ze względu na to, że uważa Środkowy Wschód i Kaukaz za najbardziej niewralgiczny punkt w tym roku”. Tego samego dnia doszło do rozmowy między zastępcą Mołotowa, Andriejem Wyszyńskim, i ambasadorem Kotem. W jej trakcie Wyszyński wyjaśnił,

że rząd sowiecki wystąpił z propozycją przesunięcia polskich dywizji na Bliski Wschód w związku z sytuacją wojenną na tym terenie, a także położeniem w Libii. Wyszyński podkreślił, że rząd sowiecki zrobił to w imię wspólnych interesów, dodając – „sytuacja tego wymaga”.

A sytuacja na Bliskim Wschodzie oraz na froncie afrykańskim była rzeczywiście dramatyczna. W momencie, w którym Stalin wystąpił z propozycją przesunięcia polskiej armii, Brytyjczycy mieli za sobą trwający od końca maja 1942 roku odwrót, który kosztował ich 600 km utraconego terenu, zdobycie przez Niemców twierdzy w Tobruku, gdzie w ich ręce dostało się 30 tys. jeńców, i zniszczenie połowy posiadanych czołgów. Wprawdzie 1 lipca udało im się zatrzymać niemiecką ofensywę na linii obronnej Al-Alamajn, ale sytuacja była niepewna – Egipt ciągle był zagrożony. Brytyjczycy, żeby wzmocnić obronę, byli zmuszeni ściągnąć wszystkie rezerwy z Syrii, Palestyny oraz Iraku.

Oczywiście, można tłumaczenie Wyszyńskiego i Tiszkowa uznać za pretekst, maskujący chęć pozbycia się wojska, które chciało walczyć o Rzeczpospolitą suwerenną i z przedwojenną granicą wschodnią, a więc Polskę, której Stalin sobie nie życzył. Pozostaje jednak problem źródeł. Jeśli historyk ma się ich trzymać, musi skonstatować, że nie ma w nich innej motywacji strony sowieckiej, niż wyżej podana. Można ich wymowę kwestionować i dopuszczać inne przesłanki sowieckiej propozycji. Tego typu podejście jest uzasadnione – szczególnie wobec Sowietów, którzy sztukę uników i dawania Polakom kłamliwych wyjaśnień opanowali do perfekcji (np. w sprawie zaginionych rzekomo polskich jeńców). Dopuszczając inną motywację, która wydaje się nam bardziej logiczna czy prawdopodobna niż ta, którą znajdujemy w znanych nam źródłach sowieckich, musimy jednak wyraźnie zaznaczyć, że ma ona charakter hipotetyczny – jest możliwa, ale niedowodzona źródłowo.

Innymi słowy, z sowieckich źródeł wynika motywacja politycznie neutralna, o czysto militarnym charakterze, ale



► Ćwiczenia strzeleckie, na pierwszym planie żołnierz z karabinem SWT-40 wyposażonym w celownik optyczny PU; obok obserwator z lornetką; w tle żołnierze z karabinkami Mosin wz. 38



► Posiłek w górach; dowódca armii, gen. Władysław Anders (siedzi z lewej), oraz oficerowie sowieccy i przedstawiciele miejscowych władz

są podstawy do postawienia hipotezy, że owa motywacja mogła być zasłoną dymną, ukrywającą pobudki o charakterze czysto politycznym. Odpowiedź na pytanie: „Jak właściwie było?”, zależy od wyników dalszych poszukiwań w archiwach rosyjskich.

Rozważając problem sowieckich motywów, trzeba wspomnieć jeszcze o napisanej w końcu maja 1942 roku przez Andersa i przesłanej Stalinowi – na jego zresztą prośbę – ocenie sytuacji strategicznej. Anders przenikliwie przewidział w niej niemiecką ofensywę w Libii, która zmusi Brytyjczyków do ściągnięcia w celu obrony Egiptu rezerw z Syrii i Palestyny. Nie wykluczał, że Niemcy będą próbowali przeć na Środkowy Wschód, a nawet dalej, a ich celem będzie odcięcie Rosji od dostaw z południa. Ocena została posłana Stalinowi w końcu maja wraz z prośbą o audiencję.

Wynikałoby z tego, że dopiero sprawdzenie się scenariusza przedstawionego przez Andersa pobudziło Stalina do wyrażenia zgody na wyjście polskich dywizji do Iranu. Póki scenariusz ten był teorią – dyktator nie wykazał żadnej inicjatywy. W każdym razie ze wszystkich dostępnych źródeł wynika, że inspiratorem ewakuacji armii był gen. Anders – zwracając się do Stalina z umotywowaną względami strategicznymi propozycją jej przeniesienia na Środkowy Wschód.

Ewakuacja armii trwała od 9 do 30 sierpnia 1942 roku i objęła ok. 44 tys. żołnierzy i 25 tys. osób cywilnych. Była klęską polityki Sikorskiego, która zakładała obecność armii polskiej na froncie wschodnim jako symbolu polskich aspiracji niepodległościowych, a zarazem symbolu nowego wymiaru relacji polsko-sowieckich. Klęską niewątpliwie zasłużoną, bo założe-

nia polityki premiera, zasadzające się na wierze w przestrzeganie przez stalinowską Rosję reguł cywilizowanego świata i uczciwy stosunek do polskiego partnera, były nierealistyczne.

Z tego punktu widzenia wyjście armii do Iranu należy uznać za zjawisko pozytywne. Dalsza „współpraca” wojskowa z Moskwą byłaby drogą donikąd. Zaledwie osiem miesięcy po ewakuacji Sowietów *de facto* zerwały (choć formalnie „zawiesiły”) stosunki z rządem polskim. W tej nowej sytuacji z pewnością znalazłby sposób rozprawienia się z armią podporządkowaną temu rządowi, przy czym wariant jej rozbrojenia byłby najłagodniejszy. ❁

dr Sławomir Kalbarczyk – historyk, naczelnik Wydziału Badań Naukowych Biura Badań Historycznych IPN, autor m.in. biografii *Kazimierz Bartel (1882–1941). Uczony w świecie polityki* (2015)

# Niedoszła ucieczka „Zagończyka”

Szymon Nowak

Uczciwi ubecy, odważne kobiety  
i determinacja, by uciec śmierci.  
Niewiele brakowało, by Franciszek  
Jaskulski „Zagończyk” wymknął się  
komunistom z kieleckiego  
więzienia.



**K**oniec października 1946 roku, późny wieczór. Czterdziestojednoletnia nauczycielka Eugenia Prauss usłyszała w swoim kieleckim mieszkaniu głośne pukanie do drzwi. Kiedy otworzyła, na progu stał młody człowiek w mundurze i uśmiechał się rozbrajająco. Jego jasne oczy powinny budzić zaufanie, ale komunistyczny uniform już niekoniecznie. Prawdziwą grozą powiało, kiedy przybysz się przedstawił. Nazywał się Adam Jagiełło i był strażnikiem w kieleckim UB. Sprawa, z którą przychodził, była niezwykle poważna. Przyniósł ze sobą gryps od zamkniętego w areszcie Franciszka Jaskulskiego „Zagończyka”. Partyzancki dowódca prosił o pomoc w uwolnieniu go z komunistycznego więzienia.

**W ubeckiej pułapce**

Porucznik Franciszek Jaskulski „Zagończyk”, „Zagon” w czasie okupacji niemieckiej działał w Armii Krajowej. I chyba tylko za to został aresztowany przez komunistów jesienią 1944 roku. Wyrok 10 lat więzienia odsiadywał we Wronkach, skąd udało mu się uciec. Powrócił na Lubelszczyznę i związał się z antykomunistyczną konspiracją Mariana Bernaciaka „Orlika”. Jako zaufany człowiek dowódcy „Zagończyk” dostał rozkaz przejścia na lewy brzeg Wisły i stworzenia na nowym terenie struktur podziemnych. Wyruszył na początku 1946 roku, mając pod sobą około stu żołnierzy. Ale działał na tyle prędko, że wkrótce zgromadził ponad tysiąc konspiratorów – należących do Związku Zbrojnej Konspiracji (ZZK) – i stworzył struktury rozlokowane w czterech powiatach. Organizował akcje na posterunki MO, na fabrykę prochu w Pionkach, walczył z wojskami NKWD, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa. Podczas jednej z takich potyczek pod Skaryszewem zginął płk Alfred Wnukowski, dowódca KBW na województwo rzeszowskie. Najślynniejszym starciem Jaskulskiego i jego partyzantów była bitwa z czerwonoarmistami pod Zwoleniem 15 czerwca 1946 roku.

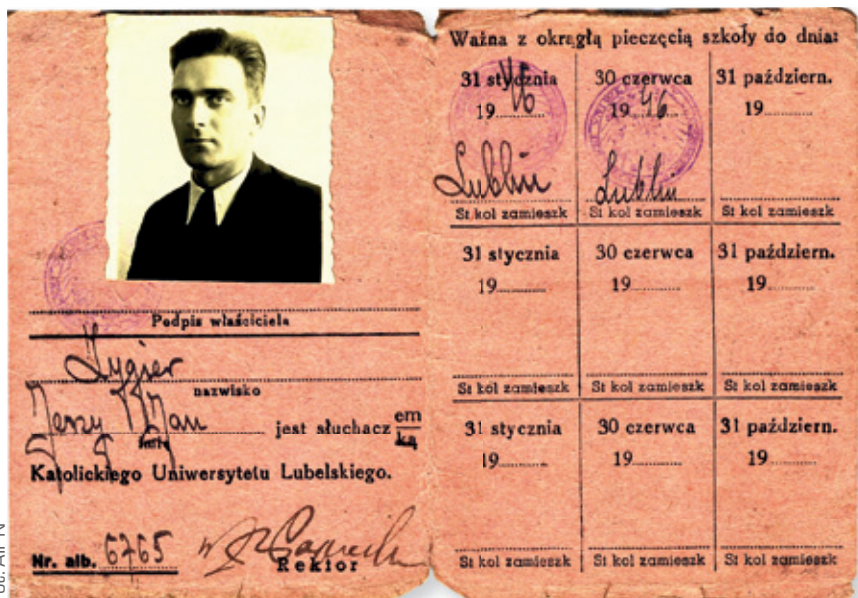
Pętla wokół podziemia antykomunistycznego zaciskała się coraz bardziej. W lipcu 1946 roku, miesiąc po śmierci „Orlika”, ubekom udało się zatrzymać „Zagończyka”. Odznaczony w kieleckim więzieniu, chyba początkowo wierzył, że uda się znaleźć wyjście z tragicznego położenia. Myślał nawet, że odzyska wolność za wydany z więzienia rozkaz ujawnienia się konspiracji ZZK. Kiedy pod koniec września 1946 roku zrozumiał, że to tylko ubecka gra i obietnice bez pokrycia, postanowił uciec. Podczas jednej z bezsennych więziennych nocy zaryzykował i zaczępił ubeckiego strażnika. Podał mu mały zwitek zapisanego papieru i zaklinając go na wszelkie świętości, błagał, aby wysłał jego gryps do Radomia, do Jadwigi Kołodziejkiej.

**Z pomocą kobiet**

Koniec września był wyjątkowo ciepły. Nic więc dziwnego, że na pl. Partyzantów w centrum Kielc kręciło się mnóstwo ludzi. Mało kto jednak przystawał przed skromnymi straganami. Było gwarno i tłoczno, ale czujne oko mogło wyłowić z tłumu kręcącą się zdenerwowaną młodą kobietę z bukietem żółtych kwiatów w ręku. Była to

Jadwiga Kołodziejka, która przybyła na umówione spotkanie z Adamem Jagiełłą. Kiedy ubecki strażnik wreszcie przyszedł, usiedli na ławce i zaczęli po cichu rozmawiać. Mężczyzna dyskretnie podał kobiecie gryps od Jaskulskiego oraz krótko przedstawił sytuację. „Zagończyk” spodziewał się kary śmierci i dlatego należało działać jak najpilniej. Więzienny strażnik nakreślił kobiecie ogólny zarys akcji planowanej przez „Zagończyka”. Umówili się na spotkanie za dwa dni i rozeszli.

28 września Kołodziejka ponownie kręciła się po kieleckim rynku. Tym razem była spokojniejsza. Kiedy usiadła ze strażnikiem, dyskretnie przekazała mu 5 tys. zł, dwie paczki papierosów oraz grypsy napisane do „Zagończyka” od podkomendnych. Jagiełło podał jej kawałek mydła z odbitym kształtem klucza więziennej bramy i zobowiązał, aby kobieta jak najprędzej dorobiła kopię. Do ostatniego spotkania doszło 2 października. Kołodziejka przekazała dwa dorobione klucze i wojskowe buty dla „Zagończyka”. Jagiełło podał naszkicowany przez Jaskulskiego plan ucieczki oraz jego gryps do partyzantów. Konspiracyjny dowódca dopominał się w nim o pistolet maszynowy Sten, dwa krót-



► Falszywa legitymacja studencka „Zagończyka” wystawiona na nazwisko Jerzego Jana Zygiera

Fot. AIPN



► Karta więzienna aresztowanej Eugenii Prauss

kie pistolety i dwa granaty. Broń miała posłużyć do rozpoczęcia akcji wewnątrz aresztu i rozbrojenia strażników. Termin akcji zaplanowano na noc z 5 na 6 października. Kolejny ruch miał należeć do partyzantów „Zagończyka”.

Gdy wydawało się, że całość jest już dopięta na ostatni guzik, nagle wszystko zaczęło się psuć. Na początku z operacji wycofała się grupa partyzantów dowodzona przez Czesława Niedbałę „Marka”. „Marek” bardzo chciał oswobodzić swojego komendanta, ale kiedy spotkał się z Jagiełłą, nabrał poważnych podejrzeń. Dość powiedzieć, że po tym jednym spotkaniu zabronił swoim ludziom dalszych kontaktów ze strażnikiem, przeczując ubeczką prowokację. I właśnie dlatego akcja uwolnienia „Zagończyka” zatrzymała się w martwym punkcie i stanęła pod znakiem zapytania.

Najbardziej rozczarowany był Jaskulski, który nie mógł uwierzyć w brak doświadczenia swoich żołnierzy w konspiracyjnej robocie. Nie dość że zbyt opornie organizowali operację, to jeszcze jakby zapadli się pod ziemię i nie było z nimi kontaktu. Takie niewesołe wiadomości przekazał mu Adam Jagiełło. Zastanawiając się, co robić dalej, „Zagończyk” przypomniał sobie o Jadwidze Hałubek „Fidze”, która siedziała w tym samym areszcie kilka cel dalej. Wiedział, że należała do AK i po wojnie również konspirowała. Postanowił działać. Przez strażnika podał „Fidze” gryps



z prośbą o pomoc. Po godzinie przyszła odpowiedź. Na małej karteczce ledwo odczytał niewyraźny ślad ołówka: „Eugenia Prauss, Kielce, ul. Dąbrowskiej 37. Osoba dobrze znana i pewna. Załatwi wszystko”. Na drugim skrawku papieru „Figa” poprosiła Eugenię Prauss, żeby ta uczyniła wszystko, co możliwe, aby ułatwić ucieczkę „Zagończyka”.

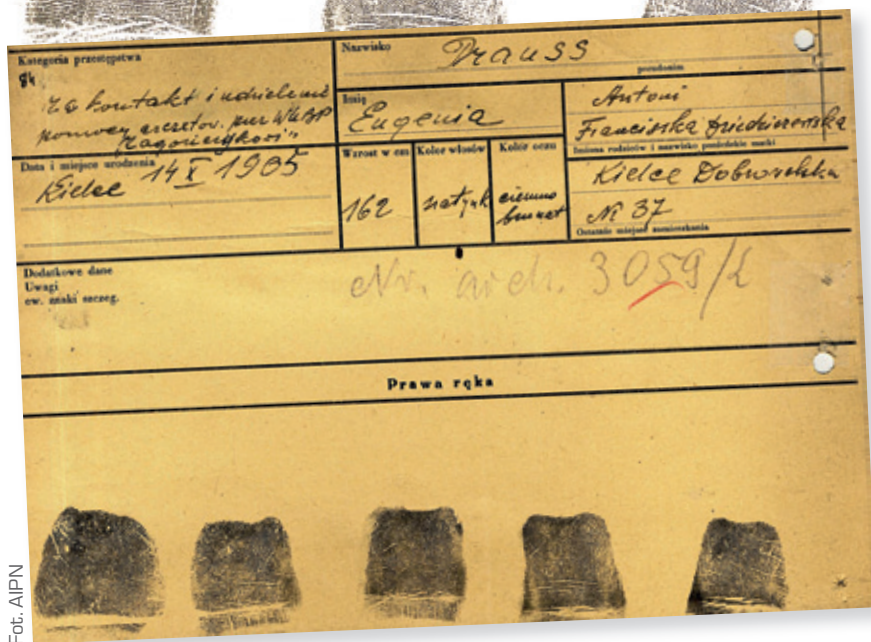
### Wymienione dolary, dorobione klucze

Eugenia Prauss od najmłodszych lat była związana z harcerstwem. Rok przed wybuchem wojny ukończyła szkolenie sanitarne PCK. We wrześniu 1939 roku pomagała ofiarom niemieckich bombardowań i uciekinierom. Już drugiego dnia wojny rozpoczęła pracę sanitariuszki w wojskowym szpitalu. Natychmiast wstąpiła również do konspiracyjnej Służby Zwycięstwu Polski i rozpoczęła we własnym domu tajne nauczanie. Jej mieszkanie stało się wkrótce miejscem nie tylko nielegalnej nauki, lecz także punktem kontaktowym i skrynką do rozprowadzania podziemnej prasy. Po zakończeniu wojny z niemieckiej niewoli wrócił mąż Eugenii,

Stanisław. W Niemczech stracił nogę i teraz jako inwalida sam potrzebował opieki. Eugenia ponownie rozpoczęła pracę w kieleckich szkołach. Wróciła także do działalności harcerskiej.

Dzięki Praussowej sprawa „Zagończyka” ruszyła z miejsca, w akcję zostały wtajemniczone kolejne osoby. Kielecka nauczycielka dobrze знаła „Fige” i wiedziała, kim jest „Zagończyk”. Zaufała ubeckiemu strażnikowi, gdy ten już od siebie dodał, że należy zorganizować dużą sumę pieniędzy. Trudna akcja wymagała dużych nakładów, również finansowych. Przez znajomą Prauss pozyskała 100 dol., bezzwłocznie wymieniła je na bazarze i przekazała 50 tys. zł Jagieł- le, który ciągle dopominał się o broń potrzebną do przeprowadzenia akcji.

Później znów zaczęło zgrzytać. Raptem urwał się kontakt z Jagiełłą, a przybyli do Kielc partyzanci „Zagończyka” (jego brat Ignacy i Jan Stepanoff „Orbis”) nie mogli zastać Praussowej w domu. Wtedy „Zagończyk” zaryzykował ponownie. Zaczepił innego strażnika – Henryka Kołtuńskiego. Kiedy dowiedział się od niego, że Jagiełłę zatrzymano, poprosił o pomoc.



Fot. AIPN

Chciał w ostatniej chwili ostrzec osoby zaangażowane w jego ucieczkę. Do końca nie wiadomo, czy zatrudniony w UB Kołtuński w ogóle nie planował zawiadomić konspiratorów o niebezpieczeństwie, czy po prostu nie zdążył.

Pierwszy wpadł Jagiełło. W jego kuferku znaleziono dwa dorobione klucze do bramy aresztu oraz 24,5 tys. zł. Po nim aresztowania nastąpiły lawinowo. Po Praussową ubowcy przeszli 19 listopada i znaleźli w jej mieszkaniu przekazane z aresztu grypsy. Tego samego dnia UB zatrzymał drugiego strażnika, a 5 grudnia – Jadwigę Kołodziejską, Jana Stepanoffa oraz Jadwigę Wierzbicką i Zofię Janiszewską, zaangażowane w pozyskanie dolarów.

### Śmierć i amnestia

Cały misternie przygotowywany plan ucieczki „Zagończyka” legł w gruzach. Chyba w obawie przed akcją z zewnątrz lub ponowieniem próby ucieczki, komendanta ZZK szybko osądzono i skazano na karę śmierci. Komuniści spieszyli się i rozstrzelali Franciszka Jaskulskiego 19 lutego 1947 roku, trzy dni przed uchwaleniem ustawy o amnestii.

14 kwietnia 1947 roku przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Kielcach stanęło osiem osób oskarżonych o udział w spisku mającym na celu uwolnienie

„Zagończyka”. Sądzone dwóch ubeckich strażników – Jagiełłę i Kołtuńskiego. Oprócz nich na ławie zasiadło pięć kobiet (Eugenia Prauss, Jadwiga Hałubek, Jadwiga Kołodziejska, Jadwiga Wierzbicka i Zofia Janiszewska) oraz Jan Stepanoff „Orbis”. Dowodami w sprawie, oprócz zarekwirowanych przy Jagielle kluczy i pieniędzy, były grypsy znalezione w mieszkaniu Eugenii Prauss.

Tę ostatnią oskarżono o to, że „w zamiarze ułatwienia ucieczki aresztowanemu »Zagończykowi« weszła w porozumienie z wartownikiem WUBP w Kielcach, Jagiełło Adamem, któremu

w dniu 31 października 1946 r. podała 50 tys. zł, tytułem nagrody za ułatwienie ucieczki”.

Ogłoszone następnego dnia przez sąd wyroki mogły zadziwiać opinię publiczną i samych oskarżonych swą łagodnością. Być może komunistyczny werdykt był wyjątkowo łaskawy, ponieważ główny winowajca „Zagończyk” już nie żył. A może na całą sprawę duży wpływ miała świeżo uchwalona ustawa amnestyjna? Jedynym surowo skazanym był Jagiełło, któremu zasądzono pięć lat więzienia (odsiedział cały wyrok).

Uniewinniono Wierzbicką i Janiszewską. Drugiego strażnika skazano na trzy lata więzienia, Kołodziejską – na dwa lata, wyroki jednego roku więzienia dostali Prauss, „Figa” i „Orbis”, ale wszyscy zostali uwolnieni na mocy amnestii.

### Życie po „Zagończyku”

Po zakończeniu sprawy „Zagończyka” i ogłoszeniu amnestii mogło się здаwać, że Prauss ma już spokój. Że może zająć się pracą w szkole i opieką nad mężem. Niestety, przez kolejne lata komunistyczne służby systematycznie interesowały się skromną kielecką nauczycielką. We wrześniu 1954 roku jeszcze raz została aresztowana, tym razem w związku ze śledztwem w sprawie innego żołnierza AK, Kazimierza Załęskiego „Bończy”. Po kilku przesłuchaniach została zwolniona i wróciła do pracy jako nauczycielka i w harcerstwie. Potem jednak, za przynależność do AK i kontakty z „bandytami”, została w harcerstwie odsunięta na margines. Dopiero na początku lat osiemdziesiątych, w czasie solidarnościowej odwilży, ponownie zaczęła współpracować z Komendą Chorągwi. Niestety, w tym czasie stan zdrowia nie pozwalał jej już na udział w aktywnościach harcerskich. W 1981 roku została mianowana harcmistrzynią, a dwa lata później otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Zmarła 21 listopada 1987 roku i została pochowana na Cmentarzu Starym w Kielcach. ■



Szymon Nowak – historyk, autor m.in. książki *Oddziały wykłętych* (2014) oraz dwóch tomów *Dziewczyny wykłęte* (2015 i 2016)

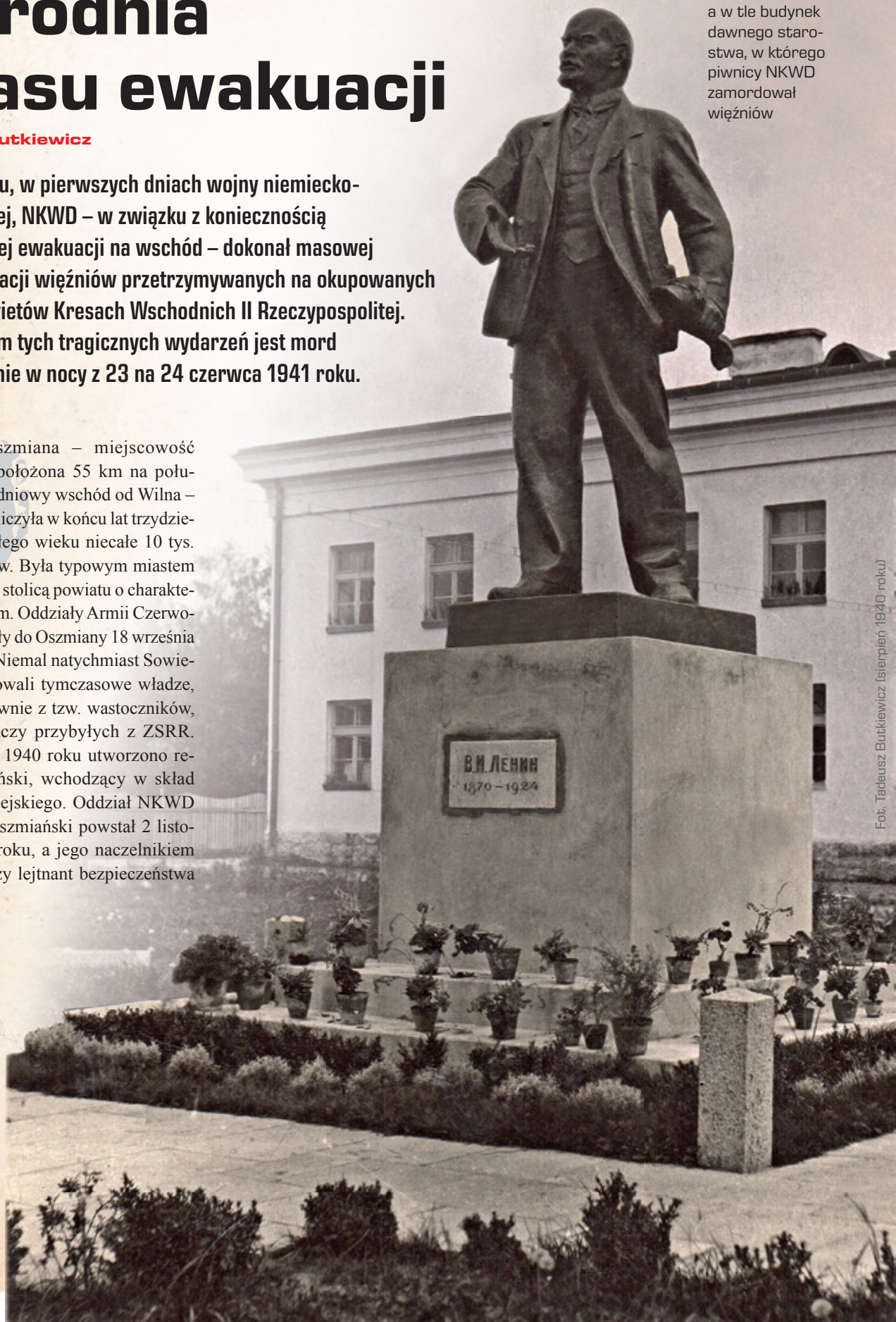
# Zbrodnia czasu ewakuacji

Michał Butkiewicz

75 lat temu, w pierwszych dniach wojny niemiecko-sowieckiej, NKWD – w związku z koniecznością pośpiesznej ewakuacji na wschód – dokonał masowej eksterminacji więźniów przetrzymywanych na okupowanych przez Sowieców Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Przykładem tych tragicznych wydarzeń jest mord w Oszmianie w nocy z 23 na 24 czerwca 1941 roku.

**O**szmiana – miejscowość położona 55 km na południowy wschód od Wilna – liczyła w końcu lat trzydziestych ubiegłego wieku niecałe 10 tys. mieszkańców. Była typowym miastem kresowym – stolicą powiatu o charakterze rolniczym. Oddziały Armii Czerwonej wkroczyły do Oszmiany 18 września 1939 roku. Niemal natychmiast Sowieci zorganizowali tymczasowe władze, złożone głównie z tzw. walcowników, czyli działaczy przybyłych z ZSRR. 15 stycznia 1940 roku utworzono region oszmiański, wchodzący w skład obwodu wilejskiego. Oddział NKWD na powiat oszmiański powstał 2 listopada 1939 roku, a jego naczelnikiem został starszy lejtnant bezpieczeństwa

► Pomnik Lenina, a w tle budynek dawnego starostwa, w którego piwnicy NKWD zamordował więźniów





państwowego (BP) Grigorij Siemykin. Po nim tę funkcję pełnił lejtnant BP Wasilij Jerszow.

### „Wszawicy nie stwierdzono”

Jedną z pierwszych instytucji przejętych przez władze sowieckie po wkroczeniu do miasta było więzienie przy ul. Piłsudskiego 60 (przemianowanej na Sowiecką). Otrzymało ono nazwę Więzienie NKWD Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej nr 27, a jego naczelnikiem został sierżant BP Kondratow. Sąsiadowało ono z gmachem dawnego Starostwa Powiatowego, w którym ulokowano *rajsipolkom* (Rejonowy Komitet Wykonawczy). Więzienie składało się z budynku administracyjnego, trzech oddziałów więziennych (jeden z nich oprócz cel mieścił także magazyn, kuchnię i łazienkę) oraz przedwojennej kaplicy (w okresie sowieckim tzw. izby chorych). Całość była ogrodzona wysokim płotem. Łączna powierzchnia cel nie przekraczała 400 m kw., limit osadzonych wynosił zaś 182–183 osoby. Zagęszczenie więźniów było tak duże, że często brakowało im powietrza. W momencie największego przepełnienia powierzchnia w przeliczeniu na jednego więźnia nie przekraczała 0,8 m kw.! Aresztowany w grudniu 1939 roku Edward Nowosielski wspominał: „Już na korytarzu smród i zaduch zatkały oddech, a w celi w pierwszej chwili dostałem zawrotu głowy. [...] W celi przeznaczonej dla 8 osób znajdowało się 72 więźniów. [...] Kiedy kładło się spać, to lokowało się na wierzchu między dwoma i stopniowo opadało się na deski po pewnym czasie. Ci, którzy nie umieli lokować się na pryzkach, wciskali się pod spód i leżeli tam na cemencie. Dalsi kładli się w przejściach, na wpół siedząc z braku miejsca, a nocą, jak się przechodziło do kibla, musiał człowiek deptać po nogach, rękach i głowach leżących. Z przepełnionego kibla ciekł pod nich mocz”.

Oprócz tłoku więźniom doskwierał też głód. Stanisław Sienkiewicz zeznawał po latach: „Rosjanie głodzili nas bardzo i nawet ja, który przebywałem w więzieniu ponad miesiąc, przy wyjściu na powietrze nie mogłem utrzymać się na nogach”.

Także warunki sanitarne były tragiczne. Więźniowie nie mieli jak się umyć. Poważnym problemem była plaga wszy i pluskw. Nowosielski wspominał: „Wszy leęły się w zastraszający sposób, choć się niby wszystko wydusiło, po paru godzinach znów było pełno. Każdy miał ciało porozgryzane przez wszy i pluskwy i porozdrapywane do krwi ze swędzenia. Siedliskiem pluskw były pryzce i ściany, które w nocy były czerwone od nich. Łaziły też po całym ciecie. Właziły do oczu, nosa i ust śpiących, a ukąszenie odczuwało się jak oparzenie pokrzywą”. Nie pomagały nawet okresowe dezynsekcje. W tej sytuacji na ponury żart zakrawają zapisy zawarte w oficjalnych protokołach inspekcyjnych, że wszawicy nie stwierdzono.

Za naruszenie regulaminu więziennego można było trafić do karceru – wąskiej celi z umieszczonym wysoko małym otworem okiennym, który niezależnie od pory roku nie był zamykany. Na podłogę często wylewano wodę, a więzień musiał tam przebywać w samej bieliznie.

### Ewakuacja

Nazajutrz po ataku Niemiec na Związek Sowiecki, 23 czerwca 1941 roku, zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR Wasilij Czernyszow przesłał telegram do ludowego komisarza spraw wewnętrznych Białoruskiej SRR, Aleksandra Matwiejewa, nakazujący niezwłoczną ewakuację więźniów z zachodnich obwodów BSRR. Zgodnie z planem założono konieczność ewakuacji z tego terenu 16 357 więźniów, w tym z więzienia nr 27 w Oszmianie 265 osadzonych, których zamierzano wywieźć dziewięcioma wagonami do Samarkandy w Uzbeckiej SRR.

Błyskawiczna ofensywa wojsk niemieckich i zamieszanie wynikające z odwrotu Armii Czerwonej wpłynęły na modyfikację wspomnianego planu, w której wyniku funkcjonariusze NKWD rozpoczęli w części miejscowości formowanie kolumn więziennych, prowadzonych pieszo na wschód. Aby wesprzeć operację „rozładowania więzień”, do Mołodeczna dotarł Piotr Pariemski – naczelnik wydziału operacyjnego Zarządu Więziennictwa NKWD BSRR. Stąd 23 czerwca skontaktował się

telefonicznie m.in. z więzieniem w Oszmianie i wydał polecenie jego ewakuacji. Nie znamy treści tej rozmowy, jednak – jak wynika z relacji świadków – w tym dniu o 10.00 (czyli prawdopodobnie po kontakcie z Pariemskim) rozpoczęła się selekcja więźniów. Wszystkich osadzonych strażnicy wyprowadzili z cel na dziedziniec więzienny, gdzie przez cały dzień następowało kolejno sprawdzanie danych każdej osoby. Wieczorem grupę wyselekcjonowanych więźniów (ok. 60–100 osób) wprowadzono do celi nr 3. Nie jest znana lista zawierająca ich dane personalne, a w związku z tym dokładna struktura narodowościowa czy społeczna tej grupy. Ponieważ należały do niej wszystkie osoby później zamordowane, to analizując dane zabitych, można stwierdzić, że w przeważającej części byli to Polacy, mieszkańcy dawnego powiatu oszmiańskiego, w zróżnicowanym wieku (najmłodszy miał 17 lat!) i o różnych zawodach – oskarżeni o tzw. „przestępstwa kontrewolucyjne” (art. 63–76 KK BSRR). Bardzo często ich rodziny były w tym samym czasie deportowane na wschód.

### Do celi śmierci

Późnym wieczorem 23 czerwca 1941 roku funkcjonariusze NKWD rozpoczęli wywoływanie więźniów z celi nr 3. Wyprowadzali ich na korytarz pojedynczo lub dwójkami. Następnie wzięli im ręce z tyłu drutem kolczastym i prawdopodobnie kneblowali, a później prowadzili przez dziedziniec i boczną furtkę w ogrodzeniu do piwnicy dawnego budynku starostwa powiatowego. Przez tylne drzwi więźniowie byli sprowadzani betonowymi schodami do obszernego korytarza piwnicznego, z którego pierwszych więźniów prowadzono do położonego stopień niżej bocznego pokoju. Tam funkcjonariusze NKWD torturowali więźniów i dokonywali egzekucji, a kolejne zwłoki upadały jedne na drugie. Wraz ze zwiększaniem się liczby ciał, oprawcy z braku miejsca cofali się w stronę schodów wejściowych. Osobą, która przeżyła egzekucję i złożyła swoją relację z przebiegu wydarzeń, był Polikarp Straczycki, który wspominał: „Mnie wyprowadzono z tej dużej celi ▶

jako piątego lub szóstego. Prowadzono mnie pod bronią i ręce związane mi do tyłu drutem. Zostałem przeprowadzony do piwnicy starostwa, które sąsiadowało z terenem więzienia. [...] W piwnicy stało kilku funkcjonariuszy NKWD oraz dwóch młodych funkcjonariuszy, z których jeden trzymał pistolet. Zdążyłem zauważyć, że ci więźniowie, których wyprowadzono z celi przede mną, leżą już martwi na podłodze w głębi piwnicy. Mnie przeprowadzono w głąb tej piwnicy i w pewnym momencie strzelono do mnie z tyłu. Poczulem trzask miazdzonego kręgu szyjnego i ból, i krew ciekącą mi po karku. Nie straciłem jednak przytomności i wydaje mi się nawet, że stałem dalej. Pamiętam natomiast, że funkcjonariusz dostawił mi pistolet do skroni i strzelił. Ujrzałem tylko błysk i straciłem przytomność. Potem okazało się, że strzelano do mnie po raz trzeci w plecy”. Jak się okazało, kule nie uszkodziły ani mózgu, ani innych organów wewnętrznych i więzień przeleżał nieprzytomny wśród zwału trupów. Odnaleziony przez mieszkańców poszukujących swoich bliskich, został odtransportowany do szpitala – najpierw w Oszmianie, a później w Wilnie, gdzie po wielu miesiącach odzyskał zdrowie.

Analiza ran odniesionych przez zamordowanych potwierdza identyczny sposób mordowania stosowany przez oprawców – strzał w potylicę z przyłożenia. Jednocześnie niektóre zwłoki były zmasakrowane, tak że trudno było je rozpoznać. Widoczne były ślady tortur oraz rany klute.

Więźniowie wyprowadzani na miejsce kaźni zachowywali się na ogół spokojnie, początkowo nie zdając sobie sprawy z grozy sytuacji, a później nie widząc szans na stawienie skutecznego oporu. Jednak Wacław Olechnowicz i Adolf Łopuszewski, wyprowadzani z celi (każdy z nich w innym momencie), zaatakowali konwojentów. Rozwścieczyło to strażników i spowodowało odwetowe pastwienie się przez nich nad bohaterskimi więźniami. Jak się okazało, opór ten nie był jednak zupełnie bezcelowy, gdyż zakłócenie „procedury zabójstwa” przez Łopuszewskiego spowodowało uratowa-

nie kolejnego wyprowadzanego więźnia – Bolesława Nowika, którego cofnięto z korytarza do celi i nie zdążono już wywołać ponownie na śmierć.

Egzekucje trwały przez całą noc z 23 na 24 czerwca i pewnie byłyby dalej realizowane, gdyby nie strach personelu więzienia przed nacierającymi wojskami niemieckimi. Po otrzymaniu fałszywej informacji, że Niemcy są już na rogatkach Oszmiany, funkcjonariusze NKWD zbiegli w stronę Mołodeczna. Wtedy pozostali więźniowie przy pomocy ludzi z zewnątrz wyłamali drzwi do cel i uciekli. Dzięki temu uratowała się przeszło połowa osób przetrzymywanych w celi nr 3, których nie zdążono wyprowadzić na miejsce kaźni.

Przebieg wydarzeń podsumował zastępca naczelnika Zarządu Więziennictwa NKWD BSRR Michaił Opalew w raporcie dla naczelnika Zarządu Więziennictwa NKWD ZSRR Michaiła Nikolskiego z 3 września 1941 roku: „Podczas bombardowania Oszmiany politruk

więzienia w Oszmianie Klimienko i zastępca pełnomocnika operacyjnego Awdiejew samowolnie wyprowadzili z cel 30 więźniów oskarżonych o przestępstwa kontrrewolucyjne i w piwnicach więzienia rozstrzelali ich, pozostawiając nieoprzeżbane zwłoki. Resztę więźniów zostawili w blokach i wraz z całym personelem opuścili więzienie. Następnego dnia mieszkańcy Oszmiany, dowiedziawszy się o egzekucji więźniów, poszli do więzienia i wśród zabitych szukali swoich krewnych”. Jednak inny dokument, zatytułowany „Wykaz odjazdów i ruchu transportów z więzień NKWD Białoruskiej SRR” (bez daty) wskazuje także na bezpośrednią winę naczelnika oszmiańskiego więzienia Kondratowa: „Oszmiana – ewakuacji nie przeprowadzono. 30 więźniów oskarżonych o przestępstwa kontrrewolucyjne zostało rozstrzelanych przez naczelnika więzienia”. Analiza dostępnych źródeł wskazuje, że liczba zamordowanych nie przekroczyła 35–40 osób, czyli prawdopodobnie oko-

Форма № 1

„УТВЕРЖДАЮ”

7 марта 1941 г.

Нач. Ошмянского РУВД

Людмила Ивановна

Утверждаю (подпись)

Арест санкционирую

Старший Уполномоченный

8 марта 1941 г.

**ПОСТАНОВЛЕНИЕ**  
(НА АРЕСТ)

Гор. Ошмяны, 7 марта 1941 г.

Ст. Оперуполномоченный Ошмянского РУВД

(должность) (Отеч. в орган)

КВД СССР Сервант Гробиовоппоости - ИДИЯНОВ

(звание и фамилия)

рассмотрев поступившие в НКВД СССР материалы о преступной деятельности

КАРЧЕВСКОГО Осипа Гевриковича, 1896 года рождения, урож. им.

(фамилия, имя, отчество и другие)

Ветков, б. Ошмянского уезда, Виленской губ., поляк, жонат, проживает в

(установочные данные)

гор. Вильно по ул. Гельвадно дом № 44 кв. 20.

**Н А Ш Е Л:**

Работа вуйтом Гольванской гминды, б. Ошмянского уезда, при осуществлении в произвольном порядке дается разрешение

отстоянции бывш. польского госуларетта КАРЧЕВСКИИ Осип Геврикович ижделься

необходности ареста, признать выдержки

► Fotokopia postanowienia NKWD z 7 marca 1941 roku o aresztowaniu Józefa Karczewskiego, jednego z zamordowanych

to połowy wyselekcjonowanych więźniów. Obecnie możemy potwierdzić dane 22 zamordowanych oraz 2 osób, które próbowano zamordować, ale przeżyły egzekucję:

1. Michał BOHDANOWICZ – Bielaniżki, gm. Oszmiana (przeżył egzekucję),
2. Edward CIUKSZA – Bijuciszki, gm. Holszany,
3. Franciszek EJGIERD – Karolinowo, gm. Holszany,
4. Józef KARCZEWSKI – Bieniuny, gm. Holszany,
5. Jan KOZAKIEWICZ – Graużyszki,
6. Michał KRAWCZONEK – Oszmiana,
7. Bolesław ŁASTOWSKI – Jurkiszki, gm. Graużyszki,
8. Adolf ŁOPUSZEWSKI – Oszmiana,
9. Marian MARCZYK – Markinięta, gm. Holszany,
10. Witold MASSALSKI – Plebańce, gm. Holszany,
11. Krzysztof MICKIEWICZ – Powisznie, gm. Oszmiana,
12. Antoni MOKRZYCKI – Holszany,
13. Witold NARKOWICZ – Suhłobiszki, gm. Holszany,
14. Zygmunt NOWICKI – Oszmiana,
15. Władysław NOWOSIELSKI – Naruszowce, gm. Holszany,
16. Wacław OLECHNOWICZ – Oszmiana,
17. Bolesław RAROWSKI – Oszmiana,
18. Bolesław REKUĆ – Wielbutowo, gm. Graużyszki,
19. Antoni ROMANOWSKI – Holszany/Laby, gm. Holszany,



Fot. ze zbiorów rodziny

► Zdjęcie ewidencyjne Gedeona Zahorenki z więzienia NKWD w Oszmianie

20. Wawrzyniec SNASTIN – Oszmiana,
21. Polikarp STRACZYCKI – Małysz-kowszczyzna, gm. Holszany (przeżył egzekucję),
22. Roman ZACHARZEWSKI – Żynkowszczyzna, gm. Holszany,
23. Gedeon ZAHORENKO – Kamionka, gm. Holszany,
24. Józef ZŁOTOGÓRSKI – Oszmiana.

Jako prawdopodobne można przyjąć, że wśród zamordowanych byli także: Cezary Ejgierd (rolnik z Karolinowa, gm. Holszany) oraz Mikołaj Moroz (technik drogowy z Holszan). Błędnie natomiast są wymieniani jako zamordowani wówczas w Osz-

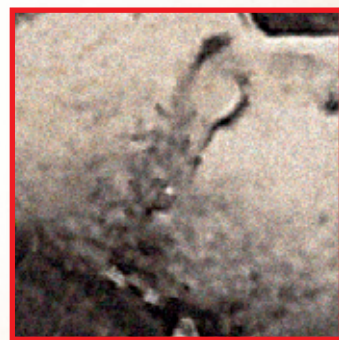
mianie: Rufin Dubicki, Jan Franczak, Jan Hajdukiewicz, Władysław Krepski, Stefan Masłowski, Bolesław Nowik i Michał Rozwadowski. Kontrowersje wywołuje sprawa miejsca zamordowania Alberta Nowochońskiego i Kazimierza Pytla. Istnieją wprawdzie poszlaki, że nastąpiło to w Oszmianie, jednak dokumenty wskazują na więzienie w Wilejce (Pytel) lub sugerują „białoruską listę katyńską” (Nowochoński). Brak danych uniemożliwia zwerifikowanie informacji o zamordowaniu (lub usiłowaniu zamordowania) w piwnicy dawnego starostwa w Oszmianie kilkunastu osób, o których cząstkowe informacje pojawiają się w różnych źródłach.

### Winni zbrodni

Jak wynika ze wskazanych wyżej raportów sowieckich, bezpośrednio za zbrodnię odpowiadają naczelnik więzienia oszmiańskiego sierżant BP Kondratow oraz politruk Klimienko i zastępca pełnomocnika operacyjnego Awdiejew. Są podstawy, aby przyjąć, że w bezpośrednie sprawstwo oprócz nich byli zaangażowani także inni funkcjonariusze NKWD. Ponieważ nie są znane żadne dokumenty (np. rozkazy na piśmie) nakazujące lub sankcjonujące rozstrzelanie, należy przyjąć, że była to samodzielna decyzja kierownictwa oszmiańskiego więzienia NKWD, która nie miała podstaw w żadnym formalnym akcie prawnym. Jednak prawdopodobnie istniało przynajmniej milczące przyzwolenie na takie rozwiązanie. Oszmiana nie była odosobnionym ►



Fot. ze zbiorów rodziny



► Zbliżenie skroni Gedeona Zahorenki z widoczną dziurą po kuli (zdjęcie pogrzebowe z czerwca 1941 roku)

przypadkiem – wręcz odwrotnie, było to typowe zjawisko w okresie tzw. ewakuacji więźni z zachodnich obwodów Białoruskiej i Ukraińskiej SRR. Podobne wydarzenia miały miejsce np. w Wilejce i Głębokiem. Z naczelnikami tych trzech więzień (Wilejka, Głębokie i Oszmiana) rozmawiał telefonicznie 23 czerwca 1941 roku i wydawał im polecenia ewakuacji wspomniany Piotr Pariemski. Być może zasugerował lub zezwolił na rozstrzelanie tych „kontrewolucjonistów”, których nie można było ewakuować na wschód. Może na to wskazywać finał pieszej ewakuacji więźni z Głębokiego w czerwcu 1941 roku. Na polecenie i przy osobistym udziale naczelnika tamtejszego więzienia, sierżanta BP Michaiła Prijomyszewa, konwojenci rozstrzelali około sześćset, siedemset więźniów. Jego postępowanie zostało przez sekretarza KC KP(b)B Pantielejmona Ponomarienkę uznane za właściwe – i, aresztowanego pod zarzutem bezprawnych egzekucji, zwolniono z aresztu. Już 4 lipca 1941 roku, w piśmie skierowanym do ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR, Ławrientija Berii, jego zastępcy Czernyszowa i naczelnik Zarządu Więziennictwa NKWD ZSRR Michaił Nikolski wnioskowali, aby upoważnić naczelników NKWD do podejmowania decyzji o rozstrzelaniu tych więźniów – „kontrewolucjonistów”, których ewakuacja ze strefy przyfrontowej będzie niemożliwa.

### Odkrywanie prawdy o zbrodni

Wiadomości o zbrodni zaczęły się rozchodzić po Oszmianie i całym powiecie, kiedy do domów dotarli ludzie uratowani z oszmiańskiego więzienia. Informowali rodziny i sąsiadów o tragicznych losach ofiar. Wiadomości te spotykały się początkowo z wielkim niedowierzaniem. Później zaś ogrom zbrodni wywołał szok, rozpacz i żalobę.

Wojska niemieckie wkroczyły do Oszmiany o świcie 25 czerwca 1941 roku i zajęły ją bez walki. W tym czasie do miasta zaczęło docierać coraz więcej krewnych

i sąsiadów poszukujących swoich bliskich i znajomych. Po zejściu do piwnicy budynku dawnego starostwa ukazywał się im straszny widok: zmasakrowane zwłoki leżące w półmroku na betonie, jedne na drugich, i obficie zakrwawiona podłoga. Syn zamordowanego Mariana Marczyka wspominał: „Zszedłem po stopniach do tej piwnicy, była ona jakby dwupoziomowa. Pierwsza część była ciemna, a druga położona niżej była nieco oświetlona światłem padającym z małego zakratowanego okienka. W pierwszej części leżały zwłoki zamordowanych, ale nie wiem, ile ich było. Częściowo były już zabrane przez rodziny. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że na stopniach prowadzących z wyższego do niższego poziomu piwnicy leżą zwłoki mego ojca. Były tam również zwłoki innych więźniów”.

W wyniku przeprowadzonej identyfikacji większość zamordowanych została rozpoznana, zabrana przez krewnych do rodzinnych miejscowości i pochowana na miejscowych cmentarzach. Natomiast część ofiar została pochowana podczas zbiorowych pogrzebów. Pierwszy z nich – prawdopodobnie nie więcej niż ośmiu osób – odbył się w Oszmianie 27 czerwca. W oszmiańskim kościele parafialnym



► Płyta na zbiorowym grobie ofiar NKWD na cmentarzu w Oszmianie (odsłonięta i poświęcona w 75. rocznicę zbrodni)

pod wezwaniem św. Michała Archanioła ks. Walerian Holak odprawił nabożeństwo żałobne. Grób zlokalizowano na katolickim cmentarzu parafialnym, przy głównej alejce cmentarnej. Z okazji 75. rocznicy zbrodni została zamontowana na nim nowa płyta nagrobna zawierająca znane nazwiska osób zamordowanych. Poświęcono ją 26 czerwca 2016 roku. Drugi zbiorowy pogrzeb odbył się w Holszanach. Najpierw ks. Józef Chomski odprawił mszę św. w kościele. Następnie wyniesiono trumny pięciu zamordowanych i po ceremonii pogrzebowej złożono je w mogile w sąsiedztwie kościoła, przy kamiennym ogrodzeniu. Znajduje się tam obecnie pomnik nagrobny ufundowany przez rodziny ofiar z okazji 60. rocznicy zbrodni. Pochowano także dwie osoby we wspólnej mogile na cmentarzu w Grauzyszkach. Grób ten znajdował się prawdopodobnie po lewej stronie od głównej bramy cmentarnej, ale nie zachował się do dzisiaj.

Podstawowe znaczenie dla wyjaśniania zbrodni NKWD w Oszmianie miało postępowanie prowadzone przez Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi, a później w Gdańsku. Zostało wprawdzie umorzono z powodu niewykrycia sprawców, jednak w toku prowadzonych działań zebrano wiele cennych zeznań świadków, opisujących okoliczności mordu. Ustalono dane personalne części ofiar zbrodni, a także niektóre nazwiska funkcjonariuszy i współpracowników NKWD z terenu Oszmiany. Trzeba to docenić, jednak z perspektywy czasu pojawia się niedosyt i żal, że zabrakło stałej współpracy prokuratorów z historykami. Prokuratorzy mieli wówczas możliwość pozyskania absolutnie unikatowej wiedzy, dokumentów czy fotografii, które być może nie były interesujące z punktu widzenia postępowania karnego, ale za to bezcenne dla historyków. Dzisiaj ta szansa została bezpowrotnie stracona. ■

Fot. Michał Butkiewicz

**Michał Butkiewicz** – twórca portalu [Oszmianszczyzna.pl](http://Oszmianszczyzna.pl), od lat zajmujący się historią Ziemi Oszmiańskiej

Z okazji 75. rocznicy zbrodni NKWD w Oszmianie planowane jest wydanie publikacji szerzej omawiającej jej okoliczności oraz upamiętniającej jej ofiary. Dlatego bardzo proszę wszystkich, którzy mogliby rozszerzyć wiedzę o opisywanych wydarzeniach, o informację na adres mailowy: [kontakt@oszmianszczyzna.pl](mailto:kontakt@oszmianszczyzna.pl)

# Kierunek: Prusy Wschodnie

Waldemar Brenda

**Działalność na rzecz integracji dawnych Prus Wschodnich z Polską okazała się dla komunistów przekonującym argumentem za darowaniem kary śmierci żołnierzowi powojennej konspiracji niepodległościowej. Nie uratowała go jednak przed wieloletnim więzieniem.**



Fot. AIPN

► Oddział partyzancki z Batalionu Kurpiowskiego NSZ; czwarty od lewej w pierwszym rzędzie, z pistoletem w dłoni, leży Romuald Kozioł

**20** lipca 1946 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie ogłosił wyrok w sprawie aresztowanego dziewięć miesięcy wcześniej inżyniera Romualda Kozła „Masława”, w czasie wojny oficera NOW, AK i NSZ, po wojnie członka konspiracji NZW. Sędziowie w mundurach skazali Kozła na karę śmierci. W uzasadnieniu wyroku znalazło się jednak bezprecedensowe stwierdzenie: „W perspektywie subiektywnych danych skazany na tak surową karę nie zasługuje z uwagi na jego osobiste walory [...]. Zasługi skazanego na tle repolonizacji Mazurów i praca na tym polu [...] niewątpliwie przyniosła korzyści dla Polski, stanowi pozytywny wkład w życiu skazanego o nieprzeciętnej wartości, to jednak ma ona bardzo luźny związek z polityczną działalnością skazanego”.

Ostatecznie najwyższy wymiar kary nie został wykonany. Kilkudziesięciu mieszkańców wsi Kozioł – z której pochodził inżynier – wystosowało do komunistycznych władz list, w którym charakteryzowano go jako osobę bardzo zasłużoną dla przywracania związków Mazur z Polską. Również sam skazany napisał bardzo obszerny list do ówczesnego prezydenta Bolesława Bieruta, przedstawiając w nim swoją działalność. W końcu komunistyczny przywódca zmienił wyrok śmierci na karę wieloletniego więzienia. Zarówno w cytowanym na wstępie wyroku, jak i wspomnianym liście mieszkańców Kozła pojawił się wątek pracy skazanego na rzecz repolonizacji ludności mazurskiej. W latach wojny Romuald Kozioł należał bowiem do tych uczestników konspiracji, którzy dzięki wyobrażeniom o kształcie Polski powojennej podejmowali działania

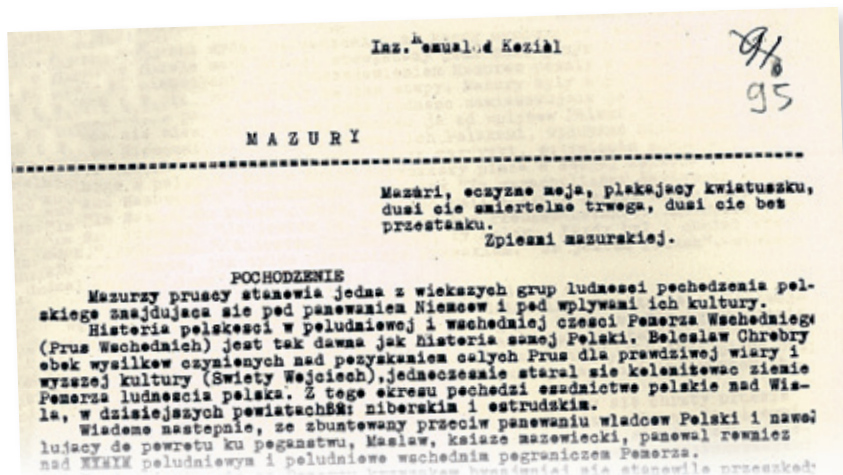
na rzecz przyłączenia do niej tych ziem, na których mieszkała ludność poddana wpływom niemieckiej państwowości i kultury, ale o głębokich polskich korzeniach.

## Nastroje

Program przejęcia części ziem poniemieckich przez niepodległą Polskę nie był nowy. Już u zarania II Rzeczypospolitej stał się jednym z głównych postulatów Romana Dmowskiego, w 1919 roku negocjującego na konferencji paryskiej kształt przyszłej granicy polsko-niemieckiej. Zaplanowane wówczas plebiscyty na Górnym Śląsku oraz w pogranicznym pasie Prus Wschodnich zostały przeprowadzone w sytuacji dla Polski bardzo niekorzystnej. Pokazały, zwłaszcza na Warmii, Mazurach i Powiślu, że mimo polskiego pochodzenia tamtejsza ludność nie identyfikuje się z młodą polską państwowością. Katolicy Warmiacy i protestanci Mazurzy, na co dzień w swych domach rozmawiający dialektem doskonale rozumiałym dla polskich sąsiadów z drugiej strony granicy, w lipcu 1920 roku wybrali „Ostpreußen”, a nie „Polen”.

Po plebiscycie problem włączenia części Prus Wschodnich do Polski nie odgrywał większej roli w polskiej polityce zagranicznej, choć był obecny w działaniach różnych instytucji państwowych. Oprócz prac o charakterze wywiadowczym, na terenie powiatu działdowskiego – jedyne go mazurskiego powiatu, który bez plebiscytu znalazł się w granicach II Rzeczypospolitej – przeprowadzono tzw. eksperyment działdowski. Rozwijały się tu liczne organizacje postulujące zbliżenie Mazurów do Polski. Powstały m.in. Muzeum Mazurskie i Związek Mazurów, a w 1921 roku Polsko-Mazurskie Towarzystwo Ewangeliczne.

Zarówno przed rokiem 1939, jak i po wybuchu wojny Polacy wnikliwie analizowali postawę ludności autochtonicznej wobec polskości. W październiku 1943 roku w raporcie Delegatury Rządu na Kraj ►



► Pierwsza strona maszynopisu *Mazury* autorstwa Romualda Koziała, sporządzonego przed wybuchem II wojny światowej; tekst, po usunięciu nazwiska autora, był kolportowany przez PO WE

charakteryzowano sytuację w następujący sposób: „Na Mazurach, Olsztyn, Johannisburg, Elk świadomy ruch polski został wśród Mazurów całkowicie stłumiony. Większość ludności posługuje się w życiu codziennym mimo ostrych zakazów językiem »mazurskim«, jednak w stosunku do polskości są obojętni. Wielu należy do żandarmerii, do Hitlerjugend i gorliwie pracuje na rzecz Niemców. Tym niemniej dobitnie podkreślają odrębność plemienną w stosunku do Niemców. Obserwując Mazurów, ma się wrażenie, że w swej większości (rolnicy – nie żandarmi) mogą być wróceni polskości. Polacy wysyłani na roboty do Prus Wschodnich muszą nosić literę »P«; w większości wypadków są przez właścicieli gospodarstw rolnych traktowani po ludzku”.

### Ziemie Postulowane

Wobec podobnych obserwacji nie dziwi, że temat przyszłości Prus Wschodnich wrócił wraz z wybuchem II wojny światowej. Mimo klęski wrześniowej i niemieckiej okupacji, zarówno władze Rzeczypospolitej na uchodźstwie, jak i tworząca się konspiracja w kraju nie miały wątpliwości, że ostatecznie wojna zakończy się upadkiem III Rzeszy, a sporne ziemie, w tym Prusy Wschodnie, „powrócą do Macierzy”. Wydawało się tylko, że trzeba ten moment odpowiednio przygotować.

Na poziomie Komendy Głównej ZWZ/AK utworzono z inicjatywy Ludwika Muzyczki „Benedykta” Biuro Studiów dla Ziemi Nowych, przekształcone następ-

nie w Wojskową Administrację Ziemi Nowych. Istniał w nim wyodrębniony Wydział Wojskowy dla Prus Wschodnich kryptonim „Piaski” („Wydmy”, „Jeziorko”, „Bursztyn”). Prowadzono prace studyjne i przygotowawcze do przejęcia Prus Wschodnich, dobierano i szkolono kadry, które miały tworzyć polską administrację na tzw. Ziemach Postulowanych. W konspiracyjnych kursach uczestniczyli przedstawiciele środowisk medycznych, nauczycielskich i duszpasterstwa. Za to ostatnie odpowiedzialny był ks. Jan Zieja „Ossowski”. Pod kierownictwem gen. Kazimierza Sawy-Sawickiego „Pruta” przygotowywano utworzenie Grupy Operacyjnej „Prusy Wschodnie”, która przez uderzenie z Białostoczczyzny i Mazowsza miała militarnie opanować postulowany region w chwili klęski Niemiec.

Odpowiednie działania podejmowano także w Delegaturze Rządu na Kraj oraz innych strukturach konspiracyjnych. Na przykład Narodowe Siły Zbrojne przygotowywały utworzenie Legionu Mazurskiego, a Szare Szeregi realizowały akcję „Ziemie Powracające”. W Tajnej Organizacji Nauczycielskiej rozwijano współpracę z propolskimi działaczami mazurskimi, którzy utworzyli tajny Instytut Mazurów i Mazurski Instytut Badawczy.

### Na pograniczu

Działania związane z regionem wschodniopruskim podejmowano również na Białostoczczyźnie, północnym Mazowszu i Pomorzu. W Podokręgu „Tuchola”

ZWZ/AK, podokręgu „Wkra” Batalionów Chłopskich i w Komendach Powiatowych NSZ graniczących z Prusami Wschodnimi utrzymywano kontakt z Polakami wywiezionymi na roboty przymusowe. Wśród nich znaleźli się również członkowie konspiracji, którzy dostarczali wielu cennych informacji. Oceniając sytuację na przełomie lat 1942 i 1943, w dokumencie Delegatury pisano: „W Prusach Wschodnich [...] istnieją duże skupiska wywiezionych na roboty. Skupiska te utrzymują kontakty ze swymi organizacjami politycznymi, tworząc piątki konspiracyjne. Piątki zależne są od swych ośrodków dyspozycyjnych w Polsce; na miejscu organizacji wspólnej nie ma. Takie pierwociny organizacyjne istnieją m.in. w Królewcu, Elblągu, Malborku, Kwidzynie, Olsztynie, Kołobrzegu, Szczecinie i in [pisownia oryginalna]”.

Czasem działania konspiracji w Prusach były bardziej bezpośrednie. Inspektor Ciechanowski AK, Julian Opalski „Jakub”, ukrywał się w mazurskiej rodzinie w powiecie nidzickim. W tych samych okolicach korzystali ze schronienia żołnierze Obwodu AK Przasnysz. Jeden z nich, Zacheusz Nowowiejski „Jeż”, na polecenie wywiadu akowskiego zaprzysiął do współpracy kobietę na co dzień zatrudnioną u niemieckiego starosty w Nidzicy. Z kolei członek NSZ Czesław Czapliski „Rys” wspominał: „Założyliśmy na terenie [...] Prus Wschodnich placówki organizacyjne, dostarczając tam prasę konspiracyjną i instrukcje naszej organizacji. Stałymi łącznikami z tymi punktami konspiracyjnymi w Prusach byli Henryk Pszczółkowski i Czesław Czapliski. Miejscem najbliższej placówki »za granicą« było miasto Szczytno, gdzie pracowała duża grupa Polaków”.

### „Mazurom sława!”

Stosunkowo najlepiej zbadana jest organizacja „PO WE” (od: Pomorze Wschodnie, jak często nazywano Prusy Wschodnie) powołana w Okręgu AK Białystok. To właśnie wspomniany na początku inż. Romuald Koział był autorem pomysłu, aby z okręgowych struktur AK wydzielić specjalną organizację, która działałaby w pasie granicznym z Prusami Wschodnimi. Koział urodził się w kurpiowskiej wsi Koział

nad rzeką Pisą, kilka kilometrów od międzywojennej granicy polsko-niemieckiej. Znał doskonale specyfikę pogranicza, bo od wczesnej młodości spotykał się z Mazurami. Dostrzegał podobieństwo ich mowy do gwary kurpiowskiej. Po obu stronach granicy rozpoznawał podobnie brzmiące nazwy miejscowości, identyczne nazwiska.

Gdy Polska znalazła się pod okupacją, Kozioł zaangażował się w działalność konspiracyjną. Został oficerem Narodowej Organizacji Wojskowej, a następnie szefem wydziału saperów w Obwodzie Łomża AK. Wciąż jednak wracał do wcześniejszych doświadczeń. Z jednej strony widział lud mazurski na co dzień posługujący się polską mową i życzliwie odnoszący się do polskich robotników przymusowych, z drugiej – młodych Mazurów służących w niemieckiej żandarmerii czy armii, bardzo aktywnych w zwalczaniu polskości na terenach okupowanych. Rozumiał postulat włączenia tzw. Mazowsza Pruskiego do Polski, ale równocześnie obawiał się rosnącej żądzy odwetu za niemieckie zbrodnie. Przewidywał, że wraz z zakończeniem wojny nastąpi kilkudniowe zamieszanie na pograniczu, podczas którego może dojść do szabru i bandytyzmu, wymierzonego w ludność mazurską.

Aby przeciwdziałać tym zjawiskom w chwili spodziewanej klęski Niemiec, Kozioł zamierzał stworzyć w przygranicznych powiatach odpowiednio przeszkolone, uzbrojone oddziały, aby w stosownej chwili obsadzić nimi granicę. „Wiadomo bowiem, że w momencie przejścia frontu [...] powstaje parodniowa próżnia władzy. Porządek mogą utrzymać tylko miejscowi” – pisał po latach. W 1943 roku komendant okręgu, ppłk Władysław Liniarski „Mścisław”, zaakceptował propozycję Kozła i organizacja rozpoczęła pracę. Jako komendant „PO WE” Kozioł przyjął pseudonim „Masław”, od słów „Mazurom sława!”.

Cały pas nadgraniczny podzielono na kilkunastokilometrowe odcinki zwane placówkami. Na wschodzie organizacja sięgała do Augustowa i Suwałk. Na zachodzie „PO WE” opierała się o granicę Okręgu Białystok AK. W bezpośrednią pracę było zaangażowanych kilkaset osób.

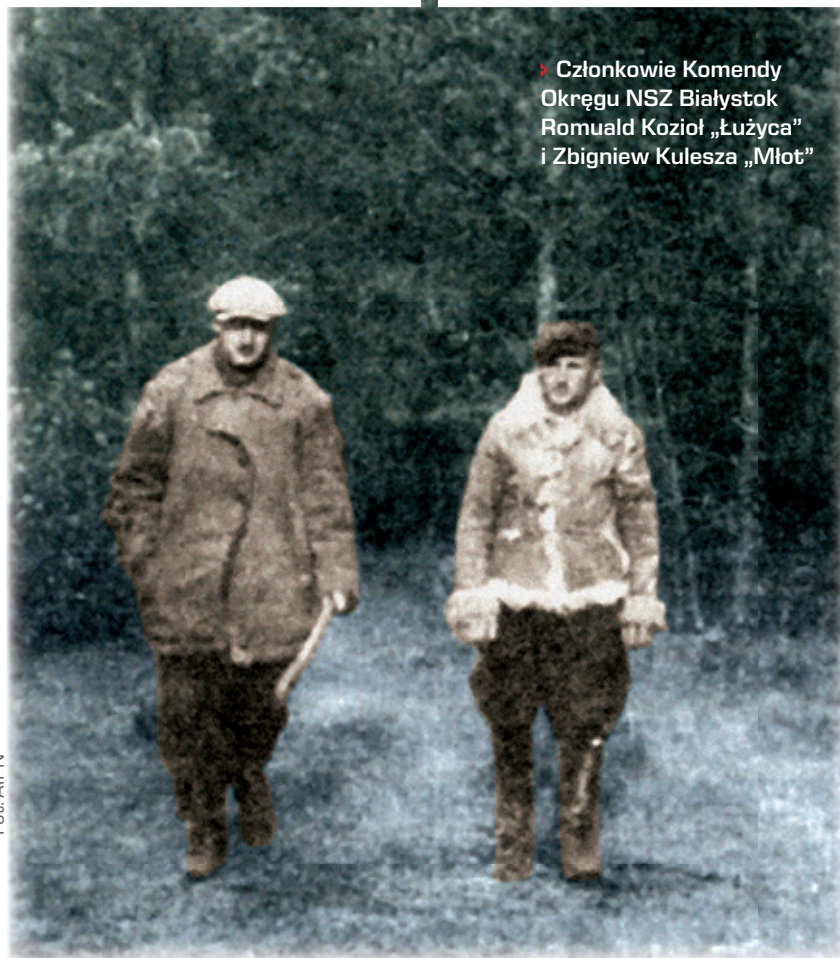
Rozwój „PO WE” w 1943 roku sprzyjał rozbudowaniu stawianych przed nią zadań. Dzięki kontaktom z zaprzyjaźnionymi Mazurami i polskimi robotnikami prowadzono wywiad na pograniczu. Z oficjalnych niemieckich wydawnictw czerpano informacje o jakości gleb, rozmieszczeniu surowców, lokalnej infrastrukturze itp. Te dane wykorzystywano do sporządzania opracowań przydatnych w przyszłym zagospodarowywaniu Prus Wschodnich. Tu również przygotowywano pracowników administracji do objęcia urzędów. Aby skuteczniej wpływać na polskich i mazurskich mieszkańców pogranicza, wydawano tygodnik „Bałtyckie Echo”. W pochodzącym z października 1943 roku raporcie Delegatury Rządu na Kraj zniekształcono nazwę pisma: „Na miejscu [tj. w Łomżyńskim] wychodzi [...] »Bałtyk« uwzględniający [...] sprawę Prus Wschodnich”. Część każdego numeru była pisana po mazursku! „Wydawaliśmy ulotki, broszurki oraz stałe pismo »Bałtyckie Echo« – wspominał Romuald Kozioł w 1946 roku, już w celi więziennej – w każdym numerze była gawęda w gwarze mazurskiej, opisująca perype-

tie Mazurów pod panowaniem Niemców, wyśmiewająca hitlerizm i tych Mazurów, którzy »przepiępryli nomy« (pозmieniłi nazwiska), a gloryfikująca wiernych swej polskiej – słowiańskiej tradycji”.

### Przejście do NSZ

„Masław” postanowił rozszerzyć swą inicjatywę w kierunku zachodnim. Jednak rozmowy z przedstawicielami wyższych władz konspiracyjnych skończyły się niepowodzeniem. Wysoki stopniem rozmówca Kozła z Korpusu Bezpieczeństwa nie był zainteresowany współpracą. Czy nie chciał dublowania już podjętych działań? A może z perspektywy Warszawy kwestia mazurska wyglądała inaczej niż na pograniczu?

Niepowodzenie w kontaktach z Warszawą było jednym z motywów przejścia Romualda Kozła i części jego ludzi do Narodowych Sił Zbrojnych. Nie bez znaczenia była tu dobra znajomość Kozła z działaczami obozu narodowego z okresu przedwojennego i początków konspiracji. Należał do nich bliski kolega jeszcze z ławy szkolnej, Zbigniew Kulesza „Młot”, członek Komendy Okręgu NSZ Białystok, po



► Członkowie Komendy Okręgu NSZ Białystok Romuald Kozioł „Łużyca” i Zbigniew Kulesza „Młot”



wojnie kierujący Okręgiem „Mazowsze” Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Właśnie w 1943 roku nastąpiło odejście części oficerów z Okręgu Białystok AK do NSZ. Kozioł po latach tak motywował swoją decyzję: „Na naszych terenach powstało NSZ i rozwinęło bardzo aktywną propagandę za narodowym, antybolszewicko ukierunkowanym podziemiem. Wobec zbliżającego się frontu rosyjskiego, po doświadczeniach z »oswobodzeniem« w 1939 roku, tego rodzaju akcja zdawała się mieć swoje uzasadnienie. Zdecydowałem się na rzucenie swego autorytetu na szalę – na ilem go miał. A rozumowałem: za Pisę [chodzi o odcinek od granicy polsko-niemieckiej do miejsca, w którym rzeka wpada do Narwi; jest to umowna granica między ziemią łomżyńską a Kurpiami i zachodnią rubież Okręgu Białystok AK] w kierunku Chorzel, Brodnicy i Torunia w istniejącej sytuacji organizacyjnej nie pójdziemy [w ramach związanej z Armią Krajową „PO WE”]. NSZ jakieś szanse [...] jednak daje. Teren Białostoczczyzny jest zorganizowany. Mój zastępca, Jan Blusiewicz [pozostał w AK] i cały zespół ludzi [...] przez półtora roku wypracował metody i kontakty i [...] będzie pracował nadal. Oczywiście moje odejście będzie powodem jakiejś zamieszki w organizacji. Jednak bilans mego przejścia z NSZ na drugą stronę Pisy będzie dodatni”.

W Narodowych Siłach Zbrojnych Romuald Kozioł jako „Łużyca” został m.in. szefem sztabu Komendy Okręgu. Dowodził także Batalionem Kurpiowskim NSZ, złożonym przede wszystkim z ludzi powiązanych z „PO WE”. Nadal prowadzono prace wywiadowcze i propagandowe. Te ostatnie wciąż adresowano do Polaków, aby pokazać im odrębność Mazurów od Niemców, i do Mazurów, aby uświadomić im związki z polskością. Niewykluczone, że należy wiązać te działania ze wspomnianym wcześniej Legionem Mazurskim, budowanym w strukturach Narodowych Sił Zbrojnych.

### Niespełnione nadzieje

A jednak wydarzenia wojenne i polityczne z lat 1944–1945 nie pozwoliły sprawdzić, w jakim stopniu wizja Romualda Kozła

była możliwa do realizacji. Zresztą dotyczy to również innych przygotowań, także podejmowanych w ramach Komendy Głównej AK czy Delegatury Rządu na Kraj. Z sowieckiego nadania władzę nad Polską objęli komuniści, zupełnie nieprzygotowani do zmierzenia się z problemem przejęcia Ziemi Postulowanych oraz przywrócenia Warmiaków i Mazurów do polskości. Polacy nie odzyskali niepodległości, a mazurscy autochtoni nie mogli liczyć na bezpieczeństwo i stabilizację. Spełnił się czarny scenariusz szabru i przemocy, przewidywany przez inżyniera. „Z naszych zabiegów nic nie wyszło. W istniejących warunkach nie było mowy o otwartym wystąpieniu. Mielśmy mniej odwagi, a więcej chłopskiego instynktu na to, żeby jak »Niedźwiadek« [komendant AK, gen. Leopold Okulicki] iść na spotkanie do jakiegoś Milanówka [chodzi o pobliski Pruszków, gdzie NKWD podstępnie zwałił przywódców Polski Podziemnej]. Osobiście w pierwszych godzinach przemiany [...] poszedłem do najbliższej [mazurskiej] wsi, by mieć smutną satysfakcję spełnienia wszystkich najgorszych przewidywań [...]. Widziałem palącą się Turośl [...]. Bezsilny patrzyłem na rabunki opustoszałych zupełnie domów i obejść. Mieszkańcy, Mazurzy, którzy nie pociągnęli z Wehrmachtem na Zachód, poukrywali się w otaczającej puszczy”.

Początkowo Romuald Kozioł pozostał w konspiracji, przez kilka miesięcy 1945 roku działając w NZW. Prawdopodobnie był przewidziany na komendanta nowo powołanego konspiracyjnego Okręgu „Bałtyk” NZW, który miał obejmować Warmię i Mazury. On sam tego nie potwierdzał, pisząc po wielu latach bardzo ogólnikowo: „Nawiązałem kontakt ze współpracownikami z okresu »PO WE«. Celem naszej akcji miała być jakaś kontrola terenu od strony nieoficjalnej”. Równocześnie zaangażował się w odbudowę zrujnowanego pogranicza. Wczesną jesienią 1945 roku rozpoczął pracę w zniszczonym przez Armię Czerwoną Piszcu. Szukał też kontaktów z polskimi działaczami mazurskimi, którzy w tym czasie organizowali się w Olsztynie. Akurat miał z piskim starostą jechać do stolicy

ówczesnego Okręgu Mazurskiego, gdy został aresztowany przez UB. Represji nie uniknęli także jego współpracownicy.

### Po wojnie

Prusy Wschodnie były pierwszym skrawkiem III Rzeszy, do którego wkroczyły wojska sowieckie. Niemcy w ostatniej chwili próbowali ewakuować mieszkańców, co jednak nie zawsze się udawało. Ludność cywilna została skazana na odwet zwycięskiej armii. Tych, którzy przetrwali, organizowano w bataliony robocze, te zaś miały demontować ponemiecką infrastrukturę przeznaczoną do wywiezienia do ZSRR. Na wschód deportowano tysiące ludzi, aby odbudowywali sowiecką gospodarkę.

Dopiero po kilku miesiącach zarząd nad tą częścią regionu, która została włączona do Polski, zaczęli przejmować polscy urzędnicy. Wśród nich wielu przypadkowych. Zarówno urzędnicy, jak i napływający osadnicy, nie zawsze rozumieli specyfikę regionu, nie rozpoznawali złożoności kwestii etnicznych i religijnych. W 2011 roku w sposób niezwykle sugestywny opowiedział o tych dramatach film fabularny *Róża* w reżyserii Wojciecha Smarzowskiego. Bezkarci funkcjonariusze partii i aparatu represji widzieli w miejscowych „Niemców”, których na mocy decyzji międzynarodowych należy wysiedlić do okupowanych Niemiec.

Wprawdzie komunistyczna władza oficjalnie odwoływała się do doświadczeń przedwojennych propolskich działaczy, w rzeczywistości jednak traktowała ich instrumentalnie. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych wielu z nich pozbawiono funkcji publicznych, aresztowano lub poddawano inwigilacji UB. Dlatego gdy po śmierci Stalina system komunistyczny zaczął przechodzić wewnętrzną przemianę, Warmiaczy i Mazurzy, odwołując się do niemieckiej przeszłości, starali się wykorzystać wszelkie możliwe sposoby, aby wyjechać do RFN. 🇺🇸

dr Waldemar Brenda – absolwent Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, naczelnik Delegatury IPN w Olsztynie



# Nieznane dzieciństwo Anny Walentynowicz

Igor Hałagida

Możemy się tylko domyślać, dlaczego Anna Walentynowicz nie chciała się dzielić informacjami o swych ukraińskich korzeniach.

**W** 2010 roku, po katastrofie smoleńskiej, w mediach na Ukrainie pojawiła się informacja o ukraińskim pochodzeniu Anny Walentynowicz. Pierwsza – już 17 kwietnia – napisała o tym lokalna gazeta rejonu hoszczańskiego „Ridnyj Kraj”, a powtórzyły media ogólnokrajowe, w tym wpływowy „Ukrajński Tydzień” oraz radio Swoboda. Kilkanaście miesięcy później tekst na ten temat został opublikowany także w Polsce, w roczniku mniejszości ukraińskiej „Ukrajinskyj ▶

Almanach”. Mimo to nad Wisłą owe rewelacje zostały przyjęte z niedowierzaniem, a niekiedy kpiąco-ironicznymi komentarzami. „Od pewnego czasu rozpowszechniana jest sensacyjna informacja, że jakoby Anna Walentynowicz, urodzona w polskiej rodzinie Lubczyków w Równem na Wołyniu, była – uwaga! – Ukrainką z pochodzenia” – komentował chociażby na swym blogu ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski we wpisie zatytułowanym *Brednie o Annie Walentynowicz*. „Co więcej, po śmierci Walentynowicz w »cudowny« sposób odnalazło się na Wołyniu jej rodzeństwo. Tak jak czterysta lat temu w Moskwie »cudownie« (i to aż dwukrotnie) po swojej śmierci odnajdywał się carewicz Dymitr, syn cara Iwana Groźnego. [...] Chciałoby się w tym momencie krzyknąć: Hospody pomyśluj!!! [...] Warto przypomnieć, że dwaj osobnicy, którzy twierdzili, że są cudownie ocalonym carewiczem Dymitrem, otrzymali przydomek Samozwańcy. Podobne określenie pasuje jak ulał do tych, co twierdzą, że są rodzonymi braćmi i siostrami Anny Walentynowicz”.

Wkrótce potem o sprawie niemal zapomniano. Niemal, gdyż ta kwestia powracała co jakiś czas w postaci krążących plotek. Niektórzy mogli też skonstatować, że

biogramy „matki Solidarności” w polskiej i ukraińskiej Wikipedii różnią się we fragmentach dotyczących dzieciństwa. Korzystając z pobytu w Równem (kwerenda naukowa w miejscowym archiwum), postanowiłem spróbować rozwikłać tę zagadkę. Częściowo chyba się udało.

### Rodzina

Według powszechnie znanego życiorysu, Anna Walentynowicz urodziła się 15 sierpnia 1929 roku w Równem, w polskiej, rzymskokatolickiej, ziemiańskiej rodzinie Jana i Aleksandry Lubczyków. W dzieciństwie straciła rodziców i brata, który został wywieziony na Syberię. Przynajmniej przez obcych ludzi, znalazła się pod Warszawą, a później trafiła do Gdańska. W rzeczywistości w opowieści tej prawdziwe są tylko data urodzenia oraz informacja, że miała starszego – jak się okazuje, przyrodniego – brata, który faktycznie został aresztowany przez Sowieców i za współpracę z Ukraińską Powstańczą Armią skazany na 15 lat łagrów (na wolność wyszedł po śmierci Stalina; na Ukrainę zezwolono mu powrócić dopiero kilkanaście lat później).

Faktycznie Anna Lubczyk przyszła na świat w nieistniejącym już dziś chutorze wchodzącym w skład wsi Sienne

(obecnie Sadowe) w niezbyt zamożnej, ukraińskiej, chłopskiej rodzinie Lubczyków: Nazara i Pryški z domu Paszkowców. Wychowywała się z pięciorgiem rodzeństwa: Olgą, Piotrem, Katarzyną, Wasylem oraz wspomnianym przyrodnim bratem Iwanem (Pryška była wdową z małym dzieckiem, gdy wychodziła za Nazara Lubczyka; jej pierwszy mąż, Ołeksza Suszczuk, zginął tragicznie kilka tygodni po narodzinach syna). Ich imion próżno jednak szukać w księdze urodzeń prawosławnej parafii w Siennem, przechowywanej obecnie w równieńskim archiwum obwodowym. Wyjaśnienie tego braku okazało się proste. Jak stwierdziła starsza siostra Anny, Olga Lubczyk, dziś mieszkająca razem z najmłodszym bratem w Matijiwce (niespełna 15 km od Sadowego): „byliśmy sztundami”. Sztundyzm (od niem. *Stunde* – godzina) to protestancki pietystyczny ruch religijny, który pojawił się na Ukrainie w połowie XIX wieku, zdobywając sporą popularność zarówno wśród niemieckich kolonistów na Wołyniu, jak i części ich ukraińskich pracowników czy sąsiadów. W latach trzydziestych XX wieku na Wołyniu liczył ponad 30 tys. wiernych.

### Rozłąka

Bywały biedniejsze rodziny niż Lubczykowie, ale i u nich w domu się nie przelewało. Mimo to Anna ukończyła cztery klasy szkoły powszechnej w Siennem (nie mogła później kontynuować nauki, bo Niemcy w czasie wojny zamknęli miejscową szkołę). We wrześniu 1937 roku zmarła matka ośmioletniej Anny. Trzy lata później, we wrześniu 1940 roku, Nazar Lubczyk ożenił się z Marią Ozarczuk. Z tego związku urodziło się kolejnych pięcioro dzieci.

Jak wynika z rodzinnych opowieści, macocha Anny nie robiła żadnych różnic między potomstwem własnym a przybranym. Jednak wraz z początkiem wojny sytuacja materialna rodziny znacznie się pogorszyła.

– Gdy przyszli Rosjanie, ale jeszcze nie było kolchozów, mieliśmy swoją ziemię, sami sialiśmy i ją obrabialiśmy: Anna, ja i młodsza siostra. Pracowaliśmy ciężko,



► Fotografia Nazara Lubczyka i rewers zdjęcia Anny Walentynowicz z dedykacją dla brata Wasyla

ale nie żyliśmy biednie, dopóki Sowieci nie zabrali naszej ziemi. Zabrali też majątek i inwentarz, nie było w co się ubrać, chodziliśmy boso – wspomina Olga Lubczyk. Takie warunki zmusiły rodzinę do trudnych decyzji, tj. wysłania najstarszych dzieci na służbę (co w ówczesnej rzeczywistości było normą). Ratunkiem wydawał się Edmund Teleśnicki – Polak, który jako pracownik cukrowni w Babinie skupował buraki od okolicznych chłopów. Prawdopodobnie w 1941 roku, po opuszczeniu przez ziemiańską rodzinę Pruszyńskich ich posiadłości w Pustomytach (sąsiadujących z Siennem), Teleśnicki wraz z żoną Walentyną przeniósł się do tego majątku. Edmund Teleśnicki znał Marię Ozarczuk, która kiedyś także u niego pracowała jako służąca. Widząc biedującą rodzinę, zaproponował, że przyjmie do siebie którąś z dziewczynek. Początkowo wybór padł na starszą Olę, która jednak po dwóch miesiącach, nie mogąc znieść warunków pracy, wróciła do domu. Zamiast niej do Teleśnickich poszła dwunastoletnia Anna. – Prosiłam ją, by nie szła, ale ona powiedziała, że da radę – wspomina dziś Olga Lubczyk. „U panów” Anna pracowała ciężko, nie otrzymując żadnego wynagrodzenia; jedyną jej zapłatą było jedzenie.

Dramatyczny zwrot w życiu Anny Lubczyk nastąpił w 1943 roku. W oficjalnych biogramach wspomina się, że razem z przybraną rodziną wyjechała w 1941 roku. Jest to data niezrozumiała. Nie wiadomo bowiem, dlaczego Polacy mieliby wyjeżdżać, skoro właśnie wówczas pozbyto się znienawidzonej władzy sowieckiej, a Niemcy nie ujawnili jeszcze prawdziwego charakteru swych rządów. Faktycznie Teleśnickcy opuścili Wołyń zimą 1943 roku; najprawdopodobniej w obawie przed napadami ukraińskiego podziemia (Olga Lubczyk także wspomniała, że „z lasu przyszli chłopcy i nastraszyli pana, żeby wyjeżdżał – on zabrał wszystko i pojechał, zabrał też ze sobą naszą Anię”). O tej właśnie dacie może też świadczyć pośrednio zapis w karcie poborowego Konstantego Teleśnickiego – syna Edmunda – który po latach, wypełniając w Rejonowej Ko-



Fot. Igor Halegida

► Olga i Wasyl Lubczykowie

mendzie Uzupelnień dokumenty, podał, że od 1941 do 1942 roku był zatrudniony jako pracownik fizyczny w Hoszczy, a w latach 1942–1943 był pracownikiem umysłowym w Łyszczach. Nie do końca więc chyba prawdziwe wydają się informacje, że Anna Walentynowicz mieszkała w podwarszawskiej Malcowiznie (obecnie Rudniki) – u Leona i Marianny Teleśnickich (krewnych Edmunda i Walentyny) już w 1942 roku.

Dlaczego Teleśnickcy zabrali ze sobą Annę? Tego nie wiemy. Sama Walentynowicz miała wspominać po latach, iż gospodarze mówili, że jej rodzinna wieś została spalona, a bliscy nie żyją. Czy to

była prawda? Dziś wiemy, że nie. Faktycznie Niemcy 17 grudnia 1943 roku spacyfikowali leżące niedaleko Pustomyty, mordując kilkaset osób. Kilka dni wcześniej spalili też częściowo Sienne, ale większość mieszkańców tej wsi – w tym Lubczykowie – ocalała. O nieszczerości Teleśnickiego może też świadczyć to, że polscy opiekunowie Anny po opuszczeniu Pustomyt zatrzymali się na kilka dni w Hoszczy. Tam odnalazł ich Nazar Lubczyk poszukujący córki i na pytanie, gdzie się podziała dziewczyna, miał usłyszeć odpowiedź: „Gdzieś poszła”. Ponoć nazajutrz Teleśnickcy wyjechali z Hoszczy, by w końcu znaleźć ►

się we wspomianej wyżej Malcowiźnie. Bardziej więc prawdopodobne wydaje się to, że mała Anna była traktowana po prostu jak darmowa siła do pracy. Taką hipotezę wzmacnia to, że po objęciu przez Teleśnickich w 1945 roku gospodarstwa pod Gdańskiem nie była traktowana jak domownik. Teleśnicy nie tylko zakazali jej podawania prawdziwej narodowości („Jak powiesz, że jesteś Ukrainką, to cię zamordują”); ale też nieraz przyszło jej doświadczać połajania, a niezadko i bicia ze strony gospodarzy.

### Spotkanie po latach

Dalsze losy przyszłej ikony Solidarności są dość dobrze znane. Niezwykle natomiast wydają się okoliczności ponownego odnalezienia przez nią bliskich. Jak głosi rodzinna opowieść, jedyną osobą, która przez lata wierzyła, że Anna żyje, był jej ojciec Nazar (o jego tęsknocie za córką może świadczyć to, że kolejna dziewczynka, która pojawiła się w rodzinie, otrzymała imię Anna). Po rozpadzie Związku Sowieckiego za namową siostrzenicy rozpoczął oficjalne poszukiwania, m.in. przez środki masowego przekazu. Przypadek sprawił, że na jeden z takich apeli natrafił historyk krajoznawca z Tarnopola, Jefrem Hasaj. To za jego poradą i z jego pomocą wszczęto poszukiwania w Polsce. Trwały długo, ale ostatecznie zakończyły się powodzeniem. W 1996 roku Anna Walentynowicz dowiedziała się o istnieniu swej najbliższej rodziny na Ukrainie. Ponieważ informacje o poszukujących jej krewnych pochodziły z Tarnopola, początkowo udała się właśnie do tego miasta. Dopiero po spotkaniu z Hasajem i wyjaśnieniu nieporozumienia, telefonicznie skontaktowała się z rodziną. – Z tej [pierwszej] naszej rozmowy nic nie wyszło, po prostu dlatego, że jedyne, co mogliśmy wymówić do słuchawki, to nasze imiona: „Olu!”, „Aniu!” – wspomina Olga Lubczyk. Następnego dnia siostry spotkały się na dworcu autobusowym w Równem.

Tego wydarzenia nie dożył niestety Nazar Lubczyk; zmarł w grudniu 1995 roku.

Od tego momentu przez następnych czternaście lat Anna Walentynowicz niemal każdego roku odwiedzała krewnych na Ukrainie (z przerwą, gdy nie pozwolił na to jej stan zdrowia). Po raz ostatni doszło do tego w lipcu 2009 roku, gdy przyjechała do Sławuty w obwodzie chmielnickim na pogrzeb przyrodniego brata Iwana. Ponownie zamierzała zwitać na Wołyń w sierpniu 2010 roku. W przeddzień feralnego lotu do Smoleńska Walentynowicz zadzwoniła do kuzyna Michała Paszkowca z Kijowa, któremu obiecała opowiedzieć szczegółowo ze swego życia. Nie zdążyła.

### Pytania (prawie) bez odpowiedzi

Anna Walentynowicz została pochowana na cmentarzu Srebrzysko w Gdańsku. Swoistym paradoksem jest to, że spoczęła na tej samej nekropolii, na której zostali pochowani Edmund Teleśnicki (zmarł w 1979 roku), jego żona Walentyna (zmarła w 1958 roku) oraz ich syn Konstanty (zmarł w 2004 roku). Czy za życia wiedziała, że mieszkali w Gdańsku? Czy oni rozpoznawali w niej swą dawną służącą? Tego nie wiemy. Tak chyba jednak mogło być w przypadku Konstantego, który notabene w latach 1950–1953 zaliczył krótki epizod służby w pionie kwatermistrzowskim gdańskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (jego teczka osobowa znajduje się obecnie w konserwacji, nie wiadomo więc, co napisał o wójennym okresie swego życiorysu). Trudno bowiem przypuszczać, by ani razu nie widział jej w telewizji, gdy stała się osobą znaną i rozpoznawalną.

Jedno z ważniejszych pytań, które może pojawić się wobec przedstawionych powyżej informacji, dotyczy tego, dlaczego Anna Walentynowicz przez całe dorosłe życie ukrywała fakty ze swego dzieciństwa. Nie ma na nie chyba jednak prostej odpowiedzi, a każda podjęta próba byłaby psychologizowaniem. Bez wątpienia trauma dzieciństwa i utrata bliskich mocno zaciążyły na jej życiowych wyborach. Na ukrywanie prawdziwego pochodzenia mogło też wpłynąć to, w jaki sposób przedstawiano relacje pol-

sko-ukraińskie w PRL. Być może wśród tych powodów należy szukać genezy wymyślonej przez nią legendy o dzieciństwie? Tym bardziej że przez dziesięciolecie święcie wierzyła, iż pozostała na świecie sama. Nie ma też łatwej odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie ujawniła prawdy już po 1996 roku, gdy odnalazła bliskich. Może doszła do wniosku, że już za późno, że ważniejsze są jej osobiste relacje z rodzeństwem niż korygowanie życiorysu, które mogło być na rękę osobom jej nieprzychylnym? Niestety, są to tylko domysły.

Czy te informacje zmieniają cokolwiek w postrzeganiu Anny Walentynowicz? Wręcz przeciwnie. Poniewierka i ciężka praca, jaką musiała wykonywać u obcych ludzi, w znacznym chyba stopniu tłumaczy jej wrażliwość na ludzką krzywdę i chęć pomocy bliźnim, którą kierowała się przez całe życie. Jej życiorys jest też jednak doskonałą ilustracją tragicznych nieradko losów ludzi z pogranicza narodowościowego i wyznaniowego. Niczym odkrywczym nie będzie konstatacja, że także dzisiaj na relacjach polsko-ukraińskich cieniem kładzie się niedawna, często krwawa, przeszłość. Może więc – nie zapominając o tym, co najtragiczniejsze – porozumienie należy budować na tym, co łączy? Na takich postaciach jak Anna Walentynowicz: niewątpliwie polska bohaterka o ukraińskich korzeniach. Podczas swego pobytu w Równem miałem możliwość uczestniczenia (jako obserwator) w roboczym spotkaniu miejscowych działaczy społecznych z przedstawicielami lokalnych władz. Obecny na nim zastępca przewodniczącego administracji rejonowej z Hoszczy, Taras Homeniuk, zapowiedział otwarcie w przyszłości w centrum miasteczka muzeum poświęconego swej rodaczce i „matce Solidarności” w jednym. Czy ta deklaracja doczeka się realizacji? Czas pokaże. 📌

**prof. Igor Hałagida** – historyk, pracownik Oddziału IPN w Gdańsku i Zakładu Historii Najnowszej Polskiego Uniwersytetu Gdańskiego

Korzystałem z pracy Mykoły Paszkowca i Jarosława Plasa *Wohnenna wichała poklykala u bezsmertia abo pererwanyj polit „pasionariji”* (Kijów 2013).



# Zginęli, bo byli Polakami

Barbara Bojaryn-Kazberuk

12 lipca 1945 roku wojska 50. Armii 3. Frontu Białoruskiego rozpoczęły największą po wojnie obławę na terytorium Polski skierowaną przeciwko podziemiu niepodległościowemu. W ciągu ostatniego roku udało się ustalić wiele nowych szczegółów jej przebiegu, jednak wciąż nie znamy miejsca pochówku ofiar.

**O**peracja, nazywana w sowieckich dokumentach czeki-stowsko-wojskową, objęła nie tylko obszar dzisiejszych czterech powiatów północno-wschodniej Polski (augustowski, suwalski, sejneński i część sokólskiego), lecz także część Grodzieńszczyzny i rejonu Druskiennik do Niemna oraz przygraniczne tereny Litwy Kowieńskiej. W Polsce i na terenach włączonych do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej represje wymierzono przede wszystkim w Armię Krajową, w litewskiej republice zaś oprócz polskiego podziemia także w miejscowe formacje antykomunistyczne.

## Determinacja Sowietów

Aby zdławić wszelki opór, Sowietci użyli nadzwyczajnych sił i środków. Z rejonu Królewca ściągnięto regularne wojsko. W ciągu kilku dni na obszarze zaplanowanej operacji znalazły się 69., 81. i 124. korpusy strzeleckie 50. Armii, wspierane przez 29. Korpus Strzelecki 48. Armii. Już od trzeciej dekady maja

w rejonie Sejn, Raczek, Augustowa i Suwałk stacjonował 2. Tacyński Gwardyjski Korpus Pancerny, wslawiony walkami z Niemcami pod Stalingradem i Królewcem. Szacuje się, że wraz z jednostkami pomocniczymi (m.in. 271. Samodzielnym Zmotoryzowanym Batalionem Specjalnego Przeznaczenia) Sowietci dysponowali 40–45 tys. żołnierzy. W każdej z jednostek działali także funkcjonariusze kontrwywiadu wojskowego Smiersz. Tylko w głównej fazie operacji, czyli między 12 a 19 lipca, wojska przeczesały obszar prawie 7,5 tys. km kw. Z jaką dokładnością to zrobiono – wynika z raportów 50. Armii. Do przeprowadzenia Obławy Augustowskiej zastosowano tzw. metodę blokowania, opisaną przez Grzegorza Motykę w książce *Na Białych Polaków obława. Wojska NKWD w walce z polskim podziemiem 1944–1953*. Jak wynika z dokumentów 50. Armii, wojska uczestniczące w operacji poruszały się w trzech rzutach: I – tyraliera przeczesująca teren (żołnierze oddaleni od siebie o 8–10 m, a nawet 6–8 m), II – druga linia tyralier,

która zajmowała się głównie sprawdzaniem mieszkańców w miejscowościach na obszarze działania i przeprowadzaniem rewizji, III – grupy wsparcia w przypadku napotkania oporu. Przeciwko żołnierzom podziemia i ludności cywilnej wytoczono także artylerię. Dowództwo oddziału operacyjnego 81. Korpusu Strzeleckiego meldowało: „Wszystkie trzy pułki dywizji w trakcie przeczesywania lasów i terenów zamieszkałych były rozciągnięte w linii na kształt łańcucha na całej długości dywizji [...]. Na wszystkich drogach i ścieżkach prowadzony był zwiad inżynieryjny w celu ich zaminowania. **Artyleria i bateria moździerzy** [wyróżnienie – BBK] przemieszczały się po drogach i ścieżkach leśnych w drugim eszelonie pułków w odległości 200–300 m od podstawowego łańcucha”.

Do 25 lipca pacyfikacją kierowało trzech szefów 50. Armii: dowodzący wojskami generał lejtnant Fiodor Ozierow, członek Rady Wojennej generał major Nikołaj Ponomariow i szef sztabu generał major Nikołaj Garnicz. Następnie całe



dowództwo wymieniono z nieznanymi powodów.

Czerwonoarmiści (przy udziale żołnierzy 1. Praskiego Pułku Piechoty Wojska Polskiego, dowodzonych przez por. Maksymiliana Sznepfą, oraz funkcjonariuszy powiatowych urzędów bezpieczeństwa publicznego z Augustowa i Suwałk) wyłapywali ludzi i zgodnie z rozkazami przekazywali Smierszowi. Do 19 lipca zatrzymali 7049 osób, w tym 5364 Polaków (22 lipca 1945 roku liczba zatrzymanych wynosiła 5696). Ilu z nich zamordowali, ilu zabili podczas przeprowadzania samej operacji i zakatowali podczas przesłuchań, nie wiadomo. Do dziś znamy około sześciuset nazwisk. Z szyfrogramu szefa Głównego Zarządu Smiersz (pełniącego także funkcję pełnomocnika NKWD 3. Frontu Białoruskiego), Wiktora Abakumowa, adresowanego do ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR, Ławrientija Berii, z 21 lipca 1945 roku wiemy, że zwrócił się on o zgodę na zamordowanie 592 aresztowanych Polaków. Egzekucję miał wykonać wydzielony zespół operacyjny i batalion wojsk Zarządu Smiersz 3. Frontu Białoruskiego. Jak to ujęto w szyfrogramie, „odpowiedzialność za przeprowadzenie likwidacji bandytów” nałożono na zastępcę naczelnika Głównego Zarządu Smiersz, generała majora Iwana Gorgonowa, i szefa Zarządu Kontrwywiadu 3. Frontu Białoruskiego, generała lejtnanta Pawła Ziełnina. Mordu dokonano w lesie. Dół lub

doły śmierci ze szczątkami ofiar obławy nadal są poszukiwane. Po raz pierwszy jednak od siedemdziesięciu lat jesteśmy być może tak blisko ich odkrycia. Niestety, miejsce prawdopodobnego grobu – okolice dawnej leśniczówki Gieź – znajduje się w białoruskim pasie granicznym tzw. zonie, do której nikt poza pogranicznikami nie ma dostępu. Bez dobrej woli i pomocy Białorusinów weryfikacja hipotezy jest niemożliwa.

### Odtajnione dokumenty

Dziś szczegółowo znamy przebieg obławy. Jesienią 2015 roku w wyniku stałego monitoringu historycy z białostockiego oddziału Instytutu Pamięi Narodowej natrafili na okazały zbiór dokumentów 50. Armii 3. Frontu Białoruskiego z zasobów archiwum rosyjskiego Ministerstwa Obrony, zamieszczony na stronie Pamyatnaroda.ru. Trwa analiza ponad dwóch tysięcy stron dokumentów z poziomu dowództwa 3. Frontu Białoruskiego, czasem do poziomu pułku. Zbiór nie jest kompletny. Nie znamy np. rozkazów ani dzienników bojowych 2. Gwardyjskiego Korpusu Pancernego z początku okresu stacjonowania na Suwalszczyźnie i Augustowszczyźnie w maju 1945 roku. Brakuje informacji o działaniach tej jednostki od maja do 10 lipca. Dokumenty pozwoliły jednak na zbudowanie w miarę pełnego obrazu przebiegu operacji, a także na weryfikację informacji, które przez lata historycy składali na podstawie relacji rodzin ofiar

i świadków, nielicznych dokumentów polskiego podziemia czy miejscowych komunistycznych organów bezpieczeństwa. Znany zatem datę, a nawet godzinę rozpoczęcia operacji, zasięg, rozmiar sił, skład jednostek, miejsca ich stacjonowania i operowania, nazwiska dowódców. W niektórych dokumentach można wyczytać nawet informacje o długości kabli telefonicznych rozciągniętych dla zachowania łączności między oddziałami.

Dokumenty informują także o operacyjnych powodach przeprowadzenia obławy. Sprawozdanie dowódcy 343. Dywizji Strzeleckiej z działań przeprowadzonych między 12 a 16 lipca 1945 roku już w tytule dokumentu wyjaśnia, że chodzi o likwidację „band »Armii Krajowej«”. Komunikuje, że zgodnie z danymi sztabu 50. Armii w lasach augustowskich były aktywne „bandy »Armii Krajowej« dowodzone przez polski emigracyjny rząd w Londynie”. Grupy miały się składać „z Polaków, dołączających do nich litewskich nacjonalistów, dezerterskich Armii Czerwonej, zdrajców ojczyzny i innych wrogich elementów”, których celem miała być likwidacja osób popierających nowy, komunistyczny rząd i żołnierzy Armii Czerwonej.

Z kolei z meldunku sztabu 50. Armii skierowanego do Sekretariatu Rady Wojennej 3. Frontu Białoruskiego wynika, że przeprowadzoną operację poprzedzała analiza danych, przekazanych przez urzędy bezpieczeństwa publicznego z Augustowa i Suwałk, komendantów wojennych Armii Czerwonej tych miast i kierownictwo 2. Gwardyjskiego Korpusu Pancernego. Dane dotyczyły aktywności AK w powiatach suwalskim i augustowskim, która „przejawiała się napadami na oficjalne instytucje władz polskich, rozbrojeniami posterunków milicji, zabójstwami poszczególnych pracowników polskiej administracji, żołnierzy Armii Czerwonej w celu przejęcia broni, zaginięciem i zabójstwem kapitana 2. gwardyjskiego odznaczanego Orderem Czerwonego Sztandaru Tacyńskiego Korpusu Pancernego Markosjana i motocyklisty Kuźmina”. Z tych danych miało także wynikać, że liczebność polskiego podziemia na tym



# Oblawa Augustowska – pytania o liczbę ofiar

Nikita Pietrow

**H**istorycy dyskutują o liczbie obywateli polskich potajemnie zabitych w trakcie Oblawy Augustowskiej. W archiwum FSB w Moskwie są akta jedynie 575 obywateli polskich aresztowanych w trakcie oblawy. Każda z zachowanych teczek ma niewielką objętość – zawiera zaledwie kilka dokumentów. Wszystkie pochodzą z lipca 1945 roku – są to nakazy (lub protokoły) zatrzymania, rewizji, zaświadczenia organów Smiersz [komórek kontrwywiadu wojskowego, działającego w latach 1943–1946 – uwaga tłumacza] o przynależności aresztowanego do Armii Krajowej; w niektórych aktach są również protokoły przesłuchań aresztowanych. Nie ma w nich żadnych wskazań, co się później stało z aresztowanymi – żadnych postanowień (ani o skazaniu, ani o zwolnieniu). Każda z tych zachowanych 575 spraw jakby się urywa, pozostawiając bez odpowiedzi główne pytanie – co się stało z aresztowanym. Samo to jednak, że

w tych aktach brakuje jakiegokolwiek informacji o dalszym losie tych ludzi, potwierdza szczególnie charakter 575 spraw zatrzymanych w trakcie oblawy.

Można z wystarczającą pewnością stwierdzić, że ogólna liczba potajemnie rozstrzelanych w trakcie Oblawy Augustowskiej wynosi 575 osób. Gdyby liczba ofiar była większa, wtedy w archiwum powinno było pozostać więcej teczek. Trudno przypuszczać, aby akta tej kategorii mogły zostać częściowo zniszczone. Regułą radzieckiej służby bezpieczeństwa było albo zachowywanie akt, albo całkowite ich niszczenie.

Wiadomo, że w telegramie kierującego Smierszem Wiktora Abakumowa z 21 lipca 1945 roku mowa o 592 aresztowanych. Ale aresztowania trwały aż do ostatnich dni lipca. Są znane nazwiska zatrzymanych 27 lipca: Ludwika, Kazimiery i Anieli Wysockich, którzy również zostali potajemnie zabici wraz z tymi ofiarami oblawy, które aresztowano wcześniej. O tym można mówić z pewnością, ponieważ ich akta zachowały się w archiwum FSB i na ich podstawie w 2013 roku udzielono odpowiedzi na zapytania ich krewnych (informowano o dacie zatrzymania oraz o tym, że w ich aktach dokumentów „o postawieniu zarzutów, skazaniu, rehabilitacji oraz dalszym losie – brak”). Tym samym 28 lipca 1945 roku liczba aresztowanych w trakcie oblawy przekraczała 592 osoby – i na tej podstawie niektórzy historycy wyciągają wniosek, że liczba ofiar oblawy była jeszcze większa. Taki wniosek nie jest niczym poparty. Tym bardziej że nie wiemy, czy nadeszła odpowiedź na znany telegram Abakumowa z 21 lipca 1945 roku, w którym mowa o planie rozstrzelania 592 aresztowanych, a jeżeli nawet była jakaś odpowiedź od ludowego komisa-

rza spraw wewnętrznych ZSRR Ławrientija Berii – nie znamy jej treści. Jednocześnie, z praktyk przeprowadzania rozstrzelań w latach „wielkiego terroru”, wiadomo, że czasem ograniczano liczbę osób wyznaczonych do rozstrzelania i dopuszczano „niewykonanie w całości” zadanego wcześniej „limitu”. Można jedynie przypuszczać, wychodząc od liczby 575 akt znajdujących się w archiwum, że było polecenie ponownego „przesiania” aresztowanych oraz pozostawienia na listach wyznaczonych do rozstrzelania osób najbardziej niebezpiecznych i podejrzanych. Czyli dokonano dodatkowej selekcji aresztowanych i do kręgu ofiar trafiło 575 osób. W związku z tym należałoby znaleźć świadectwa tych aresztowanych, którzy od 21 do 28 lipca byli przetrzymywani w obozie tymczasowym w Gibach, ale uniknęli rozstrzelania i zostali zwolnieni z obozu lub skierowani do innych obozów.

Potajemnego rozstrzelania aresztowanych w trakcie oblawy i trzymanych w obozie tymczasowym w Gibach dokonano w ostatnich dniach lipca (ok. 28–31 lipca). Aresztowanych wywieziono z Gib oraz rozstrzelano w sekretnym miejscu (przypuszczalnie na terenie obwodu grodzieńskiego w okolicy wsi Kalety). ❀

Nikita Pietrow – rosyjski historyk i działacz na rzecz praw człowieka, pracownik Centrum Naukowo-Informacyjnego i Oświatowego „Memorial”  
Przekład z języka rosyjskiego: Łuka Żurawska (Summa Linguae)



Zeskanuj kod i dowiedz się więcej o Oblawie Augustowskiej





## „Jak was Hitler nie wykończył...”

Martyna Grądzka-Rejak

**Choć od pogromu kieleckiego minęło 70 lat, do dziś nie ma jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, dlaczego doszło do tej tragedii.**

**A**nalizując kontekst pogromu, historycy wymieniają dwie podstawowe przesłanki: inspirację sowieckich lub polskich służb bezpieczeństwa oraz panujące w mieście nastroje antysemickie. Należy jednoznacznie podkreślić, że nawet jeśli doszło do zewnętrznej inspiracji, to tłum mieszkańców aktywnie przyłączył się do pogromu.

### Żydzi w Kielcach

Przed wybuchem II wojny światowej w Kielcach mieszkało ok. 21 tys. Żydów, co stanowiło niemal 30 proc. ogółu mieszkańców miasta. 5 września 1939 roku Kielce zostały zajęte przez wojska niemieckie. 31 marca 1941 roku utworzono w mieście getto, znalazło się w nim według danych szacunkowych ok. 27 tys. Żydów. Byli to zarówno mieszkańcy Kielc, Żydzi z okolicznych miejscowości, jak i osoby przesiedlone tutaj z terenów wcielonych do

III Rzeszy. 20 sierpnia 1942 roku rozpoczęła się trwająca kilka dni akcja likwidacyjna getta. Część mieszkańców, głównie ludzie starsi, chorzy oraz dzieci, zginęła na jego terenie. Pozostałych, ok. 20 tys. osób, deportowano do niemieckiego obozu zagłady w Treblince. 24 sierpnia Niemcy zakończyli akcję likwidacyjną, a w dzielnicy pozostawiono ok. 2 tys. osób do wykonania prac porządkowych. Po ich przeprowadzeniu grupę przewieziono do niemieckich obozów m.in. w Starachowicach, Skarżysku-Kamiennej i Pionkach.

Historycy szacują, że wojnę przeżyło ok. 500 Żydów kieleckich. Część z nich przetrwała pobyt w niemieckich obozach, inni zaś w ukryciu po tzw. aryjskiej stronie, m.in. dzięki pomocy Polaków. Po zakończeniu wojny grupa Żydów przyjechała do Kielc. Byli to zarówno przedwojenni mieszkańcy miasta, jak i innych części Polski oraz repatrianci z ZSRR. Nie wszyscy jednak zdecydowali się pozostać w mieście. Historyk Bożena Szaynok wykazała, że 25 stycznia 1945 roku w Kielcach przebywało 79 Żydów, rok później – na początku stycznia 1946 roku – było ich 304, a do maja 1946 roku liczba ta zmniejszyła się i przebywało tam 163 Ży-

dów. Mieszkali głównie w budynku przy ul. Planty 7/9, gdzie mieściła się siedziba Komitetu Żydowskiego, kongregacji wyznaniowej oraz kibucu partii syjonistycznej Ichud. W budynku zatrzymywali się także Żydzi czasowo przebywający w Kielcach. W świetle dostępnych źródeł szacuje się, że w dniu pogromu znajdowało się tam ok. 200 osób (wliczając w to Żydów, którzy znaleźli się w mieście przejazdem). Jedynie kilka rodzin mieszkało w innych lokalizacjach. Wśród nich było małżeństwo Reginy i Abrama Fiszków z trzytygodniowym dzieckiem, mieszkające przy ul. Leonarda 15, oraz właściciel fabryki, inż. Izrael Rozenkranc z żoną.

### Terror, rabunki, morderstwa

Pogrom kielecki nie był wydarzeniem bezprecedensowym, choć pod względem skali rozruchów i liczby uczestników znacznie przewyższał inne zajścia antyżydowskie, do których dochodziło w Kielcach i województwie kieleckim po II wojnie światowej, a także w pozostałych częściach Polski. Warto zaznaczyć, że w kwietniu 1945 roku w województwie kieleckim w pięciu napadach zamordowano osiemnastu Żydów, a dwa miesiące później, w czerw-



Fot. WFDiF

► Pogrzeb ofiar pogromu kieleckiego na cmentarzu żydowskim, 8 lipca 1946 roku

cu 1945 roku, śmierć poniosło trzynaście osób pochodzenia żydowskiego. W sierpniu 1945 roku wojewoda kielecki Eugeniusz Iwańczyk-Wiślicz w dokumentacji urzędowej odniósł się do sytuacji Żydów: „Terror, rabunki i morderstwa dokonywane na ludności żydowskiej nabierają zaskakujących rozmiarów – a władze bezpieczeństwa zachowują się w większości przypadków obojętnie”. W październiku 1945 roku budynek przy ul. Planty 7/9 został obrzucony granatami. Eksplozje raniły przebywające w nim osoby, obyło się bez ofiar śmiertelnych. Marceli Srokowski, kierownik I Wydziału Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Kielcach, w piśmie do wojewody kieleckiego odnosił się do przyczyn tychże zachowań. Jego zdaniem: „Nieprzychylny stosunek do Żydów ma swoje źródło w propagandzie i działalności hitlerowskiej podczas okupacji [...]. Nieprzychylność ta i stosunek negatywny wyraża się w utyskiwaniu i podkreślaniu faktów zajmowania przez Żydów wysokich stanowisk w administracji państwowej [...], pogłoski o rzekomych olbrzymich subsydiach, z których korzystają Żydzi ze strony państwa”. Część z tych napaści miała podłoże ekonomiczne, miejscowa ludność nie chciała zwracać mienia przejętego po deportacji Żydów w okresie okupacji. Na-

dal w społeczeństwie pokutowały dawne uprzedzenia wobec Żydów, uważanych za morderców Chrystusa, a także oskarżenia o tzw. mord rytualny.

Jednym z istotnych motywów antysemitycznych zachowań był, zdaniem mieszkańców Kielc, duży udział Żydów w strukturach Urzędu Bezpieczeństwa. W przypadku tego miasta, na eksponowanym stanowisku znalazł się np. Albert Grynbaum – zastępca szefa Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP). Historycy zgadzają się, że w skali całego kraju w aparacie bezpieczeństwa funkcjonariusze pochodzenia żydowskiego byli nadreprezentowani. Jednak w przypadku Kielc brak potwierdzenia tego stanu.

### Żądni krwi

Bezpośrednią przyczyną pogromu było zaginięcie ośmioletniego Henryka, syna Walentego Błaszczyka – szewca z Kielc. 1 lipca Henryk opuścił dom rodzinny i, nie poinformowawszy rodziców, udał się do znajomych, rodziny Bartosińskich, mieszkających we wsi Pielaki, ok. 25 km od Kielc. Rodzina Błaszczyków przebywała tam w trakcie okupacji. Do dziś nie ma jednoznacznej odpowiedzi, w jaki sposób kilkuletni chłopiec samodzielnie dotarł do tej wsi. Walenty, zaniepokojony prze-

dłużającą się nieobecnością syna, przed północą zgłosił jego zaginięcie na komisariacie MO przy ul. Sienkiewicza 45, znajdującym się ok. 200 m od budynku przy ul. Planty 7/9. Przystąpiono do poszukiwania chłopca i kontynuowano je przez następne dwa dni. Funkcjonariusze zawiadomili kolejne posterunki, rozwieszono ogłoszenia, a z prośbą o pomoc w rozpowszechnianiu informacji zwrócono się także do księży.

3 lipca wieczorem Henryk Błaszczyk wrócił do domu, gdzie prócz rodziny czekali na niego także znajomi i sąsiedzi. Po chwili radości z jego powrotu przystąpiono do wypytywania o okoliczności jego zaginięcia. Henryk opowiedział, że nieznanemu mężczyźnie ofiarował mu 20 zł w zamian za dostarczenie paczki pod wskazany adres. Chłopiec zgodził się, a drogę wskazał mu wspomniany mężczyzna. Kiedy dostarczył paczkę na miejsce, został rzekomo zatrzymany i uwięziony w piwnicy. Razem z nim przebywało tam jeszcze kilkoro innych dzieci. Pytano Henryka, czy ludzie, którzy go porwali, byli Cyganami lub Żydami. Błaszczyk stwierdził, że porozumiewali się w obcym języku, dlatego jego zdaniem byli to Żydzi. Henryk zbiegł dzięki pomocy chłopca, który przez okienko w piwnicy podał mu krzesło. Jeszcze 3 lipca w nocy Walenty Błaszczyk zgłosił na komisariacie MO, że jego syn się odnalazł. Zasugerował też, że chłopiec był przetrzymywany przez Żydów.

Następnego dnia rano Błaszczykowie udali się na posterunek MO, by złożyć zeznanie. W drodze Henryk wskazał na dom przy ul. Planty 7/9 i stwierdził, że tam właśnie był przetrzymywany, choć budynek nie był podpiwniczony. Wskazał także na stojącego przed domem Żyda, Kalmana Singera, jako na inicjatora i sprawcę uwięzienia. Milicjanci przyjęli wersję Henryka za prawdziwą i aresztowali Singera. Wiadomość o porwaniu chłopca i aresztowaniu członka społeczności żydowskiej szybko rozprzestrzeniła się w mieście. Podobnie jak pogłoski o innych uwięzionych dzieciach i ich mordowaniu przez Żydów. Miały one tym większą siłę rażenia, że już od czerwca 1946 roku na lokalnych tabli-

cach ogłoszeń pojawiały się informacje o zaginięciu dzieci. Opowieści, że Żydzi potrzebują krwi dzieci chrześcijańskich, by wzmocnić się i nabrać sił po tragicznych doświadczeniach II wojny światowej, były powtarzane także w innych miejscach w Polsce, głównie w jej wschodniej części. Przyczyniły się one m.in. do wybuchu pogromu w Krakowie w sierpniu 1945 roku.

### Major bez inicjatywy

4 lipca 1946 roku, od rana, mieszkańcy Kielc zaczęli się gromadzić nieopodal budynku przy ul. Planty 7/9. Funkcjonariusze MO, którzy udali się tam z Błaszczykami, po drodze informowali przebywające przed domem grupy, że idą na poszukiwania pomordowanych polskich dzieci. Tłum początkowo zachowywał się biernie, jednak z czasem atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Na komendzie MO trwały rozmowy telefoniczne z funkcjonariuszami WUBP oraz radzieckim doradcą kieleckiego UB, płk. Szpilewojem. Konsultowano, co należy zrobić wobec zaistniałych wydarzeń. Do rozpędzenia tłumu i zapewnienia ochrony ludności przebywającej w budynku przy ul. Planty 7/9 posłano milicjantów, a następnie także wojsko. Nie wydano im jednak precyzyjnych instrukcji, dlatego mundurowi nie przystąpili do rozgania gromadzących się osób, lecz zaczęli dokonywać rewizji w budynku. Nakazali też Żydom oddać broń. Wkrótce przed domem pojawił się szef WUBP w Kielcach, mjr Władysław Sobczyński, ale on także nie wydał żadnych rozkazów zmierzających do uspokojenia zebranych tam ludzi. Warto przytoczyć fragment raportu naczelnika Wydziału Personalnego WUBP, kpt. Mieczysława Kwaśniewskiego, z 8 lipca 1946 roku: „Nareszcie o godz. 11.00 wyjechał [Sobczyński] na miejsce zajścia. Ja w tym samym czasie z grupą instruktorów sowieckich też wyszedłem na ulicę i mogłem zaobserwować, czym się zajmował szef po przyjeździe na róg ul. Planty i Sienkiewicza. Do miejsca zajścia, tj. do Komitetu Żydowskiego, nie zdecydował się dojechać, tylko stanął około 150 m z daleka, wyszedł z samochodu i zgubił się w tłumie [...]. Po dziesięciu czy piętnastu minutach wi-

działem, jak wrócił na miejsce, gdzie miał samochód, samochodu już nie było, zdenerwowany machnął ręką i poszedł, jakby nic nie było, z powrotem do urzędu. [...] Chciałem podkreślić, że w dniu zajść szef WUBP mjr Sobczyński nie wykazał żadnej inicjatywy, żadnej energii i w ogóle nie brał żadnego udziału i nawet nie próbował zapobiec temu, co się stało, choć w jego kompetencji było, by móc nie dopuścić do żadnych najmniejszych wystąpień”. Przed południem pod budynek przyjechali także funkcjonariusze straży pożarnej. Ich interwencja nie przyniosła jednak rezultatów. W większości bierne lub nieudolne zachowanie lokalnych władz MO, WUBP oraz wojska może skłaniać do przypuszczeń, że pogrom był wydarzeniem inspirowanym przez służby specjalne. Jednakże żaden z badających sprawę historyków nie dotarł do dokumentów jednoznacznie potwierdzających tę tezę.

### „Precz z pacholkami żydowskimi”

Można wskazać dwie fazy pogromu kieleckiego. Wejście funkcjonariuszy MO i żołnierzy do domu przy ul. Planty 7/9 zapoczątkowało pierwszą fazę działań pogromowych. Pierwsze strzały oddali żołnierze przebywających wewnątrz budynku, następnie ostrzelano budynek z zewnątrz. Jan Rokicki, funkcjonariusz PUBP w Kielcach, zeznawał: „Przybyła

dość duża grupa żołnierzy polskich, którzy na rozkaz mjr. komendanta garnizonu w Kielcach [mjr. Markiewicza] okrążyli dom [...] kilkunastu weszło do wewnątrz celem przeprowadzenia rewizji domowej [...]. Mjr (komendant garnizonu) wydał rozkaz strzelania do góry na postrach, żołnierze zamiast strzelać do góry [...] poczęli strzelać do Żydów”.

W tym samym czasie ludzie zgromadzeni na placu zaczęli obrzucać dom kamieniami i wznosić okrzyki: „Puść nas do środka, to my się z nimi załatwimy”; „Precz z pacholkami żydowskimi”; „Precz z ruskim bezpieczeństwem, które ochrania Żydów”; „Zabijaj ich wszystkich, bo łapią polskie dzieci i okrutnie męczą”; „Jak was Hitler nie wykończył, to my was wykończymy”. Tłum wokół budynku gęstniał i stawał się coraz bardziej agresywny. Przystąpiono do bicia i rabowania przebywających w domu przy ul. Planty 7/9, a także tych, którzy starali się z niego uciec. Śmierć poniosły pierwsze ofiary pogromu. Jak wynika z analiz materiałów archiwalnych przeprowadzonych przez historyków, uczestniczyli w tym również milicjanci i żołnierze. Berek Fajtel, ciężko pobity podczas pogromu, zeznał: „Zaczęli nas wypędzać [wojsko i milicja] z poszczególnych górnych mieszkań na korytarz drugiego piętra [...]. Rozkazali, [...] aby zejść na korytarz pierwszego piętra i wejść do pokoju Komitetu Żydowskiego. Gdy weszliśmy do tego pokoju z podwórza, ▶

▶ Prezydent Andrzej Duda (w środku), naczelny rabin Polski Michael Schudrich (z lewej) i przewodnicząca Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie Anna Chipczyńska na cmentarzu żydowskim w dzielnicy Pakosz; Kielce, 4 lipca 2016 roku



Fot. PAP/Piotr Polak

zaczęli strzelać z automatów, a my leżeliśmy na podłodze. Wejście do tych pokoi zabarykadowaliśmy. Wtem słyszymy »Otwierać, Korpus Wewnętrzny«, otworzyliśmy, wtem znów »Mężczyźni, wychodzić, ręce do góry«, więc wyszliśmy. W korytarzu i na klatce schodowej stało wojsko i cywile, rewidując i wszystko zabierając. Mnie wypchnęli na dół na podwórze, gdzie doskoczył cywil z kamieniem w rękę i chciał mnie wciągnąć w tłum, ja opierałem się, wojsko wtedy zaczęło mnie bić kolbami, aż upadłem na ziemię. Leżąc na ziemi, kopali mnie, mówiąc między sobą »Zarznąć, zastrzelić, dobić go«. Leżałem tak, aż zawieźli mnie do szpitala».

Do agresywnego zachowania wobec Żydów dochodziło także w innych częściach miasta. Szczególnie dramatyczne były wydarzenia przy dworcu PKP, gdzie z pociągów wyciągano ludzi podejrzanych o żydowskie pochodzenie. Zamordowano tam kilka osób. Na dworcu i w mieście zatrzymywano osoby o wyglądzie semickim, rewidowano je, bito i zastraszano. W wielu relacjach można znaleźć informacje o dużym okrucieństwie, z jakim dokonywano mordów. Do centrum wydarzeń nie dopuszczono przedstawicieli administracji (prokuratora Jana Wrzeszcza) ani Kościoła (ks. Jana Danielewicza i ks. Romana Zelka), którzy chcieli apelować do tłumu o zachowanie spokoju i odstąpienie od agresywnych działań.

Około południa wojsku udało się odepchnąć tłum od budynku, nie rozpędzono go jednak. Akcja pogromowa została chwilowo zatrzymana. Sytuacja zmieniła się, gdy na miejscu pojawili się robotnicy z Huty „Ludwików”, podburzeni najprawdopodobniej przez zatrudnionego tam Andrzeja Błaszczyka, brata Henryka. Przerwali kordon i wtargnęli na plac oraz do budynku przy ul. Planty. Rozpoczął się drugi etap pogromu, w którym według szacunków historyków śmierć poniosło piętnastu, dwudziestu Żydów. Po południu zaatakowano także mieszkającą przy ul. Leonarda 15 rodzinę Fiszków. Milicjant Stefan Mazur nakazał przebywającym tam Ab-

rahamowi Moszkowiczowi i Reginie Fiszk wraz z trzytygodniowym dzieckiem zabrać potrzebne rzeczy i opuścić dom. By oddzielić ich od atakującego tłumu, wywiózł ich ciężarówką w stronę Cedzyny. W pobliskim lesie dokonał egzekucji na kobiecie i jej dziecku, Moszkowicz zdołał zbiec.

Około 14.00 ponownie przystąpiono do rozpędzania agresywnego tłumu. Dwie godziny później do Kielc przybyły jednostki wojskowe z Warszawy, by wspomóc w interwencji. Do 17.00 działania pogromowe zostały wygaszone, ściągnięto z miasta posterunki milicyjne, a rannych i zabitych Żydów przewieziono do szpitala św. Aleksandra, na stadion i do budynku UB. Agresywny tłum zgromadził się przed szpitalem, nie doszło jednak do szturmów. Wieczorem władze zarządziły godzinę milicyjną, przystąpiły także do aresztowania najaktywniejszych uczestników pogromu.

### Winni pogromu

W pogromie kieleckim śmierć poniosły 42 osoby (w tym trzy niebędące Żydami), a ok. 35 osób odniosło obrażenia różnego stopnia (najczęściej w wyniku pobicia np. kamieniami, kijami lub metalowymi prętami). Wśród ofiar były dwie ciężarne kobiety. 9 osób zmarło wskutek ran postrzałowych, 2 osoby od ciosów zadanych bagnetem, a ponad 25 osób zginęło od doznanych obrażeń głowy. Według danych Centralnego Komitetu Żydów w Polsce, tego samego dnia w tzw. akcjach pociagowych w okolicach miasta (na liniach kolejowych w kierunku Wrocławia, Radomia i Częstochowy) zamordowano ponadto do 30 Żydów. Akcje te wskazują na rolę spontanicznych odruchów antysemitycznych i trudno w tym przypadku nawet spekulować o czyjejkolwiek prowokacji. 8 lip-

ca 1946 roku, na cmentarzu żydowskim w Kielcach, odbył się zbiorowy pogrzeb ofiar pogromu. Uroczystości przewodniczył naczelny rabin Wojska Polskiego – Dawid Kahane.

W niedługim czasie władze przystąpiły do organizowania procesów karnych najaktywniejszych uczestników pogromu. Brak odpowiedniego zabezpieczenia dowodów i kłopoty z określeniem realnej liczby agresorów rzutowały na przebieg śledztwa. Odbyło się dziesięć procesów, w których za popełnione czyny odpowiadało niespełna 40 osób: cywili, wojskowych, milicjantów oraz funkcjonariuszy UB. W pierwszym procesie, który rozpoczął się 9 lipca 1946 roku, a wyrok wydano 11 lipca, 9 osób skazano na karę śmierci (karę wykonano dzień po ogłoszeniu wyroku), 3 zaś na dożywocie.

Pogrom kielecki nie został oficjalnie potępiony przez ówczesne władze komunistyczne. Winą za zajścia obarczono podziemie niepodległościowe (jako głównego inspiratora wskazując... gen. Władysława Andersa) oraz rząd emigracyjny. Pogrom został wykorzystany do zintensyfikowania kampanii propagandowej przeciwko wszelkiej opozycji wobec władzy komunistycznej. Również hierarchowie kościelni nie dokonali jednoznacznej oceny pogromu ani nie potępił stereotypu o tzw. mordzie rytualnym (wyjątkiem był biskup częstochowski Teodor Kubina). Wydarzenia z 4 lipca 1946 roku przyczyniły się do zwiększenia emigracji Żydów z Polski. Istotnie wpłynęły też na obraz relacji polsko-żydowskich poza granicami kraju i umocnienie stereotypu o antysemityzmie w polskim społeczeństwie. ❀

dr Martyna Grądzka-Rejak – historyk,  
pracownik Biura Badań Historycznych IPN



# Szwedzki raj

Magdalena Wnuk



**Indywidualne, komfortowe mieszkanie socjalne, pełna lodówka, lekcje języka i cały wachlarz szwedzkiej pomocy bytowej – na to mogli liczyć Polacy, którzy szukali w Szwecji schronienia w okresie stanu wojennego.**

**W**prowadzenie stanu wojennego to punkt zwrotny w historii polskiej emigracji do Szwecji. Polacy, którzy 13 grudnia 1981 roku przebywali po północnej stronie Bałtyku, otrzymali od szwedzkiego rządu prawo azylu. Ta decyzja trwale powiększyła raczej nieliczną grupę polskich mieszkańców tego kraju. Pomoc rządu szwedzkiego nie była precedensem. W 1944 roku w wyniku akcji „białych autobusów” hrabiego Folkego Bernadotte Szwecja przyjęła kilkanaście tysięcy

► Bohaterowie *300 mil do nieba* uciekają do Danii, jednak pierwowzorem scenariusza była historia braci Adama i Krzysztofa Zielińskich, którzy w 1985 roku znaleźli schronienie w Szwecji; na zdjęciu (od lewej) Andrzej Mellin, Wojciech Klata i Rafał Zimowski

więźniów obozów niemieckich, w tym 3,5 tys. Polaków, głównie kobiet. W 1968 roku stała się miejscem migracji obywateli polskich żydowskiego pochodzenia, zmuszonych do wyjazdu w wyniku antysemickiej kampanii prowadzonej przez władze PRL.

## Truskawki, zmywak i ryby

– Podobała mi się ta Skandynawia z map, szczególnie w atlasach gospodarczych. Tam wszędzie są pola, wielkie przestrzenie, mnóstwo wody, mnóstwo jezior. Z tego, co czytałem, wyglądało, że wtedy, w latach siedemdziesiątych, Skandynawia była na topie, szczególnie Szwecja wtedy była w pierwszej trójce na świecie, jeśli chodzi o zamożność, system socjalny itd. Ale wiadomo, to było takie czyste marzenie – wspomina jeden z polskich emigrantów, pięćdziesięcioletni dzisiaj tłumacz. Jego fascynacja regio-

nem zawiadła go na skandynawistykę w Gdańsku. Nie zdołał jej ukończyć, bo w Szwecji zastał go stan wojenny i postanowił tam pozostać. To skandynawskie marzenie stało się rzeczywistością dla kilkuset tysięcy Polaków, którzy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych skorzystali z możliwości wyjazdu do Szwecji.

Popularność tego kierunku migracji, przeważnie zarobkowych, wzrosła za sprawą względnie otwartej polityki Edwarda Gierka. Po 1970 roku biura paszportowe coraz częściej wydawały nie tylko paszporty do państw socjalistycznych, lecz także pozwolenia na wyjazd do krajów kapitalistycznych. Nie wszystkie państwa zachodnie były traktowane jednakowo. Panujący w Szwecji system socjalny i zasada neutralności stosowana przez ten kraj w polityce zagranicznej sprzyjały dobrym relacjom ►

z blokiem komunistycznym. Na początku lat siedemdziesiątych PRL podpisała umowy o ułatwieniach w ruchu granicznym z NRD, Austrią, Czechosłowacją i Finlandią, a w 1974 roku także umowę o ruchu bezwizowym z rządem Szwecji. Umowa obowiązywała do grudnia 1981 roku. W tym kilkuletnim okresie do Szwecji wyjeżdżało od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy Polaków rocznie.

Mieszkańcy kraju nad Wisłą upodabali sobie Szwecję jako miejsce letnich prac sezonowych. Jeździli na północ zbierać truskawki, zatrudniali się w gastronomii, na budowach czy przy połowach ryb. Zarobki były wielokrotnie wyższe niż w PRL, co dawało ogromne możliwości podniesienia standardu życia. Szczególnie kusilo to młodych ludzi: – Studenci mieli ten przywilej, że dużo łatwiej było dostać paszport na wakacje i na takie wyjazdy. Kolega zarobił razem trzy tysiące dolarów, może więcej. On za to kupił działkę i postawił dom. Przebitka była ogromna – wspomina jeden z migrantów, który również w czasie studiów jeździł do Szwecji zbierać truskawki, a później znalazł tam pracę jako informatyk. Zakup małego fiata, opłacenie kosztów życia w czasie studiów czy możliwość utrzymania rodziny – dzięki dwóm, trzem miesiącom pracy w Szwecji nie stanowiło to problemu.

### Szwedzcy „stanowojenni”

W 1981 roku z Polski wyjechało wiele tysięcy osób, często z bardzo mglistym pojęciem, co je czeka za granicą. Według obliczeń historyka Dariusza Stoli, poza granicami Polski w momencie wprowadzenia stanu wojennego przebywało 150 tys. obywateli polskich, z których większość nie miała tam uregulowanego statusu. Państwa zachodnie, w tym także Szwecja, solidarnie umożliwiły tym osobom legalizację pobytu na mocy międzynarodowych przepisów o ochronie uchodźców.

– Za tego Peerełu wszyscy chcieli wyjechać z tej Polski. Ja wyjechałem dwa tygodnie przed stanem wojennym, to był czysty przypadek. Nikt nie wiedział, że będzie stan wojenny, akurat – szczęście, nieszczęście – wspomina mieszkający od 1981 roku w Sztokholmie sześćdziesię-

ciolatek. – Ja niechcący pojechałem do Szwecji 10 grudnia, zupełnie przypadkowo. Taki los. No i pojawiła się możliwość pozostania, więc zostałem tam – dodaje wspomniany wyżej tłumacz (dziś z powrotem w Polsce), którego stan wojenny zastał na studenckim wyjeździe w Szwecji. 13 grudnia w podobnej sytuacji znalazło się kilka tysięcy polskich obywateli, przebywających w tym kraju głównie w celach zarobkowych lub turystycznych.

„Stanowojenni” to szczególna grupa emigrantów – choć wielu nie planowało stałej emigracji, zostali do niej niejako nakłonieni przez okoliczności. Szwecja zaoferowała im azyl, z którym wiązały się także liczne przywileje. Przede wszystkim otrzymywali prawo pobytu, które z kolei dawało im możliwość ubiegania się o mieszkanie socjalne. Jeden z emigrantów wspomina, że przez dwa i pół roku czekał na przyjazd żony i dzieci. Urząd przez cały ten okres interesował się jego sytuacją mieszkaniową i co jakiś czas oferował mu jakieś lokale. Ostatecznie po przyjeździe rodziny

otrzymał czteropokojowe mieszkanie w dobrej dzielnicy Sztokholmu.

Jedną z największych trudności, jaką musieli pokonać azylanci, było ściąganie do Szwecji najbliższych. Osoby, które skorzystały z prawa azylu, łamały prawo PRL z powodu odmowy powrotu do kraju. Władze wykorzystywały ich szczególną sytuację i przez długie okresy uniemożliwiała wyjazd ich rodzinom. Oczekiwanie na przyjazd najbliższych często przeciągało się do dwóch, a nawet trzech lat. Niektórzy azylanci organizowali głodówki i inne akcje protestacyjne pod polską ambasadą w Sztokholmie. Niestety, niejednokrotnie rodziny otrzymywały paszporty dopiero po zawieszeniu stanu wojennego.

Niektórzy emigranci, choć wcześniej nie byli opozycjonistami, angażowali się w działalność polskich organizacji niepodległościowych w Szwecji. Najważniejszą inicjatywą był Kongres Polaków w Szwecji, inaugurowany po 13 grudnia. Działacze kongresu współpracowali ze starszymi podmiotami skupionymi



mi wokół Ośrodka Polskich Organizacji Niepodległościowych w Sztokholmie. Prowadzili akcje protestacyjne pod ambasadą PRL, a także zbiórki dla potrzebujących rodaków pozostałych w ojczyźnie. Kongres podejmował także działania polityczne i lobbował w szwedzkim rządzie w sprawie zwiększenia liczby przyjmowanych uchodźców. „Biuletyn Solidarności”, wydawany w Sztokholmie w 1982 roku, zamieścił w jednym z numerów informację, że działaczom udało się namówić szwedzkie władze na przyjęcie sześciuset polskich uchodźców z obozu w Austrii.

### Oxelösund, czyli ośrodek przejściowy po szwedzku

Część „stanowojennych”, którzy nie mieli miejsca zamieszkania, i przede wszystkim napływający do Szwecji uciekinierzy stanu wojennego, przeważnie działacze różnych struktur Solidarności, mogli liczyć na zakwaterowanie w ośrodku dla uchodźców. Mieszkania dla azylantów znajdowały

się w kilku miejscowościach, ale największy i najbardziej znany ośrodek mieścił się w Oxelösund, ok. 120 km od Sztokholmu. W niczym nie przypominał baraków czy koszar, które pełniły funkcję obozów przejściowych we Włoszech albo w Austrii. Było to niewielkie osiedle bloków, w których każdy uchodźca otrzymywał osobne mieszkanie. Była emigrantka Jolanta Szutkiewicz, żona działacza szczecińskiej Solidarności, tak je opisuje w swoich wspomnieniach wydanych w 2010 roku: „W tym nieznanym mieście czekało na nas mieszkanie – trzypokojowe, kompletnie urządzone i wyposażone (oczywiście na zasadzie hotelu): w pokoju dziennym telewizor i radio, w łazience przybory toaletowe, w sypialniach świeża, kolorowa pościel, w kuchni, w lodówce i zamrażarce produkty żywnościowe”. Jeden z moich rozmówców z kolei zapamiętał, że na miejscu zastał nawet szczoteczkę do zębów. Oprócz tego azylanci mogli liczyć na przyzwoitą dietę, pozwalającą na zakup żywności i najpotrzebniejszych

rzeczy. W ramach programu integracyjnego uczestniczyli w obowiązkowych lekcjach szwedzkiego.

Nauka języka i możliwość podjęcia pracy wielu uciekinierom ułatwiły wejście w społeczeństwo szwedzkie. Jolanta Szutkiewicz (z wykształcenia polonistka) skorzystała z tych możliwości i ukończyła studia tłumaczeniowe, pozwalające jej na kontynuowanie zainteresowań językowych.

Nie wszyscy decydowali się na pozostanie w Szwecji. Podobnie jak w przypadku polskich azylantów w Austrii czy Włoszech, część skorzystała z programów imigracyjnych za ocean. Największe szanse na uzyskanie azylu w Szwecji mieli emigranci „stanowojenni” i uchodźcy polityczni w pierwszych latach ostatniej dekady PRL, w sporadycznych przypadkach zdarzało się to także później. Najgłośniejsza sprawa dotyczyła braci Adama i Krzysztofa Zielińskich, którzy w 1985 roku przedostali się do Szwecji, ukrywając się na półce pod podwoziem ciężarówki. Choć nieletni, zostali objęci ochroną rządu szwedzkiego, kiedy władze PRL zagroziły, że odbiorą prawa rodzicielskie pozostałym w kraju rodzicom chłopców. Obaj pozostali w Szwecji, gdzie skończyli szkoły i podjęli pracę. Ich historia została zekranizowana w filmie Macieja Dejczerza *300 mil do nieba*. W filmie chłopcy przedostają się do Danii, niemniej realia wydarzeń, szczegóły ucieczki, warunki w ośrodku i procedury azylowe zostały wiernie oddane i dają wyobrażenie o przeżyciach ówczesnych uciekinierów.

Atrakcyjny rynek pracy, ułatwienia wizowe i pobytowe w latach osiemdziesiątych, a także rozbudowana opieka socjalna zachęciły niektórych do osiedlenia się w Szwecji na stałe. Na zatrudnienie mogli liczyć inżynierowie, lekarze, pielęgniarki czy informatycy, ale także robotnicy, sprzątaczkę czy opiekunki osób starszych. W latach osiemdziesiątych w sumie osiedliło się w Szwecji 17 tys. Polaków, w tym ponad 6 tys. w okresie stanu wojennego. 🇸🇵

Magdalena Wnuk – antropolog kultury, etnograf, doktorantka w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk



► Wyladunek darów Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, Warszawa, 1982 rok



Fot. z archiwum oo. franciszkanów w Niepokalanowie

# Zakonnik, redaktor, męczennik

Małgorzata Żuławnik

**Podczas apelu 29 lipca 1941 roku zastępca komendanta obozu Karl Fritzsch wytypował dziesięciu więźniów, którzy mieli zginąć śmiercią głodową. Była to kara – a zarazem przestroga dla innych – za ucieczkę jednego z osadzonych w KL Auschwitz. Wśród skazańców znalazł się jeden ochotnik. W obozie figurował jako numer 16670. Nazywał się Maksymilian Maria Kolbe.**

**W** obozie przebywał za ledwie od dwóch miesięcy. Mimo to zdążył zaznaczyć swoją obecność. O franciszkaninie opowiadał współwięźniowie, którym dane było przeżyć wojnę. Ksiądz Konrad Szweda mówił o jego niezłomnej postawie, wsparciu, którego udzielał współwięź-

niom, a także o posłudze kapłańskiej, którą pełnił wbrew zakazom i szykanom – głosił nauki, spowiadał, błogosławił. Kazimierz Piechowski, słynny uciekinier z Auschwitz, przebywał w bloku, do którego trafił o. Maksymilian. Wspominał, że franciszkanin dodał mu otuchy już przy pierwszym zdawkowym spotkaniu. Zachęcał, by nie tracić nadziei.

► Ojciec Maksymilian Maria Kolbe z uczniami niższego seminarium duchownego

Z wielu relacji świadków, m.in. Piechowskiego, znamy też przebieg apelu, podczas którego o. Kolbe złożył swoje życie na ofiarę.

Apel w bloku 14 został zwołany po ucieczce jednego z więźniów. Władze obozu zastosowały odpowiedzialność zbiorową, jak zwykle w przypadku udanej ucieczki. Po długim oczekiwaniu więźniowie dowiedzieli się, że dziesięciu z nich poniesie śmierć głodową w odwecie za uciekiniera. Esesmani, m.in. zastępca komendanta obozu Rudolfa Hößa, Karl Fritzsch, oraz Gerhard Palitzsch rozpoczęli typowanie. Jeden z wybranych więźniów, niespełna czterdziestoletni żołnierz, Franciszek Gajowniczek, zaczął błagać o litość. Krzyczał, żeby go nie zabijać, że ma żonę



i dzieci. Wtedy z szeregu samowolnie wystąpił inny więzień. Cichym, ale stanowczym głosem zaproponował, żeby Fritzsch wziął jego zamiast Gajowniczką. Ten gest wywołał chwilową konsternację nawet u komendanta słynącego z okrucieństwa. Propozycja złożona przez o. Maksymiliana została przyjęta. Ta scena, przedstawiana wielokrotnie na obrazach, rycinach, ekranach kinowym i telewizyjnym, opowiadana we wspomnieniach, powieściach, sztukach teatralnych i książkach historycznych jako przykład heroizmu jednostki w obliczu totalitaryzmu, weszła na trwałe do polskiej kultury.

Skazani trafili do bloku 11, w którym mieściło się obozowe więzienie. W bunkrze głodowym, mimo skrajnego wycieńczenia oraz choroby płuc, Kolbe przetrwał ponad dwa tygodnie. We wspomnieniach współwięźniów pojawia się motyw dochodzących z celi modlitw i śpiewanych godzinek. Ojciec Maksymilian Kolbe zmarł 14 sierpnia 1941 roku, dobity zastrzykiem z fenolu. Ciało skremowano następnego dnia.

Pierwsza wiadomość o jego męczeńskiej śmierci wyszła z obozu dzięki o. Ludwikowi Piusowi Bartosikowi, aresztowanemu wraz z nim redaktorowi „Rycerza Niepokalanej”, obecnie błogosławionemu. Przesłał on do Niepokalanowa list, w którym napisał: „Wielkie wrażenie zrobiła na mnie śmierć o. Maksymiliana”. Oficjalne zawiadomienie władze obozowe przesłały do klasztoru dopiero w styczniu 1942 roku. Tymczasem opowieść o bohaterkiej postawie o. Maksymiliana krążyła wśród więźniów. Wraz z częścią z nich trafiła także do obozu w Dachau. W 1943 roku wśród żołnierzy polskich w Jerozolimie oraz w Padwie pojawiły się ulotki z biografią męczennika oraz modlitwą o beatyfikację. Szerzej jednak wiadomość rozeszła się po wyzwoleniu obozów Auschwitz i Dachau. Już w pierwszym powojennym numerze „Rycerza Niepokalanej” z lipca 1945 roku ukazała się niekompletna jeszcze informacja o okolicznościach śmierci o. Maksymiliana. Po tej publikacji zaczęli zgłaszać się kolejni świadkowie, a wśród nich uratowany Franciszek Gajowniczek. Przez całe życie był silnie

związany z klasztorem w Niepokalanowie. Po śmierci w 1995 roku został jako jeden z dwóch świeckich (obok donatora klasztoru, księcia Jana Druckiego-Lubeckiego) pochowany na miejscowym cmentarzu zakonnym. W pierwszych latach po wojnie ukazały się też literackie opowieści o życiu i śmierci o. Maksymiliana, m.in. pióra Gustawa Morcinka i Jana Dobraczyńskiego.

### Dwie korony

Rajmund, bo takie imię dostał na chrzcie późniejszy ojciec Maksymilian, urodził się 8 stycznia 1894 roku w podłódzkiej Zduńskiej Woli. Jego ojciec był pocho-



Fot. Maciej Fokas

▶ Cella śmierci o. Maksymiliana w obozie Auschwitz

dzenia niemieckiego, matka była Polką. Był drugim z pięciu braci. Po kilku latach Kolbowie przenieśli się do Pabianic. Wszyscy biografowie podkreślają niezwykłą pobożność rodziny. Niewątpliwie środowisko, w którym się wychowywał Rajmund, nie pozostało bez wpływu na wybór jego drogi życiowej. Jego matka opisała już po jego śmierci, w liście skierowanym do franciszkanów, objawienie maryjne, jakie przeżył w dzieciństwie. Podczas modlitwy po komunii św. ukazała mu się Matka Boża. Pokazała mu dwie korony – białą i czerwoną. Miały symbolizować wybór drogi życiowej: biała – czystość (drogę duchowną), a czerwona – śmierć męczeńską. Młody chłopiec

miał wybrać... obie. Motyw dwu koron stał się jednym z symboli Maksymiliana Kolbego. Po jego męczeńskiej śmierci został utrwalony na wielu wyobrażeniach. Znalazł się też w herbie gminy Teresin, w której położony jest Niepokalanów.

Przełomowym momentem w życiu Rajmunda było uczestnictwo w naukach misyjnych głoszonych w 1907 roku w Pabianicach przez franciszkanów przybyłych aż ze Lwowa. Wraz z bratem postanowił do nich dołączyć. Nie było to łatwe, gdyż Lwów znajdował się wówczas na terenie Galicji, należącej do Austro-Węgier. W podróż wyruszyli z ojcem, który jako jedyny miał paszport. Nie do końca wiemy, jak chłopcy pokonali kordon. Najprawdopodobniej nielegalnie – korzystając z pomocy miejscowego wieśniaka, który przewiózł ich przez zieloną granicę do umówionego miejsca, gdzie czekał na nich ojciec. Obaj podjęli naukę w Małym Seminarium, a następnie wstąpili do zakonu franciszkanów konwentalnych. Rajmund przyjął imię zakonne Maksymilian. Nie był to wybór przypadkowy. Pochodzące od łacińskiego słowa *maximus* (największy) imię niezwykle trafnie oddawało jego ambitny charakter i determinację w osiąganiu postawionych celów. W połączeniu z określeniem franciszkanów jako „braci mniejszych” (łac. *minores*) pokazywało jego bogatą osobowość.

Wkrótce Maksymilian wraz z kilkoma braćmi został skierowany na studia do Rzymu, skąd wrócił z dwoma doktoratami. Na legendarnym Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim, gdzie wówczas studiowało wielu Polaków, ukończył filozofię, a na nowo powołanej franciszkańskiej uczelni Seraphicum – teologię. W Wiecznym Mieście spędził lata I wojny światowej. Tam też 28 kwietnia 1918 roku przyjął święcenia kapłańskie.

### Rycerz Niepokalanej

Podczas pobytu w Rzymie rozpoczął także jedno z dzieł swego życia – w 1917 roku wraz z kilkoma współbraćmi założył Rycerstwo Niepokalanej (łac. *Militia Immaculatae*, w skrócie MI) – z założenia masową, docelowo mającą skupiać wiernych z całego świata, organizację misyj-

na. W pierwszym projekcie statutu sformułował cel: „Starać się o nawrócenie grzeszników, heretyków, schizmatyków itd., a najbardziej masonów, i o poświęcenie wszystkich pod opieką i za pośrednictwem NMP Niepokalanej”. Impulsem do powołania stowarzyszenia były widoczna w Rzymie ateizacja i jawna działalność masonerii. Stowarzyszenie o charakterze międzynarodowym i misyjnym istnieje do dziś i skupia osoby pragnące krzewić kult maryjny. Początkowo zrzeszało jedynie duchownych, ale od 1920 roku w jego szeregach mogły wstępować także świeccy. Ojciec Maksymilian często podkreślał, że „Milicja nie jest jakąś organizacją, ale ruchem, który ma pociągnąć masy, wyrывая je szatanowi”. Założyciel ustanowił trzy formy przynależności: od podstawowej, niezorganizowanej, polegającej na zaangażowaniu modlitewnym (określanej symbolem MI-1), przez zorganizowane koła, np. parafialne (MI-2), po formalną przynależność związaną z zaangażowaniem apostołskim (MI-3). Członkowie stowarzyszenia nazywają się Rycerzami. Międzynarodowym centrum Rycerstwa Niepokalanej jest ośrodek przy klasztorze w Niepokalanowie. Znakiem rozpoznawczym i jednym ze sposobów działalności misyjnej stowarzyszenia było propagowanie tzw. cudownego medalika związanego z kultem Niepokalanej Poczęcia Matki Bożej. Medalik przedstawia Matkę Bożą w jej niepokalanym wizerunku, stojącą na kuli ziemskiej i depczącą głowę węża. Z jej rąk rozchodzą się promienie, symbolizujące łaski, które można otrzymać za jej pośrednictwem. Kult medalika został zapoczątkowany przez św. Katarzynę Labouré w pierwszej połowie XIX wieku. Jego przyjęcie i noszenie miało świadczyć o powierzeniu swego życia w opiekę Matce Bożej. Maksymilian Kolbe był gorącym propagatorem tej formy pobożności, a po wojnie franciszkanie kontynuowali jego dzieło, produkując i rozprowadzając medaliki na masową skalę.

### Powrót do kraju

Pierwszą mszę odprawił jeszcze w Rzymie, ale w 1919 roku powrócił do Polski. Przyjechał do Krakowa i niemal z marszu

został skierowany do nauczania w seminarium duchownym. Niestety pracę znacząco utrudniała mu postępująca gruźlica. Nie zrażając się przeciwnościami, krzewił idee Rycerstwa Niepokalanej, także wśród świeckich. W 1922 roku zaczął wydawać miesięcznik „Rycerz Niepokalanej”, który stał się oficjalnym organem stowarzyszenia. Podobnie jak wiele późniejszych przedsięwzięć, o Maksymilian działalność wydawniczą rozpoczynał od zera. Każde nowe zadanie realizował osobiście, często nie mając koniecznych kwalifikacji, ale dzięki niezachwianej wierze i konsekwencji w działaniu szybko się profesjonalizował.

„Rycerz Niepokalanej” rodził się w bólach. Trudno było uzyskać zgodę przełożonych zakonnych, a jeszcze trudniej środki na opracowanie, druk i kolportaż każdego numeru. Podejmując walkę o nowe pismo, Maksymilian nie mógł wiedzieć, że wkracza na jedną z najważniejszych dróg swego życia. Wkrótce działalność wydawnicza miała stać się jego znakiem rozpoznawczym.

Z Krakowa redakcję przeniesiono do Grodna, gdzie powstało skromne wydawnictwo. Popularność miesięcznika stopniowo rosła. Początkowo osiągał nakład 5 tys. egz., który w ciągu dwóch lat się podwoił. Było to pismo zawierające głównie treści religijne i częściowo

publicystykę. Cechą wyróżniającą była przystępność – zarówno treści, jak i ceny.

### Niepokalanów

Dekadę po powołaniu Rycerstwa Niepokalanej o. Kolbe przeniósł się z Kresów w okolice Warszawy i rozpoczął budowę nowego klasztoru franciszkańskiego i wydawnictwa na ziemiach należących do majątku Teresin w pobliżu Sochaczewa, które otrzymał od księcia Jana Druckiego-Lubeckiego. Rozpoczął od postawienia figury Matki Bożej, która po dziś dzień wita gości przybywających do Niepokalanowa. Miejsce ma dogodną lokalizację – jest położone 40 km od Warszawy, w sąsiedztwie linii kolejowej prowadzącej do Poznania. Formalności udało się zakończyć w połowie 1927 roku i już 21 listopada w spartańskich warunkach zaczęły funkcjonować wydawnictwo i redakcja „Rycerza Niepokalanej”. Jego nakład przez kolejne lata się powiększał, a tuż przez wybuchem II wojny światowej sięgał miliona. Wydawano też mutację miesięcznika skierowaną do młodszego czytelnika – „Rycerzyk Niepokalanej”. Z czasem w Niepokalanowie powstał istotny ośrodek wydawniczy prasy religijnej. Wychodziły tu dwa poczytne miesięczniki oraz od lat trzydziestych dziennik,



► Franciszkanie podczas pracy w drukarni

(„Mały Dziennik”), a także publikacje książkowe. Prasa niepokalanowska, którą można zaliczyć do kategorii czasopism religijno-społecznych, miała zasięg masowy. Najbardziej poczytne periodyki świeckie osiągały co najwyżej ćwierć nakładu „Rycerza”. Materiałem na osobny artykuł jest analiza treści drukowanej w nim publicystyki, w tym dyskusja wokół zarzutów o antysemityzm. Skupiając się jednak na samym o. Maksymilianie, należy podkreślić, że tematyka żydowska nie była dla niego najważniejsza. W swoim nauczaniu koncentrował się głównie na działalności misyjnej oraz rozwoju duchowym.

Ośrodek w Niepokalanowie miał nowoczesną infrastrukturę poligraficzną obsługującą wydawnictwo oraz własną sieć kolporterską, prowadzoną również za pośrednictwem Rycerstwa Niepokalanej. W latach trzydziestych podjęto kolejne inicjatywy – założono funkcjonującą do dziś zakonną Ochotniczą Straż Pożarną, rozpoczęto starania o przyznanie koncesji na nadawanie audycji radiowych. Maksymilian zainteresował się też nowymi możliwościami ewangelizacyjnymi, które dawała telewizja. Na potrzeby wydawnictwa planował wybudowanie niewielkiego lotniska. Rozpoczęto też przygotowania do budowy kościoła. W założeniu o. Maksymiliana Kolbego Niepokalanów miał być miejscem samowystarczalnym pod względem ekonomicznym. Z tego powodu bracia wybudowali nawet własną elektrownię, prowadzili duży ogród warzywny; wyspecjalizowali się w wielu dziedzinach – krawiectwie, fryzjerstwie, a nawet medycynie. Klasztor niepokalanowski rozwijał się nie tylko materialnie. W okresie przedwojennym prowadził także intensywną działalność apostołską. Jednym z głównych jej środków był rozwój Rycerstwa Niepokalanej. Ojciec Maksymilian dbał o utrzymywanie więzi z członkami stowarzyszenia, prenumeratorami pisma i innymi grupami sympatyków, m.in. prowadząc z nimi regularną korespondencję. Z rozrastaniem się Niepokalanowa było też związane wyodrębnienie się 23 sierpnia 1939 roku



Fot. ze zbiorów Wojciecha Czaplickiego

► Prymas Polski kard. Stefan Wyszyński w towarzystwie biskupów i franciszkanów przed portretem beatyfikacyjnym o. Maksymiliana Kolbego

warszawskiej prowincji franciszkanów. Przed wybuchem wojny w Niepokalanowie mieszkało 760 zakonników.

W tym samym czasie o. Maksymilianowi Kolbemu udało się też doprowadzić do założenia japońskiego Niepokalanowa w Nagasaki (Mugenzai no Sono), gdzie w latach 1930–1935 prowadził działalność misyjną. Nie znając języka, rozpoczął też wydawanie japońskiego „Rycerza Niepokalanej” („Seibo no Kishi”). Artykuły pisał po łacinie, następnie japońscy księża je tłumaczyli. Klasztor cudownie przetrwał atak atomowy na Nagasaki. Niepokalanowscy franciszkanie odbyli też misyjne podróże do Chin i Indii.

### Druga wielka wojna

Wybuch wojny zatrzymał dynamiczny rozwój Niepokalanowa. Przerwano budowę świątyni, wstrzymano dystrybucję czasopism, Niemcy zrabowali maszyny drukarskie. Ojciec Maksymilian zdążył jeszcze rozesłać większość braci do ich domów rodzinnych, a sam został aresztowany wraz z częścią pozostałych zakonników we wrześniu 1939 roku. Trafił do obozu przejściowego (Dulagu D) w Amtitz, gdzie był przetrzymywany do grudnia. Kiedy po ponad dwóch miesiącach wrócił do Niepokalanowa, klasztor zastał splądrowany. Nie poddał się jednak i rozpoczął starania o wznowienie wydawania

„Rycerza Niepokalanej”. Zachowała się korespondencja o. Maksymiliana z niemieckimi władzami okupacyjnymi w Sochaczewie. Wynika z niej, że udało mu się uzyskać zgodę na wydanie zaledwie jednego numeru pisma, który ukazał się na przełomie 1940 i 1941 roku. 17 lutego 1941 roku o. Maksymilian Kolbe został aresztowany przez gestapo i uwięziony na Pawiaku. Jedną z hipotez dotyczących przyczyn aresztowania mówi, że było ono skutkiem wydania tego okupacyjnego numeru „Rycerza”, w którym ojciec Maksymilian zamieścił odważny artykuł o prawdzie. Trzy miesiące później trafił do obozu KL Auschwitz.

### Po wojnie

W czasie wojny w zajętych przez Niemców niepokalanowskim klasztorze funkcjonowały schronisko PCK oraz konspiracyjna szkoła. Zakonnicy pomagali miejscowej ludności, uchodźcom z Poznańskiego, ukrywającej się na początku wojny grupie Żydów, a później także powstańcom warszawskim.

Po zakończeniu wojny, pozbawieni swego założyciela i zarazem gwardiana wspólnoty, powoli wracali do codziennego rytmu pracy. Podobnie jak inne zakony, korzystając z zaangażowania władzy komunistycznej w walkę z opozycją polityczną oraz zbrojnym podziemiem ►

niepodległościowym, skupili się na odbudowie przedwojennego *status quo*. Udało się wznowić działalność wydawniczą; wytwarzano też dewocjonaalia, skupiając się przede wszystkim na tłoczeniu i propagowaniu Cudownego Medalika. W połowie lat pięćdziesiątych konsekrowano nową świątynię.

### Droga na ołtarze

Niepokalanów, choć pozostawał pod czujnym okiem władz i był poddawany licznym represjom, wciąż się rozwijał. Rosło jego znaczenie jako ośrodka kultu maryjnego (już w latach sześćdziesiątych był określany mianem sanktuarium zarówno przez władze kościelne, jak i państwowe), ale przede wszystkim stał się ośrodkiem kultu swego założyciela. 17 października 1971 roku o. Maksymilian Maria Kolbe został beatyfikowany, a niewiele ponad dekadę później, 10 października 1982 roku, kanonizowany.

Przygotowanie do beatyfikacji odbywało się w czasie ogólnego ożywienia życia religijnego w Polsce – tuż po zakończeniu obrad Soboru Watykańskiego II, w czasie obchodów milenium chrztu Polski i peregrinacji ikony Matki Bożej Częstochowskiej. Sama beatyfikacja, mimo że nieodłącznie związana z Niepokalanowem, nie pozostawała wydarzeniem lokalnym ani nawet jedynie kościelnym. Jej znaczenie należy rozpatrywać też w kontekście międzynarodowym – budowania relacji polsko-niemieckich oraz podejmowania

rozmów władz PRL ze Stolicą Apostolską. Nazwisko o. Maksymiliana zostało wymienione w pamiętnym orędziu episkopatu polskiego do niemieckiego z 1965 roku. Ponadto biskupi Polski i Niemiec wydali wspólny memoriał, podpisany przez kardynałów Stefana Wyszyńskiego i Juliusa Döpfnera, w którym wyrażali podziw dla ofiary o. Maksymiliana i deklarowali wspólne dążenie do jedności. Według źródeł kościelnych, na mszę beatyfikacyjną, odprawioną 17 października 1971 roku w bazylice św. Piotra w Rzymie, przybyło ok. 6 tys. Polaków z kraju. Urząd ds. Wyznań zaproponował, żeby na uroczystości mogło wyjechać 1250–1500 kapłanów. Planowano też zorganizowanie „wycieczki z Polski na uroczystości beatyfikacyjne”, co było sporym przedsięwzięciem logistycznym. W beatyfikacji masowo uczestniczyli Polacy mieszkający poza granicami kraju. W wielu miejscach na terenie Polski odprawiano w tym czasie msze dziękczynne. Dwa dni przed beatyfikacją dyrektor Departamentu IV MSW przesłał szyfrogram, w którym polecał władzom lokalnym zachować szczególną czujność podczas spotkań modlitewnych organizowanych na terenie całego kraju (m.in. w Niepokalanowie) oraz do północy 17 października przesłać meldunki zawierające informacje o ich przebiegu, treści kazań biskupów, oraz dekoracjach ołtarzy.

Kanonizacja o. Maksymiliana Marii Kolbego odbywała się warunkach o wie-

le trudniejszych. W Polsce obowiązywał bowiem stan wojenny. O skomplikowanej sytuacji prymasa Józefa Glempa pisał w swoich *Dziennikach politycznych* Mieczysław Rakowski. W Urzędzie ds. Wyznań zastanawiano się, jak wykorzystać sprawę kanonizacji. Rozważano wysłanie na uroczystości polskiej ekipy radiowo-telewizyjnej i transmisję. Sugerowano przedstawianie w artykułach prasowych śmierci nowego świętego w szerokim kontekście faszyzmu, eksponowania okrucieństwa wojny i „problematyki walki o pokój i rozbrojenie”. Podobnie jak w przypadku beatyfikacji, organizowano wyjazd pielgrzymów do Rzymu. Postulowano wysłanie na uroczystość w pierwszej kolejności byłych więźniów obozów koncentracyjnych oraz zasłużonych działaczy Caritas. Starano się też uprzedzić inicjatywy oddolne. Skierowano duże środki do przedsiębiorstwa Ars Christiana na produkcję dewocjonaaliów okolicznościowych z zaznaczeniem, że mają się na nich znaleźć akcenty patriotyczne, aby uniknąć przygotowywania przez pielgrzymów chorągiewek i emblematów solidarnościowych. Niepokalanów znalazł się na szlaku II pielgrzymki papieża Jana Pawła II do ojczyzny (16–23 czerwca 1983 roku). 18 czerwca Ojciec Święty odprawił tam uroczystą mszę św. dziękczynną za kanonizację. Tłumy zgromadzone wówczas w Niepokalanowie odnotował w *Dziennikach...* nawet Mieczysław Rakowski.

Wyniesienie o. Maksymiliana Kolbego na ołtarze wymuszało zmianę polityki państwa wobec Niepokalanowa, ale też wobec zakonów. Władze musiały się bowiem włączyć w oficjalne uroczystości (niezależnie od podejmowanych działań nieoficjalnych), których organizacja wynikała z obu procesów. Oficjalną reakcją na beatyfikację o. Maksymiliana było pośmiertne odznaczenie go wraz z innymi, którzy ponieśli śmierć w obozie Auschwitz, Krzyżem Złotym Orderu Virtuti Militari, na mocy uchwały Rady Państwa z 22 marca 1972 roku. 🇵🇱



➤ Błogosławiony „ob. Kolbe Maksymilian” odznaczony pośmiertnie przez Radę Państwa PRL



# Dwie umowy, dwa zdjęcia

Paweł Rokicki

**Podpisanie paktu Ribbentrop–Mołotow jak chyba żadne inne wydarzenie tej rangi w XX wieku jest wyjątkowo często błędnie ilustrowane. Jako zdjęcie z sierpnia 1939 roku bywa przedstawiana fotografia o miesiąc późniejsza. Tymczasem można je dość łatwo od siebie odróżnić.**

**N**iewiele jest w naszej najnowszej historii wydarzeń tak brzemiennych w skutki, jak zaskakujący sojusz, zawarty w końcu sierpnia 1939 roku przez Niemcy i Związek Sowiecki. Inaugurowany paktem o nieagresji z 23 sierpnia, przypieczętowany braterstwem broni obu mocarstw podczas agresji na Polskę, a później potwierdzony traktatem o granicach i przyjaźni z 28 września 1939 roku. Konsekwencją tych umów były nie tylko rozbiór Polski, lecz także przekształcenie mapy politycznej wschodniej części kontynentu europejskiego i przypieczętowanie losów żyjących tu narodów.

Podpisaniu obu dokumentów, sierpniowego i wrześniowego, towarzyszyli fotoreporterzy pracujący na potrzeby

propagandy swych krajów. Z Niemiec przylecieli w tym celu do Moskwy „nadworny” fotograf Adolfa Hitlera, Heinrich Hoffmann, oraz jego kolega Helmut Laux. Wykonane przez nich zdjęcia szybko obieły prasę światową. Niektóre z nich stały się wręcz ikonami tego okresu historii, wielokrotnie później publikowanymi, także w podręcznikach szkolnych. Niestety, notorycznie towarzyszą tym publikacjom pomyłki w opisach. Najczęściej spotykanym błędem jest utożsamianie zdjęć wykonanych w nocy z 28 na 29 września z chwilą podpisania sierpniowego paktu Ribbentrop–Mołotow. Takie potknięcia przydarzają się zarówno twórcom publikacji internetowych, jak i wydawcom niejednej poczytnej książki historycznej, np. *Pol-*

*ski wrzesień. Hitler i Stalin rozdierają Rzeczpospolitą 1 IX 1939 – 17 IX 1939* (2004) Janusza Piekalkiewicza, Józefa Garlińskiego *Polska w drugiej wojnie światowej* (2009), *Między Berlinem a Moskwą. Stosunki niemiecko-sowieckie 1939–1941* (2007) Sławomira Dębskiego albo Rogera Moorhouse’a *Pakt diabłów. Sojusz Hitlera i Stalina* (2015).

Oczywistą przyczyną tych pomyłek jest wyraźne podobieństwo fotografii wykonanych podczas obu spotkań. Niemiecko-sowieckie umowy podpisano bowiem przy tym samym biurku i w tym samym gabinecie na Kremlu, zgodnie z ówczesną rutyną sowieckiej dyplomacji. Ich sygnatariuszami były w dodatku te same osoby, odpowiedzialne za politykę zagraniczną swych krajów – minister Joachim von Ribbentrop i komisarz Wiaczesław Mołotow (jednocześnie przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych, czyli premier Związku Sowieckiego). W obu spotkaniach uczestniczyli też gospodarz Kremla, sowiecki dyktator Józef Stalin, niemiecki ambasador w Moskwie Friedrich-Werner von ▶

der Schulenburg, a także kilku innych dyplomatów obu układających się stron.

Traktując fotografie jako źródło historyczne, należy z szacunkiem odnosić się do szczegółów i wystrzegać się wszelkich nieścisłości w ich opisach. Przy wspomnianych zdjęciach z Moskwy takim detalem może być na przykład data ich wykonania, inna od formalnej daty podpisanych umów. Częstą praktyką oficjalnych spotkań na Kremlu było bowiem celebrowanie ich do późnej nocy

– zgodnie z rytmem pracy Józefa Stalina – i podpisywane ostatecznej wersji dokumentów dopiero nad ranem dnia następnego. Tak było również przy zawieraniu umów z Niemcami w sierpniu i wrześniu 1939 roku. Zachowane na nich zostały daty z dni, w których rozpoczęto prace nad dokumentami. Zdjęcia z podpisania paktu z 23 sierpnia zostały zatem w rzeczywistości wykonane nad ranem 24 sierpnia, gdy maszynistki przepisały ostateczne wersje uzgodnionego tekstu, a ze stołów i biurek uprzątnięto kieliszki i talerze po kawiorze z przyjęcia, będącego nieodłączną częścią dyplomatycznego rytuału.

Aby ułatwić sobie szybkie odróżnianie zdjęć z podpisania sierpniowego paktu o nieagresji od tych, które dotyczą wrześniowego traktatu o granicach i przyjaźni, warto pamiętać o kilku łatwo dostrzegalnych szczegółach, odnoszących się do osób, zwłaszcza ich ubiorów:

- W nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 roku komisarz Wiaczesław Mołotow nosił jasny, letni garnitur (1), a w nocy z 28 na 29 września 1939 roku był ubrany w garnitur ciemny, z takąż kamizelką pod marynarką (2).
- W trakcie obu wizyt niemiecki minister Joachim von Ribbentrop występował w ciemnym garniturze, z okrągłą złotą odznaką NSDAP przypiętą do lewej kłapy marynarki. Inaczej wyglądała jedynie

► Ludowy komisarz spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow podpisujący w imieniu Związku Sowieckiego pakt o nieagresji z III Rzeszą Niemiecką z 23 sierpnia 1939 roku; asystują mu niemieccy dyplomaci, od lewej: Friedrich Gaus, Gustav Hilger i ambasador Niemiec w Moskwie, Friedrich-Werner von der Schulenburg; Moskwa, ranek 24 sierpnia 1939 roku



chustka, którą nosił w górnej kieszeni marynarki – w sierpniu była ona ledwie wysunięta (3), we wrześniu natomiast bardziej wyeksponowana (4).



- Oprócz osób, które uwieczniono na zdjęciach z obu spotkań, są też postacie obecne wyłącznie przy podpisaniu wrześniowego traktatu: ambasador sowiecki w Berlinie, Aleksiej Szkwarczew (5) (który objął tę funkcję 3 września 1939 roku), oraz szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej komandarm I rangi Borys Szaposznikow (6) (autor planu ataku na Polskę 17 września 1939 roku, na foto-





► Ludowy komisarz spraw zagranicznych Związku Sowieckiego Wiaczesław Mołotow podpisujący na Kremlu traktat o granicach i przyjaźni między III Rzeszą Niemiecką a Związkiem Sowieckim z 28 września 1939 roku; dokumenty podaje mu pochylony ambasador sowiecki w Berlinie, Aleksiej Szkwarcew; z tyłu stoją od lewej: SS-Obersturmführer Richard Schulze (adiutant Ribbentropa), komandarm I rangi Borys Szaposznikow (szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej), minister spraw zagranicznych Niemiec Joachim von Ribbentrop, sowiecki przywódca Józef Stalin oraz sowiecki dyplomata i tłumacz Władimir Pawłow; Moskwa, noc z 28 na 29 września 1939 roku

► Uczestnicy podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow, od lewej: niemiecki dyplomata Friedrich Gaus, sowiecki dyplomata i tłumacz Władimir Pawłow (częściowo zasłonięty), minister spraw zagranicznych Niemiec Joachim von Ribbentrop, niemiecki dyplomata Andor Hencke, sowiecki przywódca Józef Stalin, radca i tłumacz z niemieckiej ambasady w Moskwie Gustav Hilger oraz ludowy komisarz spraw zagranicznym Związku Sowieckiego Wiaczesław Mołotow; Moskwa, rane 24 sierpnia 1939 roku

grafii jedyna osoba w mundurze wojskowym). Jeśli więc którąś z dwóch powyższych osób odnajdziemy na zdjęciach przedstawiających rzekomo podpisanie sierpniowego paktu o nieagresji, powinniśmy traktować taki podpis jako błędny.

Dzięki tym prostym wskazówkom każdy czytelnik będzie mógł samodzielnie zweryfikować poprawność podpisów zdjęć z zawarcia niemiecko-sowieckich umów w 1939 roku, z którymi zetknie się podczas lektury artykułów prasowych, książek lub publikacji internetowych. 📖

dr Paweł Rokicki – historyk, kierownik Sekcji Wystaw Wydziału Edukacji Historycznej Biura Edukacji Narodowej IPN



Fot. ze zbiorów autora

Fot. ze zbiorów autora

► Marian Kociniak (1936–2016) ogromną popularność zawdzięczał głównie roli Franciszka Dolasa w *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*

# Jak rozpętałem drugą wojnę światową

Jerzy Eisler

„Nie wiem, czy powinniśmy posługiwać się takimi sformułowaniami, bo to nasi wrogowie mogliby potraktować jako sugestię, że Polacy przyznają się do swojej winy, a po co są nam potrzebne takie rzeczy” – zgłaszał swoje obiekcje do tytułu kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, Wincenty Kraśko.

**S**ą aktorzy, którzy chociaż stworzyli wiele sugestywnych ról i zagrali w wielu popularnych filmach, bywają powszechnie kojarzeni głównie z jedną ze swoich kreacji. W Polsce takim klasycznym wręcz przykładem pozostaje Stanisław Mikulski, który – mimo że zanim zagrał główną rolę w *Stawce większej niż życie*, a w następnych latach legitymował się znaczącymi dokonaniem aktorskimi – jest powszechnie zapamiętany przede wszystkim jako Hans Kloss. W jakimś sensie to zjawisko dotyczy także zmarłego niedawno Mariana Kociniaka, choć w tym wypadku artysta swoją ogromną popularność zawdzięczał co najmniej dwóm kreacjom: brawurowo zagranej roli murgrabiego w *Janosiku* oraz chyba jednak przede wszystkim roli szeregowca Franciszka Dolasa w najdłuższym (trzy części trwały łącznie prawie cztery godziny) w chwili realizacji polskim kinowym filmie fabularnym *Jak rozpętałem drugą wojnę światową* w reżyserii Tadeusza Chmielewskiego.

## Wojna w wersji komediowej

Reżyser ten – począwszy od bardzo dobrze przyjętej debiutanckiej komedii *Ewa chce spać* – na długie lata stał się jednym z najwybitniejszych w Polsce twórców tego gatunku filmowego. Trudno się zatem dziwić, że to właśnie Chmielewski wyreżyserował pierwszą polską komedię rozgrywaną się w czasie II wojny światowej. Znamienne było przy tym to, że film zatytułowany *Gdzie jest generał...* miał premierę dopiero w styczniu 1964 roku, a więc blisko dwadzieścia lat po zakończeniu wojny.

Tutaj pozwolę sobie na pewną dygresję i przypomnę, że pisałem przy innej okazji, iż w pierwszym dwudziestolecu po II wojnie światowej filmowcy trafnie odczytywali nastroje społeczne i dobrze rozumieli, że po tak wielkiej traumie, jaką polskie społeczeństwo przeżyło w latach 1939–1945, musi upłynąć sporo czasu (w praktyce przeminąć pokolenie), zanim będzie można wojnę i okupację ukazywać w konwencji komediowej. Zresztą w ogóle filmy tego typu w Polsce powstawały rzadko. Wystarczy



przypomnieć, że w ciągu siedemdziesięciu lat, które minęły od zakończenia II wojny światowej, zrealizowano zaledwie siedem tego rodzaju obrazów, w tym ani jednego od blisko dwóch dekad.

Nie sposób nie odnotować, że dla realizacji komedii wojennych, czy może raczej komedii rozgrywających się w czasie II wojny światowej, najlepszym okresem w Polsce były lata sześćdziesiąte. To właśnie wówczas w odstępnie kilku lat do kin trafiły trzy tak udane obrazy jak: wspomniany już film *Gdzie jest generał...*, *Giuseppe w Warszawie* w reżyserii Stanisława Lenartowicza czy w końcu trylogia Tadeusza Chmielewskiego *Jak rozpetalem drugą wojnę światową*. Trudno rozstrzygnąć, czy decydujące znaczenie miał upływ czasu od zakończenia wojny, czy może należy to łączyć z „patriotyczną ofensywą” podejmowaną w tamtym okresie przez tzw. partyzantów, skupionych wokół wpływowego wiceministra, a od 1964 roku ministra spraw wewnętrznych, gen. Mieczysława Moczara, czy może w tym wypadku szczególny wpływ wywarły osobiste zainteresowania i preferencje artystyczne poszczególnych twórców, a zwłaszcza Tadeusza Chmielewskiego – nie tylko reżysera, lecz także scenarzysty dwóch z trzech nakręconych wówczas komedii, których akcja rozgrywała się w czasie II wojny światowej. A może była to tylko zupełnie przypadkowa zbieżność w czasie i nie należy doszukiwać się żadnego racjonalnego wytłumaczenia? Niezależnie od tego, co w rzeczywistości dominowało i odegrało decydującą rolę, faktem pozostaje, że w stosunkowo krótkim okresie powstały trzy tego typu filmy, które dość dobrze zniosły próbę czasu i po wielu latach nadal śmieszą i wzruszają.

Wszelako warto też pamiętać, co na ten temat kilka lat temu napisał znawca polskiego kina wojennego Piotr Zwierzchowski: „Nie ulega wątpliwości, że zawarte w komediach wojennych wizje świata, wojny i polskiego w niej udziału odpowiadały po-



Fot. FilMOTEKA Narodowa

▶ W pamiętnej scenie przesłuchania Dolasa przez gestapowca wystąpił Emil Karewicz (z lewej), dobrze znany dzięki *Stawce większej niż życie*

trzebom propagandowym, wpisując się w rozmaite konteksty lat 60. Odpowiadały jednak także społecznym wyobrażeniom, a niewątpliwa do dziś popularność tych komedii świadczy o tym, że reprezentują wartości przekraczające jedynie doraźny wymiar polityki kulturalnej tamtej dekady. Oglądane dzisiaj są zabawne, ale podobają się również dlatego, że prezentują widzenie świata i obraz Polaków doskonale znane i oswojone, także dzięki stereotypom i autostereotypom. Nie wymagają od widza bolesnej wiwisekcji polskich dziejów i zmierzenia się z mitami narodowymi. Komediowość gwarantowała atrakcyjność przekazu...”, choć – jak pointuje filmoznawca – obrazom tym nie pozwalano być po prostu tylko komediami. „Zdecydowały o tym zarówno ▶

▶ Joanna Jędryka  
i Marian Kociniak



Fot. FilMOTEKA Narodowa

miejsce wojny w polskiej pamięci narodowej, jak i konteksty towarzyszące realizacji i odbiorowi tych filmów”.

Jako ilustracja tych słów może posłużyć przywołana przez Piotra Zwierzchowskiego wypowiedź Wincentego Kraśki w czasie kolaudacji filmu *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*, która odbyła się 15 października 1969 roku. Kierownik Wydziału Kultury KC PZPR proponował wówczas zastanowienie się nad zmianą tytułu filmu i sugerował powrót do tytułu powieści Kazimierza Sławińskiego *Przygody kanoniera Dolasa*, która posłużyła za podstawę scenariusza. Kraśko stwierdził wtenczas między innymi: „Jeżeli chodzi o tytuł, który mówi o rozpoczęciu II wojny światowej, to jest niewątpliwe, kto przyczynił się do tego szaleństwa, ale nie wiem, czy powinniśmy posługiwać się takimi sformułowaniami, bo to nasi wrogowie mogliby potraktować jako sugestię, że Polacy przyznają się do swojej winy, a po co są nam potrzebne takie rzeczy”. Trudno uwierzyć, że wysokiego szczebla dygnitarz partyjny (od wielu lat „pracujący na odcinku kultury”) na temat beztrioskiej z założenia komedii mógł się wypowiadać w tak „pryncypialny”, a w rzeczywistości absurdalny sposób.

### Miejski spryciarz zamiast inteligenta

*Jak rozpętałem drugą wojnę światową* jest bowiem dość sprawnie zrealizowaną komedią przygodową, mającą za zadanie – czego wyraźnie nie rozumieli lub udawali, że nie rozumieją, partyjni decydenci – przynosić widzom bezpretensjonalną rozrywkę i uśmiech. Do dzisiaj, zrealizowana we wrocławskim studiu z udziałem ponad trzydziestu osób, w tym dziewięciu kaskaderów na czele z Krzysztofem Fusem i Czesławem Magnowskim, który dublował też Kociniaka we wcześniejszej scenie skoku z pociągu, sekwencja bójki w tawernie portowej pozostaje najbardziej hollywoodzką sceną tego typu w polskim kinie. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że film, którego akcja rozgrywa się w Polsce, Austrii, Jugosławii, Libanie, Afryce Północnej, Włoszech, Niemczech, został zrealizowany przy stosunkowo niewysokich kosztach. Zdjęcia zostały wykonane przez znanego scenografa Bolesława Kamykowskiego w Polsce, udanie charakteryzowanej na inne kraje, a plenery „egzotyczne” wybrane w kilku rejonach Związku Radzieckiego, przy współpracy Wytwórni Filmów Dziecięcych i Młodzieżowych im. Maksima Gorkiego.

Wspomniano już, że film jest ekranizacją książki Kazimierza Sławińskiego, ale Tadeusz Chmielewski dokonał radykalnej, w pełni świadomej przemiany głównego bohatera. Kanonier Adolf Dolas był doktorem historii sztuki, znającym świetnie języki obce: niemiecki, angielski, francuski i uczącym się włoskiego i hiszpańskiego. Natomiast filmowy Franek Dolas (zwraca uwagę zmiana imienia) jest niemal jego zaprzeczeniem: jest to bowiem cwaniak, człowiek prosty, lecz niepozbawiony pewnej oglady (wie, jak się należy zachowywać w różnych

sytuacjach – potrafi na przykład być szarmancki wobec kobiet). Zamiast inteligenta pojawia się miejski spryciarz, który potrafi ogrywać Arabów w „trzy karty”, ale nie umie odróżnić krowy od byka. Nie można w dodatku temu wiecznemu optymście odmówić patriotyzmu i chęci walki z Niemcami. To ostatnie ma być zresztą swoistym wyróżnikiem wojennej polskości. Kapitan francuskiego statku, który na Morzu Śródziemnym wyratował rozbitków z jugosłowiańskiego transportowca storpedowanego przez włoski okręt podwodny, dobitnie wyraża to słowami: „Chce walczyć z Hitlerem, to na pewno Polak”. Stwierdzenie to musiało się podobać nie tylko inicjatorom ówczesnej polityki kulturalnej, ale także oglądającym ten film w 1970 roku widzom, z których zapewne jeszcze większość pamiętała wojnę i okupację.



Prawdopodobnie podobało się im również – zgodne z ich stereotypowymi wyobrażeniami – ukazanie w tym obrazie wszelkich „obcych”: Niemców, Francuzów, Arabów, Anglików, Włochów, którzy zwykle są prezentowani jako mniej pomysłowi, spostrzegawczy, zaradni niż główny bohater. Być może najlepiej jest to widoczne w pamiętnej scenie przesłuchania Dolasa przez gestapowca z owiniętym gardłem, któremu Polak przedstawia

się złośliwie jako Grzegorz Brzęczyszczkiewicz z Chrząższczyżewoszy, powiat Łękołody. Niemiec, nie potrafiąc zapisać tych nazw własnych, wpada w szal. W tej roli wystąpił niezwykle wtedy popularny dzięki *Stawce większej niż życie* Emil Karewicz, odtwarzający tam przyjaciela-wroga głównego bohatera, oficera SS Hermanna Brunnera. Nawiasem mówiąc, pierwotnie tak właśnie miał się nazywać ów gestapowiec w *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*, co ewidentnie byłoby „puszczeniem oka” do widzów. Z niewiadomych powodów (czyżby decydowały prawa autorskie i ewentualne problemy z tantiemami?) tak się jednak nie stało. Warto może tylko dodać, że – jak wiadomo – nie doszło również do skutku projektowane spotkanie bohaterów dwóch najpopularniejszych (wówczas i chyba nie tylko) polskich seriali. Załoga czołgu „Rudy” oraz Hans Kloss mieli się razem pojawić na ekranie zarówno w jednym odcinku *Stawki większej niż życie*, jak i *Czterech pancernych i psa*.

### Szare i w kolorze

Skoro już o aktorach mowa, to trzeba przyznać, że Tadeusz Chmielewski na planie swojego filmu zgromadził plejadę znakomitych, popularnych lub przynajmniej dobrze zapowiadających się artystów, nawet do epizodów i ról trzecioplanowych.

Oprócz aktorów już wymienionych należy tutaj wspomnieć:

Ludwika Benoit, Krystynę Borowicz, Aleksandra Fogla, Piotra Fronczewskiego, Wirgiliusza Grynia, Joannę Jędrykę, Eugeniusza Kamińskiego, Janusza Kłosińskiego, Waława Kowalskiego, Zdzisława Kuźniara, Zdzisława Maklakiewicza, Stanisława Miłskiego, Lecha Ordon, Leonarda Pietraszaka, Elżbietę Starostecką, Mieczysława Stora, Franciszka Trzeciaka i Tomasza Zaliwskiego. Szczególnych wzruszeń mogą doświadczać dziś zwłaszcza widowie starszego i najstarszego pokolenia, gdy patrzą na grę dwóch wielkich, od lat już nie żyjących, mistrzów sceny i ekranu: Kazimierza Rudzkiego w niewielkiej roli brytyjskiego kapitana Ralfa Peacocka oraz Jana Świderskiego, który wcielił się w postać kapitana Letoux z francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Cóż, zawsze jest miło – choćby przez kilka minut – popatrzeć na aktorstwo najwyższej próby.

Na koniec jeszcze jedna ważna informacja. Obraz *Jak rozpętałem drugą wojnę światową* został w całości zrealizowany na taśmie czarno-białej. Niemniej w roku 2000 Studio Filmowe „Oko” wraz z Telewizją Polsat zleciło firmie Dynacs Digital z Hollywood poddanie filmu zabiegowi komputerowej koloryzacji obrazu. W ten sposób pod nadzorem operatora Jerzego Stawickiego i kierownika produkcji Zbigniewa Stanka powstała wersja barwna, a trylogia Tadeusza Chmielewskiego stała się – obok *Samych swoich* Sylwestra Chęcińskiego – jednym z dwóch polskich filmów fabularnych poddanych procesowi modnej w swoim czasie w Stanach Zjednoczonych „sztucznej koloryzacji”.

prof. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzysy w PRL* (2008), *Siedmiu wspaniałych. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)

# Orły piotrogrodzkiego zegarmistrza

Tomasz Zawistowski

29 marca 1917 roku rosyjski Rząd Tymczasowy oficjalnie uznał prawo narodu polskiego do utworzenia własnego państwa. Decyzja ta diametralnie zmieniła sytuację Polaków noszących rosyjskie mundury, zarówno tych, którzy służyli w oddziałach polskich należących do carskiej armii, jak i tych, którzy pełnili swą służbę w pułkach rdzennie rosyjskich. Między innymi wolno im było nareszcie założyć na mundury polskie orły.



► Trzy polskie orły produkowane w 1917 roku przez firmę Heinricha Kanna

**D**ywizja Strzelców Polskich, stacjonująca w rejonie Kijowa, liczyła wówczas 18 tys. żołnierzy w oddziałach liniowych oraz dodatkowo 12 tys. w pułku rezerwowym w Biełgorodzie. Nie była już w stanie przyjąć do swych szeregów coraz liczniej zgłaszających się ochotników; postulowano zatem rozwinięcie jej do szczebla korpusu. Z kolei w szeregach całej armii rosyjskiej, według danych jej sztabu generalnego, służyło 119 generałów, ok. 20 tys. oficerów i 700 tys. szeregowych określanych mianem katolików, ponieważ słowo „Polak” w oficjalnej nomenklaturze nie występowało. Od początku rewolucji lutowej żołnierze narodowości polskiej zaczęli organizować się w Związki Wojskowych Polaków, zajmujące się uświadamianiem narodowym i działalnością patriotyczno-kulturalną. Pierwszy taki związek powstał w Piotrogradzie, kolejne zawiązywały się zarówno przy oddziałach frontowych, jak i w garnizonach całego imperium.

Powstanie Związków Wojskowych Polaków było traktowane jako etap wstępny do utworzenia polskiego wojska. 14 czerwca 1917 roku w Piotrogradzie zaczął się ogólny zjazd delegatów ZWP. Radzono nad licznymi trudnościami, które z różnych przyczyn piętrzył sztab rosyjski. Oprócz zakorzenionej u wielu rosyjskich oficerów niechęci do wszystkiego, co polskie, w grę wchodziła również obawa przed utratą niemałej części stanu osobowego wojska. Mimo to wojskowi Polacy wykorzystali kilkumiesięczny okres działalności Rządu Tymczasowego do istotnego powiększenia polskich oddziałów, a także do wprowadzenia w nich własnego umundurowania, oznak stopni i symboliki narodowej. W 1917 roku polskie oddziały w rosyjskich mundurach walczyły, i to skutecznie, tylko przeciwko Niemcom, ale nadchodził już nowy wróg, nadchodziła rewolucja bolszewicka.

### Biały jednogłowy orzeł

Związki Wojskowych Polaków dbały o wyróżnienie swoich członków z masy żołnierstwa rosyjskiego, na-

▶ Chorąży Dywizji Strzelców Polskich z orłem bez tarczy amazonek, noszonym na piersi na tle amarantowej bądź czerwonej wstążki



Fot. ze zbiorów autora



kazując w tym celu noszenie na mundurach orłów. W rezolucji zorganizowanego we Władystoku zjazdu przedstawicieli ZWP Nadamurskiego Okręgu Wojskowego stwierdzono, że „pożądane jest noszenie przez wojskowych Polaków na piersi z lewej strony odznaki: na amarantowo-czerwono-białej rozetce białego jednogłowego orła nie większej wielkości, niż moneta trzykopiówkowa” (czyli ok. 28 mm średnicy). Zagadnienie to było traktowane odmiennie przez związki w różnych częściach kraju, np. w statucie ZWP Okręgu Turkiestańskiego nakazane było noszenie orłów na czapkach. Reasumując, w początkowym okresie po rewolucji lutowej żołnierze narodowości polskiej, zwa-

ni w oficjalnych dokumentach katolikami, przypinali do kieszeni swych rosyjskich mundurów, a niekiedy do czapek, orły o wymiarach do 30 mm jako

zewnątrzną oznakę przynależności do mającego powstać polskiego wojska.

17 kwietnia 1917 roku zjazd delegatów oddziałów i pułków Dywizji Strzelców Polskich wydał rozkaz, w którym zezwolono żołnierzom dywizji na przyczepienie orłów do granatowych czapek maciejówek noszonych poza frontem. Na czapkach zielonych, używanych w linii, w dalszym ciągu miało obowiązywać noszenie owalnych kokard rosyjskich. Odnośny fragment rozkazu brzmiał: „Na przedzie czapki oznaka z Orłem Białym, lecz ▶

bez korony, jaką nosiły Wojska Polskie Król[estwa] Kongr[esowego]”. Charakterystyczne jest tutaj odwołanie do czasów sprzed Powstania Listopadowego, do mundurów ostatnich regularnych polskich formacji wojskowych. Nawiązanie to było w owych czasach oczywiste, a dotyczyło nie tylko mundurów, lecz także tradycji znaków; negocjowano m.in. wydanie sztandarów armii Królestwa Polskiego, przechowywanych na Kremlu.

Opisane powyżej sposoby noszenia orłów na mundurach i czapkach były sankcjonowane wyłącznie wewnętrznym, polskim rozkazodawstwem. Rozkaz ubiorczy naczelnego dowództwa rosyjskiego, noszący numer 540, podpisany przez kierownika Ministerstwa Wojny, Borysa Sawinkowa, choć przygotowany już w kwietniu, oficjalnie został ogłoszony dopiero w sierpniu, w trakcie formowania I Korpusu Polskiego. Nakazywał ustalić wygląd umundurowania oddziałów polskich na wzór munduru wojska rosyjskiego z uwzględnieniem barw pułkowych przysługujących „byłym

▶ Urzędnik wojskowy IX klasy W. Czeczott; Bobrujsk, 1918 rok; na kieszeni orzeł produkcji Heinricha Kanna, zgodny z rozkazem 540; orzeł przerobiony indywidualnie przez nałożenie tarczki z cyfrą „I”

polskim oddziałom”, czyli wojsku Królestwa Kongresowego. Ponadto rozkaz zawierał rysunek orła w koronie wraz z następującym opisem: „Oznaka przedstawia herb z kaszketu wojska Królestwa Polskiego (1815–1830), tzn. srebrny jednogłowy orzeł, z podniesionymi skrzydłami, oparty na srebrnej lekkiej greckiej tarczy, na której znajduje się druga mała tarczka polskiego kształtu. Rozmiar oznaki 47 mm”. Orzeł ten przeznaczony był do noszenia na lewej kieszeni munduru.



Fot. ze zbiorów autora

**РИСУНОКЪ**  
нагруднаго знака всѣхъ Польскихъ частей.



Fot. ze zbiorów autora

▶ Rysunek orła przeznaczonego do noszenia na piersi, zawarty w rozkazie rosyjskiego naczelnego dowództwa nr 540, opublikowanym 19 sierpnia 1917 roku

Między lutym a sierpniem 1917 roku pojawiła się konieczność zaopatrzenia kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy w oznaki narodowe. W odróżnieniu od jednolitego wyglądu orłów używanych po przeciwnej stronie frontu, w sprzymierzonych z Austriakami i Niemcami Legionach Polskich, gama polskich

godeł projektowanych i produkowanych po wschodniej stronie frontu była bardzo szeroka. Orły różniły się wielkością, rysunkiem, obecnością tarczy amazonek bądź jej brakiem, sposobem mocowania i materiałem. Wiele z nich wykonywano ze srebra, kruszcem w tamtym czasie i miejscu łatwo dostępnego. Dzięki temu, że wyroby srebrne podlegały oznakowaniu cechą probierczą, obok której większość producentów umieszczała własne znaki imienne, możemy dzisiaj odnaleźć informacje o firmach grawerskich i jubilerskich, które produkowały polskie orły. Jeden z tropów, monogram „GK” (ГК) wybity obok cechy urzędu probierczego z literą „а”, prowadzi do znanej pracowni zegarmistrzowskiej w Piotrogradzie.

### Nagrodowe zegarki

Jednym z ważniejszych skutków wojny Napoleona I z carem było wyprowadzenie moskiewskiej armii na długą wyprawę do Europy. O ile jednak dla Europy wydarzenie to nie miało aż tak katastrofalnych skutków, jak podobna do niego, a późniejsza o 130 lat wędrówka Armii Czerwonej, o tyle dla samego wojska cara skutki spotkania z zachodnim światem były wręcz piorunujące. Można by o nich mówić długo, spowodowały przecież w rosyjskim społeczeństwie wiele przemian o fundamentalnym znaczeniu, jak chociażby spisek dekabrystów. Lecz oprócz dekabrystów, młodych oficerów o arystokratycznych korzeniach, Europę

zobaczyły na własne oczy tysiące szeregowych i podoficerów. Dla ich świadomości zderzenie z zachodnioeuropejską kulturą, architekturą i techniką było wydarzeniem niebywałym. Po powrocie do domów mieli zupełnie inne pojęcie o tym, co jest im potrzebne. W ich kieszeniach na stałe zagościły

srebrne tabakiery i... zegarki. Początkowo zdobyczne, później – w czasach pokojowych – importowane, wśród nich przede wszystkim wyroby szwajcarskich firm Tissot, Blondel, Fleury i Moser. Ta ostatnia w roku 1839 otworzyła swój sklep w Moskwie.

W carskiej armii zegarki miały charakter specyficznej nagrody. Początkowo ofiarowywano je wyłącznie oficerom, ale od zakończenia kampanii napole-



► Porucznik pilot Waldemar Narkiewicz, organizator i dowódca Polskiego Oddziału Awiacyjnego na Kubaniu w roku 1918; na kieszeni, powyżej odznaki Aleksiejewskiej Szkoły Wojskowej, oznaka w postaci orła na emaliowanej tarczy

ońskiej coraz powszechniejsze stało się wręczanie zegarków żołnierzom niższych stopni. Nagrodowe czasomierze opatrywano dedykacją i ozdobami precyzującymi zasługi, za jakie je wręczano. Zegarki przyznawane za męstwo w walce były zdobione grawerowanymi scenami pól bitewnych, na których odznaczyli się dekorowani, a te, które wręczano za sprawność żołnierską – za celne strzelanie, wyniki w szermierce, jazdę konną – symbolami broni i napisami. Z biegiem lat największym dostawcą zegarków nagrodowych stała się firma Pawła Bure, założona w 1815 roku, a od roku 1879 szczycąca się tytułem „dostawcy dworu”. Firma co roku wydawała katalog-cennik, starając się uprzedzać nowymi projektami oczekiwania odbiorców. Warto tu nadmienić, że rozkazy wojskowe określające zasady przyznawania żołnierzom zegarków nagrodowych nie precyzowały wyglądu zdobień umieszczanych na kopertach, co pozostawiało dostawcom pole do popisu.

W 1909 roku Pawłowi Bure przybył poważny konkurent. Urodzony w 1872 roku, był – podobnie jak Bure – Niemcem, z wykształcenia jubilerem i zegarmistrzem. Nazywał się Heinrich Kann, a jego nazwisko po rosyjsku pisało się Генрих Кань (Gienrich Kann). Założył swoją firmę przy Zagorodnym Prospekcie pod numerem 40. W niedługim czasie miał już prawo sygnować koperty swoich zegarków tytułem поставщикъ частей Императорской Гвардии (*postawszczik czastiej Imperatorskoj Gwardii*, czyli dostawca oddziałów Gwardii Imperium Rosyjskiego). Reklamował się jako producent zegarków nagrodowych oraz oznak wojskowych. Proponował oficjalnym odbiorcom, czyli intendentom pułkowym, wysyłkę wzorów zegarków na koszt firmy, a bardziej odległym, we wschodniej Syberii – płatność przy odbiorze zamówienia. W asortymencie firmy były – oprócz zegarków nagrodowych rzecz jasna – krzyże i medale św. Jerzego, odznaki pamiątkowe niektórych pułków oraz liczne nagrody

wojskowe, niebędące odznaczeniami państwowymi, lecz nadawane żołnierzom na szczeblu pułku.

### Polskie wyroby Heinricha Kanna

W 1917 roku firma Heinricha Kanna rozpoczęła produkcję polskich orłów. Nie wiemy, czy inicjatywa wyszła z polskiej strony, czy też wprowadzenie nowego asortymentu było pomysłem właściciela firmy. Faktem jest, że dzięki cechom imiennym umieszczanym na wyrobach srebrnych udało się do chwili obecnej zidentyfikować trzy polskie orły pochodzące z pracowni Kanna. Pierwszy z nich, zapewne najwcześniejszy, jest godłem małych rozmiarów, przeznaczonym do zawieszania na kieszeni munduru. Tego typu orły noszone były już w początkowym okresie rewolucji lutowej jako oznaka naroduwa przez żołnierzy Dywizji Strzelców Polskich, a także przez Polaków pełniących służbę w pułkach rosyjskich. Drugi orzeł, umieszczony na czerwono emaliowanej tarczy kształtu zwanego w heraldyce szwajcarskim, używany był najprawdopodobniej w takim samym charakterze, a mocowano go do munduru za pomocą słupka gwintowanego z nakrętką. Oba orły wykonane są ze srebra, oznakowane cechami piotrogrodzkiego urzędu probierczego z literą „α” oraz imiennikiem „GK” (ГК).

Trzeci orzeł z pracowni Kanna jest zdecydowanie większy od pozostałych i został wyprodukowany zgodnie z rysunkiem oraz opisem załączonymi do rozkazu nr 540 z sierpnia 1917 roku. Produkowano go w wariantach podstawowym w czterech odmianach: z cyfrą „9”, „10”, „11” i „12” na emaliowanej tarczy wewnętrznej, co świadczy o tym, że był przeznaczony dla 3. Dywizji Strzelców Polskich, dowodzonej przez gen. Wacława Iwaszkiewicza, która w lutym 1918 roku przemaszerowała w trudnych warunkach zimowych ponad 400 km, tocząc krwawe boje z bolszewikami i dążąc na koncentrację I Korpusu w rejonie Bobrujska. Orły z tej serii wykonywane były z mosiądzu, a srebrzenie powierzchni

zastępowano niekiedy lakierowaniem. Użycie tanich technologii może świadczyć o tym, że Heinrich Kann wykonał orły na oficjalne zamówienie intendencji 3. Dywizji Strzelców. Z drugiej strony, ze względu na brak sygnatur na wyrobach mosiężnych, przez długi czas nie można było określić wykonawcy tej serii godeł. Udało się to dopiero ostatnio; znany jest obecnie jeden egzemplarz cechowany imiennikiem „GK”, wykonany ze srebra, zapewne na prywatne zamówienie.

### W nowym ustroju

Dwa polskie korpusy zostały w 1918 roku rozbrojone, jeden rozbity przez Austriaków i Niemców w bitwie pod Kaniowem. Część żołnierzy zabrała swoje orły do Polski, część – do nowych oddziałów, w których mieli walczyć na Murmanii, na Kubaniu, w Odessie czy na Syberii. Do dziś ocalały z rewolucyjnej zawieruchy nieliczne godła z piotrogrodzkich wytwórni; stanowią cenną i poszukiwaną ozdobę każdej kolekcji muzealnej czy prywatnej.

Heinrich Kann, w przeciwieństwie do swych niemieckich konkurentów, firm H. Moser i P. Bure, po upadku caratu pozostał nad Nową, w mieście, które za jego życia dwukrotnie zmieniło nazwę. Pracę zaczynał w Sankt Petersburgu, kontynuował w Piotrogradzie, a resztę życia przyszło mu spędzić w Leningradzie. Jego firma została zamknięta, ale zegarmistrz znalazł zajęcie w państwowej fabryce kamieni łożyskowych. Nie porzucił swej pasji i nie zrezygnował z pracy. W latach dwudziestych wydał dwie książki o historii sztuki zegarmistrzowskiej, a jego czterotomowa praca *Практическое руководство по часовому делу* (*Praktyczeskoe rukowodstwo po czasowomu dielu*, czyli praktyczny przewodnik zegarmistrzowski) po dziś dzień jest używana przez fachowców. Zmarł najprawdopodobniej w 1945 roku. 📌

Tomasz Zawistowski – autor pięciu tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1946*



# Zdobyczny arsenał AK

Michał Mackiewicz

W polskiej doktrynie militarnej dwudziestolecia międzywojennego nie przywiązywano należytej wagi do taktyki działań nieregularnych. Po kampanii wrześniowej należało tworzyć niemal od zera struktury konspiracji i uczyć się metod walki partyzanckiej w zasadzie od podstaw. Szczególnie dotkliwy był brak broni, bo jej składów zawczasu nie zabezpieczono i większość sprzętu wpadła w ręce Niemców i Sowieców. Polskiego przedwojennego uzbrojenia zebranego z pobojuwisk było zbyt mało, dlatego tak ważne okazały się inne źródła pozyskiwania broni.

Jednym z najistotniejszych źródeł byli nieprzyjacielscy żołnierze, funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa i rozlicznych wschodnich formacji kolaboranckich. Część broni kupiono na czarnym rynku, jednak jej ilość była stosunkowo niewielka. Z półrocznego meldunku organizacyjnego komendanta głównego Armii Krajowej z września 1942 roku dowiadujemy się: „Zakup broni i amunicji od npla [nieprzyjaciela], próbowany na całym terenie, daje dotychczas wyniki małe. W okresie sprawozdawczym uzyskano tą drogą kilka sztuk broni maszynowej piechoty i kilkadziesiąt karabinów i pistoletów”. Przed 1944 rokiem Niemcy dalekie były jeszcze od załamania, co znacznie ograniczało liczbę potencjalnych sprzedawców, w dodatku za utratę broni groziły surowe kary. Żołnierzom radzono przechowywać broń krótką w kieszeni, a nie w kaburze,

► Oddział powstańców warszawskich; na pierwszym planie żołnierz uzbrojony w zdobycznego niemieckiego mausera K98k kal. 7,92 mm



Fot. ze zbiorów MPW

co miało zminimalizować ryzyko kradzieży (zwłaszcza po pijanemu). Ponadto AK doświadczał chronicznego braku odpowiednich funduszy na zakupy. Wielokrotnie poruszano tę kwestię w korespondencji między Komendą Główną AK a Londynem, niestety bez większych rezultatów: „Gdy patrzymy, jak komuniści otrzymują olbrzymie ilości pieniędzy [to stwierdzenie wydaje się mocno przesadzone, Stalin krajowych komunistów zdecydowanie

nie faworyzował, a partyzantka GL/AL właściwie przez całą okupację borykała się z brakiem broni i amunicji], jak płacą za broń każdą cenę na rynku, doznajemy uczucia głębokiej goryczy z powodu zupełnego braku od was kredytów na ten cel. To, co możemy uzyskać z naszych oszczędności – to są drobniaki, za które nie można dokonać żadnej większej transakcji. Jesteśmy skutkiem tego zmuszeni do kupowania broni małymi partiami, a na- ►

wet pojedyncze sztuki z pierwszej ręki, a zatem drożej, i tym samym nie docieramy do dużych źródeł. Dodać muszę, że możliwości zakupu broni zwiększają się niemal z miesiąca na miesiąc” (meldunek gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” z lutego 1944 roku).

Zwiększała się także możliwość zdobyczy. Zbliżający się front sprawił, że w 1944 roku wschodnie tereny Polski zarojły się od nieprzyjacielskich formacji. Mniejsze i pozbawione doświadczenia bojowego oddziały drugorzutowe stanowiły łakomy kąsek dla polskiej partyzantki. Apogeum jej aktywności przypada na okres akcji „Burza”. Na przykład 27. Wołyńska Dywizja Piechoty AK tyl-

► W ręce polskiej partyzantki trafiała też broń włoska, np. pistolety maszynowe Beretta M1938A; posługiwał się nią m.in. Zbyszek Cybulski w niezapomnianym filmie Stanisława Lenartowicza *Giuseppe w Warszawie*

ko od 2 do 4 kwietnia 1944 roku zdobyła kilkadziesiąt karabinów maszynowych i peemów, 100 karabinów powtarzalnych i 4 moździerze. Zdarzało się, że łupem naszych żołnierzy padała broń cięższa, w tym działa i moździerze. Lawinowy wzrost zdobyczy nastąpił podczas Powstania Warszawskiego, kiedy to oprócz znacznej ilości broni strzeleckiej odebrano Niemcom m.in. dwa czołgi PzKpfw V Panther, działo samobieżne Hetzer i kilka armat, które następnie wykorzystano w walce.

### Empi, beretty i mausery

Mozaika wśród zdobyczy była ogromna. Niemcy poza bronią rodzimej produkcji używali ogromnych ilości uzbrojenia odebranego pokonanym armiom oraz wytwarzanego w fabrykach zbrojeniowych okupowanej Europy. Do tego dochodził sprzęt armii sojuszników, a więc włoskiej i węgierskiej, który także trafiał do polskich rąk. Z kolei wiele kolaboranckich formacji wschodnich było wyposażonych w broń produkcji radzieckiej. Peemy należały do najbardziej poszukiwanych rodzajów broni, zwłaszcza że przedwojenna armia się ich nie doczekała, a opracowany w warszawskiej Fabryce Karabinów MORS wz. 39 kal. 9 mm nie ukończył prób poligonowych i oficjalnie nie został przyjęty do uzbrojenia. „Oferta” okupanta była zaś bogata i różnorodna. Źródła pisane oraz archiwalne zdjęcia potwierdzają to, że żołnierze AK używali właściwie wszystkich wzorów peemów wykorzystywanych w Wehrmachcie, Waffen-SS i formacjach policyjnych. Najliczniej reprezentowany był MP (empi) 38/40, popularnie nazywany schmeisserem. Była to broń na owe czasy zupełnie nowatorska, produkowana w całości z metalu, zaopatrzona w składaną kolbę i magazynek dołączany prostopadle od dołu. Dostosowano ją do naboju 9 x 19 mm Parabellum. Schmeisser działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, a magazynek mieścił 32 naboje. Poza wzorami niemieckimi w podziemnym ar-

► Wśród cenionych zdobyczy był także Walther P38 kal. 9 mm, wprowadzony do uzbrojenia Wehrmachtu już w trakcie wojny i znacznie nowocześniejszy od słynnego Parabellum

senale spotykało się fińskie suomi M 31, radzieckie PPD obr. 40 oraz włoskie beretty M 38A i M 42. Zdarzały się także francuskie MAS Mle 38. Od 1944 roku popularne, zwłaszcza wśród oddziałów operujących na Kresach, były radzieckie pepesze (PPSz obr. 41). Z pozostałej broni wymienić trzeba przede wszystkim karabiny powtarzalne systemu Mausera – zwłaszcza Kar 98k – podstawową broń niemieckiego piechura w czasie



Fot. ze zbiorów MWVP

► Partyzanci AK na Nowogródzczyźnie, dobrze widoczny radziecki samopowtarzalny SWT-40, popularna „samozariadka”



Fot. ze zbiorów MWVP



Fot. ze zbiorów MWVP

► Załoga warszawskiej elektrowni w czasie powstania; obok stanowiska strzelca obsługującego przedwojenny polski cekaem systemu Brownin-ga akowiec z holenderskim karabinem Mannlicher M1895 kal. 6,5 mm, odebrany zapewne jakimś członkowi niemieckiej straży przemysłowej lub żołnierzowi jednej z licznych formacji pomocniczych; po wyczerpaniu zapasu amunicji, w naszych warunkach zupełnie nietypowej, broń stawała się bezużyteczna



Fot. ze zbiorów MPWP

II wojny światowej. Nie zabrakło konstrukcji radzieckich, włoskich i węgierskich. Spośród zespołowej broni maszynowej na pierwszym miejscu plasują się niemieckie MG 34 i 42. Oba są zaliczane do uniwersalnych karabinów maszynowych, dostosowane były do naboju 7,92 x 57 mm. Miały zasilanie taśmowe (taśma metalowa) i były chłodzone powietrzem. Opracowany w trakcie wojny MG 42 jest zaliczany do najlepszych konstrukcji epoki. Wyróżniała go duża, sięgająca 1200 strz./min szybkostrzelność, chociaż akurat w przypadku naszych partyzantów zaleta ta mogła być nieco problematyczna z uwagi na szczupłe zapasy amunicji i konieczność jej oszczędzania. Obecne były także wzory czeskie (np. erkaem ZB 26) i radzieckie (erkaem DP i cekaem Maxim obr. 1910), sporadycznie również węgierskie (Solothurn M 34).

### „Dziwiątki”, tłuczki i leciwe lebele

Spośród broni krótkiej najbardziej, rzecz jasna, ceniono pistolety wojskowe strzelające silną amunicją kal. 9 mm (np. niemieckie Parabellum) lub 7,62 (radzieckie TT, czyli popularna „tętka”). Licznie reprezentowane były granaty, zwłaszcza niemieckie „tłuczki do kartofli”, czyli Stielhandgranate 39, ale spotykało się także granaty węgierskie, włoskie i radzieckie.

Ten różnorodny arsenał znajduje potwierdzenie w raportach, sprawozda-

niach o stanie uzbrojenia i w partyzantskich relacjach. Jan Onoszko „Jacyna” i Czesław Linkowski „Tom”, żołnierze oddziału AK „Nerwy”, wspominali w książce *Armia Krajowa na środkowej i południowej Lubelszczyźnie i Podlasiu*: „Początkowo uzbrojenie nasze było dość liche i stanowiło – na oddział w sile plutonu – 1 rkm, kilka karabinów niemieckich, kilka Pm-ów (steny i niemieckie), parę rzutowych coltów i trochę niemieckiej broni krótkiej, zdobytej w akcjach na ulicach Lublina. Rozbrojenie obozu Baudienstu [służba budowlana] na ul. Wesołej w Lublinie w styczniu 1944 r. dało w efekcie kilkanaście starych karabinów francuskich typu Lebel, które tylko z pozoru wzmacniały naszą siłę ogniową. W rzeczywistości była to broń przestarzała, niepewna i z niewielką liczbą amunicji. Na broń rzutową nie mogliśmy liczyć, trzeba było ją zdobyć na wrogu”. Cóż, w obliczu nieustającego głodu broni, grzechem byłoby nie wziąć nawet francuskich lebeli, wyposażonych w archaiczny magazynek rurowy, długich na 1,3 m i zasilanych amunicją 8 mm karabinów, które uchodziły za przestarzałe już pod koniec XIX stulecia! 🇵🇵

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

► Niemiecki MP 40, najpopularniejszy, obok rzutowych angielskich stenów, peem polskiej konspiracji



Fot. ze zbiorów MWPP

# Relacje świadków, relacje ze świadkami

Anna Klimowicz

**Nagrane opowieści byłych więźniarek, mural na ścianie szkoły, a przede wszystkim trwałe relacje nastolatków ze świadkami historii – to wszystko można osiągnąć, jeśli zamiast wymagać recytowania suchych dat i nazwisk, zachęci się licealistów do poznawania historii od jej uczestników. Udalo się to w projekcie IPN „O tym nie można zapomnieć”, dzięki któremu młodzież nawiązała kontakt z byłymi więźniarkami Ravensbrück i łagrów sowieckich.**

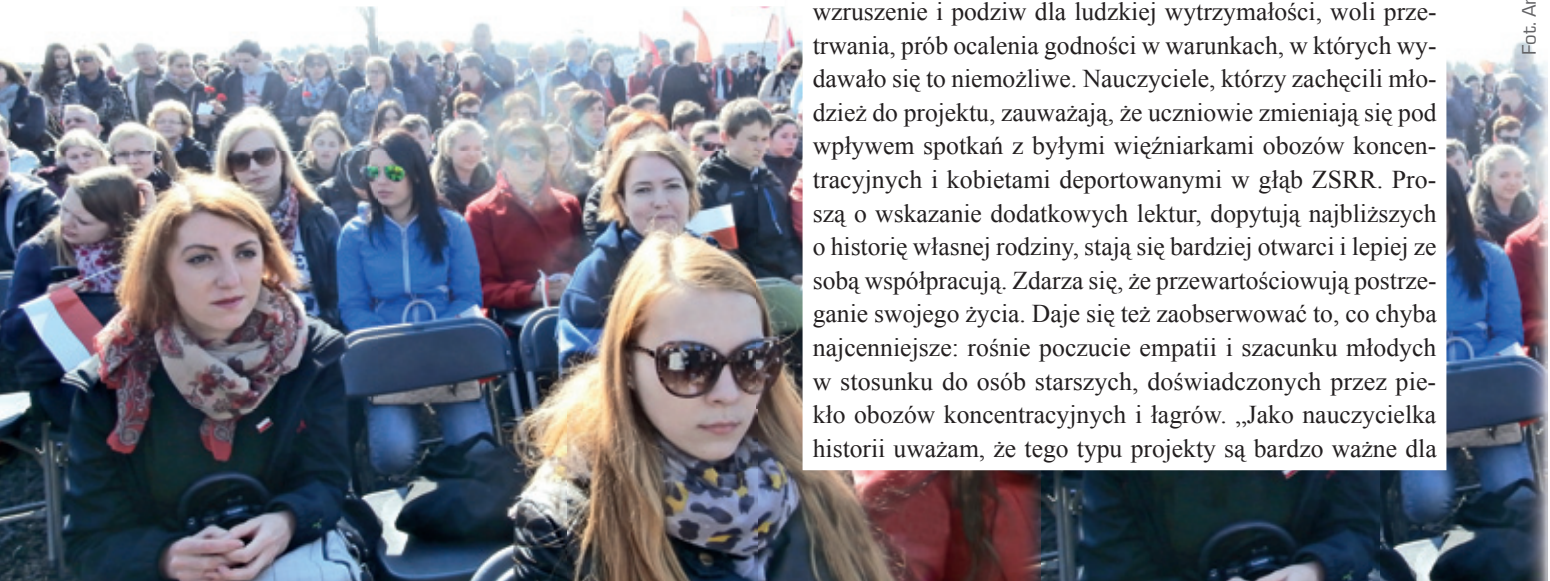
**B**ył marzec 2011 roku. Do Centrum Edukacyjnego IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” przyszły Hanna Nowakowska, prezes Fundacji na rzecz Kobiet „Ja kobieta”, i Elżbieta Sęczykowska, prezes fundacji Mecenat Sztuki. Zaproponowały zorganizowanie seminarium, podczas którego młodzież szkolna spotkałaby się z byłymi więźniarkami obozu w Ravensbrück. Przekonana, że jednorazowe spotkanie w zasugerowanej przez panie formule nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, zaproponowałam, że opracuję opis i harmonogram projektu edukacyjnego, który z pewnością okaże się bardziej efektywny. Opis projektu trafił do szkół ponadgimnazjalnych (wtedy tylko w województwie mazowieckim; od 2013 roku projekt obejmuje całą Polskę) jako oferta dodatkowych zajęć edukacyjnych. Jednocześnie nawiązałam kontakt z Fundacją Polsko-Niemieckie Pojednanie, by odnaleźć dawne więźniarki obozu w Ravensbrück, które byłyby gotowe podzielić się z młodzieżą wspomnieniami.

Na propozycję odpowiedziało jedenastu nauczycieli. Od edukatorów z IPN dostali scenariusze lekcji, które pomogły im znaleźć pomysły na poprowadzenie zajęć. Później, wraz z uczniami, którzy zgłosili się do projektu, wzięli udział w warsztatach przygotowujących do spotkań ze świadkami historii. Ekspertki z różnych dziedzin – historycy, psycholożki, reżyserzy filmów dokumentalnych, muzealnicy – udzielali rozmaitych wskazówek: od tego, jak reagować na skrajne niekiedy emocje, aż po sposób ustawienia kamery. Następnie uczniowie indywidualnie umówili się z byłymi więźniarkami obozów koncentracyjnych i sybiraczkami, by sporządzić notacje, czyli sfilmowane wywiady. Najciekawsze ich fragmenty były prezentowane podczas ogólnopolskiego spotkania finałowego. Zwieńczenie projektu to wspólny – uczestniczek historii, nauczycieli i młodzieży – wyjazd na uroczystości upamiętniające wyzwolenie obozu Ravensbrück i prezentacja zrealizowanego materiału filmowego przed publicznością międzynarodową.

## O totalitaryzmie z pierwszej ręki

Dzięki spotkaniom ze świadkami historii uczniowie mogą się dużo dowiedzieć o funkcjonowaniu systemu totalitarnego, zarówno tego w wydaniu niemieckim – opartego na nacjonalizmie i rasizmie, jak i komunistycznego, wywodzącego się z ZSRR – odwołującego się do komunizmu i pojęcia klasy. Uczniowie i nauczyciele, poznając losy poszczególnych kobiet – byłych więźniarek niemieckich obozów koncentracyjnych i radzieckich łagrów w czasie II wojny światowej, dowiadują się o warunkach życia uwięzionych i deportowanych, uczą się wykorzystywać relacje autobiograficzne świadków. Taki sposób pracy pozwala im przejść z abstrakcyjnego poziomu podręcznikowych danych statystycznych do poziomu losów konkretnej jednostki. Ponadto, przy okazji dokumentowania relacji świadków w formie notacji, uczniowie rozwijają umiejętność krytycznego podejścia do źródeł.

Rezultaty projektu to kilkadziesiąt już sfilmowanych wywiadów z kobietami, które doświadczyły okrucieństw II wojny światowej. Opowieści chwytające za gardło, budzące trwogę, wzruszenie i podziw dla ludzkiej wytrzymałości, woli przetrwania, prób ocalenia godności w warunkach, w których wydawało się to niemożliwe. Nauczyciele, którzy zachęcili młodzież do projektu, zauważają, że uczniowie zmieniają się pod wpływem spotkań z byłymi więźniarkami obozów koncentracyjnych i kobietami deportowanymi w głąb ZSRR. Proszą o wskazanie dodatkowych lektur, dopytują najbliższych o historię własnej rodziny, stają się bardziej otwarci i lepiej ze sobą współpracują. Zdarza się, że przewartościowują postrzeganie swojego życia. Daje się też zaobserwować to, co chyba najcenniejsze: rośnie poczucie empatii i szacunku młodych w stosunku do osób starszych, doświadczonych przez piekło obozów koncentracyjnych i łagrów. „Jako nauczycielka historii uważam, że tego typu projekty są bardzo ważne dla





młodzieży, gdyż pozwalają na skonfrontowanie wiedzy książkowej z rzeczywistością; umożliwiają im dotarcie do źródeł i zainteresowanie tematem. [...] Dla młodzieży projekt był niezapomnianą lekcją żywej historii, która uczy tolerancji, wrażliwości i zrozumienia drugiego człowieka” – napisała do nas Albina Rosłanowska, nauczycielka z Gimnazjum z Oddziałami Dwujęzycznymi nr 10 we Wrocławiu. Marcin Gogolewski, nauczyciel historii z Liceum Ogólnokształcącego w Komornicy, podkreśla z kolei, że początkowo dla uczniów z jego szkoły udział w projekcie był w dużej mierze pretekstem do legalnego zerwania się z lekcji, jednak spotkanie ze świadkiem historii coś w nich odmieniło. „Nadal utrzymują kontakt z tymi paniami, poprzez telefony itp. Myślę, że to pokazuje długofalowe skutki projektu, które zostawią ślad i zaprocentują w przyszłości. Odniosłem wrażenie, że ta abstrakcja, jaką były obozy, stała się dla nich bliższa. Wielu uczniów mojej szkoły, nawet niebiorących udziału w projekcie, a na przykład mieszkających we wspólnym pokoju w internacie szkolnym, zaczęło wertować książki i strony internetowe dotyczące Ravensbrück”. Innym przykładem poszukiwania kontaktu z uczestniczkami historii poza realizacją projektu było przedświąteczne spotkanie uczniów warszawskiego Gimnazjum nr 134 z byłymi więźniarkami Ravensbrück w towarzystwie osób zaangażowanych w projekt „O tym nie można zapomnieć”.

### Grafiki, mural, teatr

Projekt się wciąż rozrasta. Od roku szkolnego 2013/2014 biorą w nim udział przedstawiciele szkół z całej Polski. Kolejne zespoły zgłaszają własne pomysły. Dzięki zaangażowaniu Doroty Myśliwskiej, nauczycielki historii z LXIII LO im. Lajosa Kossutha w Warszawie, na zewnętrznej ścianie budynku szkoły w kwietniu 2014 roku został odsłonięty mural upamiętniający tragedię więźniarek KL Ravensbrück. Uczniowie tej szkoły regularnie organizują spotkania z byłymi więźniarkami, starając się zainteresować innych ich historią.

1 października 2014 roku – w przededniu 70. rocznicy zakończenia Powstania Warszawskiego – w siedzibie Centrum Edukacyjnego IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” w Warszawie Bogna i Michał Neumannowie, dzieci byłej więźniarki Ravensbrück Marii Hiszpańskiej-Neumann, przekazali Instytutowi Pamięci Narodowej prace swojej mamy: grafiki obozowe oraz reliefy z cyklu *Zamordowane miasto*. W czasie uroczystości goście obejrzeli kilka fragmentów wspomnień uczestniczek zrywu z 1944 roku, nagranych przez uczniów w ramach projektu. O Powstaniu można było później porozmawiać z jego uczestniczkami, które po upadku walk zostały wywiezione do Ravensbrück.

W 2014 roku Ewa Bednarczyk, polonistka z LXXXIII LO im. Emiliana Konopczyńskiego w Warszawie, usłyszała historię spektaklu *Noc wigilijna*. Tekst sztuki, znajdujący się w zbiorach lubelskiego Muzeum Martyrologii Pod Zegarem, napisała Zofia Pociłowska-Kann w czasie pobytu w obozie. Więźniarki z polskiego baraku po kryjomu wystawiły na jego podstawie przedstawienie w noc wigilijną 1943 roku. Nauczycielka, ani chwili się nie wahając, postanowiła wystawić sztukę z prowadzoną przez siebie grupą teatralną TESPIS. Premiera odbyła się 5 lutego 2015 roku w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia”. Rok później grupa teatralna potworzyła inscenizację w siedzibie warszawskiego Muzeum Niepodległości. To było kolejne nieplanowane wydarzenie związane z projektem. Oprócz tego w 2015 i 2016 roku wielu uczniów ze szkół biorących udział w projekcie wystartowało w ogólnopolskim konkursie „W kręgu poezji lagrowej więźniarek obozu KL Ravensbrück”.

W tegorocznej edycji projektu, która zakończyła się w maju 2016 roku, zadania zrealizowało 320 uczniów i 50 nauczycieli z 43 szkół w całej Polsce. 🍀

Anna Klimowicz – pracownik Sekcji Edukacji Wydziału Edukacji Historycznej Biura Edukacji Narodowej IPN, koordynatorka projektu „O tym nie można zapomnieć. Spotkania z kobietami, które przeszły piekło obozów i lagrów”

# Leguny na przepustce

Wojciech Sieroń

**Niewojenna gra o I wojnie światowej nienachalnie zaznaja graczy z realiami początku XX wieku.**

**K**rakowskie wydawnictwo Alter, wywodzące się ze środowiska historyków i rekonstruktorów, ma w swoim dorobku kilka nowoczesnych gier planszowych, popularyzujących naszą historię. *Przepustka* to próba stworzenia gry familijnej osadzonej w okresie końca Wielkiej Wojny. Bohaterami – na planszy – są znamienite osobistości z I i II Brygady Legionów, a narratorem opowieści (przynajmniej podczas zapoznawania się z regułami) jest sam marsz. Józef Piłsudski. Zawsze miałem wrażenie, że I Brygada jest rozpoznawalna lepiej niż inne formacje, dlatego ucieszyłem się, że w *Przepustce* zachowana pamięć o całości czynu legionowego.

## Jak użyć życia i wrócić na czas

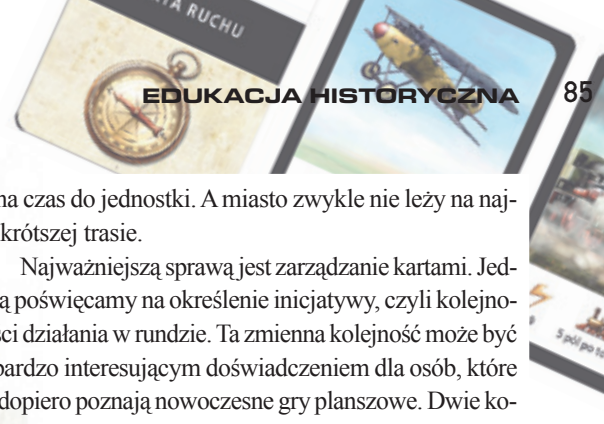
To nie jest gra wojenna. Nie będziemy uczestniczyć w bitwach legionistów – choć co nieco się o nich dowiemy – ani zamartwiać się o los polskich żołnierzy. Kanwą opowieści jest właśnie chwila przerwy w wojskowym życiu, owa utęskniona przepustka – na wyjazd i serdeczne spotkanie z rodziną, z narzeczoną. A czasem i na rubaszny wypad do wielkiego miasta. Taka tematyka nie powinna budzić kontrowersji wśród rodziców grających z młodszymi dziećmi, a jej oryginalność może zachęcić nawet doświadczonych pasjonatów gier wojennych do nowego, odświeżającego doświadczenia.

Każdy z graczy będzie odpowiedzialny za dwóch legionów (po jednym z każdej brygady), których musi bezpiecznie poprowadzić do najważniejszych miejsc na mapie oraz – co jeszcze istotniejsze – na czas zaprowadzić z powrotem do garnizonu. Bezpieczeństwo należy tu rozumieć jako unikanie zagrożeń ze strony lotnych kozackich patroli i żandarmów. Kozacy bezlitośnie grabią wojaków z części ekwipunku i furażu. Żandarmi – jak to żandarmi – nieufnie i nadzwyczaj dokładnie sprawdzają każdego podejrzanego, co oznacza stratę ruchu. W końcowej części gry, gdy tygodniowa przepustka wygasa, żandarmi stają się jeszcze groźniejsi – mogą zaaresztować, a to oznacza punkty ujemne.

Korzystając z ciekawego mechanizmu zagrywania kart (każdej można użyć na trzy sposoby), gracze starają się nie tylko jak najszybciej pokonywać kolejne etapy nietawnej podróży. Równie ważne jest zręczne zarządzanie ruchami Kozaków i żandarmów, którzy na swój sposób przeszkadzają dzielnym legionom w osiąganiu punktowanych celów. Każda karta podróży może zostać użyta do zdobycia inicjatywy, czyli pierwszeństwa ruchu w kolejnej turze. To niecodzienne rozwiązanie, które wymaga od graczy starannego przemyślenia możliwych zysków i strat, zwłaszcza podczas rozgrywki w pełnym, pięcioosobowym składzie. Aby decyzja była przemyślana, autorzy połączyli karty z najwyższą inicjatywą z tymi, które oferują najszybszą podróż. W ten sposób cały czas musimy podejmować niebanalne decyzje, czy ryzykować spotkanie z nieprzyjawnym Kozakiem lub żandarmem. Jeśli się uda ich uniknąć – a z biegiem rozgrywki jest to coraz trudniejsze – to taka mocna karta daje nam prawo do lotu aeroplanem, szybkiej jazdy pociągiem czy rejsu z biegiem rzeki. Ci, którzy nie mają żyłki ryzykantów, muszą częściej wędrować pieszo, kryjąc się po lasach przed nieprzyjemnymi niespodziankami. Oczywiście, tygodniowa przepustka (plus dodatkowe trzy dni nieco mniej legalnej podróży) wymaga zapewnienia sił. To trzecia funkcja kart. Jeśli nasz wojak zgłodnieje, to musi poświęcić kartę na zregenerowanie sił i uzupełnienie zapasów.

Tyle o mechanice gry, tej jej części, która decyduje o wrażeniach odbiorców, graczy. Mechanizm zarządzania karta-





mi jest prosty, ale decyzje nieoczywiste. Gwarantuje to przystępność gry dla każdego, także młodszych miłośników historii na planszy. Z drugiej strony zapewnia, że po pierwszych partiach nie będzie nudy i poczucia zmarnowanego czasu.

### Klimatyczna grafika

Plansza obejmuje szeroko rozumianą Galicję, Świętokrzyskie oraz tereny na południe od nich. Od Krakowa po Dobromil i od Zamościa po Munkacz. Grafika ma specyficzną kreskę, która mniej skupia się na wierności topograficznej, a więcej uwagi poświęca charakterystycznym miejscom. Podobnie są rysowane mapy turystyczne w popularnych przewodnikach. Dzięki temu zabiegowi całość nawiązuje do wydarzeń sprzed wieku. Początkowo nieco mylące jest nietypowe zorientowanie mapy, ale moim zdaniem dodaje to smaczku rozgrywce. Uzupełnieniem mapy są umieszczone na pionkach oryginalne wizerunki legionistów, sportretowanych na nowo w tym samym stylu. Miłośnicy historii początków XX wieku odnajdą dzięki temu inspirację do głębszego wczucia się w rozgrywkę.

Ważnym elementem gry jest odwiedzanie miejsc pamięci związanych z walkami Legionów. Każde z nich daje pierwszemu wędrowcowi premię punktową. A do tego w instrukcji znajdziemy opis wydarzeń związanych z tym miejscem. To kolejny element edukacyjny, który ta gra zręcznie przemycza między ruchami graczy. Innym są biogramy bohaterów. Każda postać ma w instrukcji wpis pozwalający przypomnieć sobie albo wręcz dopiero poznać jej historię. Wreszcie nie sposób pominąć kolejnego oryginalnego pomysłu – wplecenia pieśni legionowych w treść książeczki z zasadami. Znajdziemy tam piosenki zarówno najbardziej znane, jak i te nieco już zapomniane. Kto ma ochotę, może sobie w czasie gry podśpiewywać owe dziarskie, a czasem sentymentalne strofy, tak bliskie legionom.

### Ucieczka przed żandarmem

Gra dostarcza sporo emocji oraz pozwala na pewną dozę negatywnej interakcji, czyli szkodzenie przeciwnikom. Wydarzenia pojawiające się w grze z jednej strony przybliżają nam emocje tamtych czasów (kryzys przysięgowy, bitwa pod Gorlicami, dezercja Praskich Dzieci, rosyjski walec parowy), stając się przyczynkiem do edukacji historycznej. Z drugiej strony zmieniają w każdej rundzie jedną z zasad albo wymuszają pojawienie się na planszy kolejnych Kozaków czy żandarmów. Dzięki temu każda rozgrywka jest inna, bo w innej kolejności, w innych miejscach będą się dziać ważne dla naszych legionistów wydarzenia. Nagle i niespodziewanie obok naszego bohatera może się pojawić zagrożenie. Wizyta w mieście owocuje zdobyciem wartościowego ekwipunku. Może to być rewolwer, przydatny do obrony przed Kozakami, cywilne ubranie odwracające uwagę żandarmów czy inne towary luksusowe, dające cenne punkty na koniec gry. Należy jednak pamiętać, że podstawowym celem jest powrót

na czas do jednostki. A miasto zwykle nie leży na najkrótszej trasie.

Najważniejszą sprawą jest zarządzanie kartami. Jedną poświęcamy na określenie inicjatywy, czyli kolejności działania w rundzie. Ta zmienna kolejność może być bardzo interesującym doświadczeniem dla osób, które dopiero poznają nowoczesne gry planszowe. Dwie kolejne przypisujemy do naszych bohaterów, a ostatnią zachowujemy na następną rundę. Wszystko to robimy równocześnie i skrycie, aby przeniknąć plany oponentów i zrealizować swój wyjątkowy plan podróży. Im więcej osób gra (maksymalnie pięć), tym większa liczba graczy z wysoką inicjatywą może przemieszczać nieprzyjaznych żandarmów i Kozaków. Oczywiście, najczęściej ku pionkom innych osób, co wprowadza dodatkowy element emocji, ale też negocjacji – dla rodziców jest to okazja, by nienachalnie zwiększyć szanse młodszych dzieci.

Końcówka gry, ostatnie trzy z dziesięciu rund, jest szczególnie ciekawa. Żandarmi grożą punktami karnymi, a niedotarcie na czas do jednostki oznacza, że nasza zdobycz punktowa będzie o połowę mniejsza. Naprawdę czuje się wówczas nerwową krzątanie naszych legionistów, starających się na wszelkie sposoby pokonać ostatnie kilometry, nie bacząc już na możliwe atrakcje i przyjemności. Dobrze, że udało się dzięki mechanice gry wygenerować tyle angażujących akcji i sytuacji.

*Przepustka* to oryginalna, ciekawa, łatwa do nauczenia się gra planszowa. Zawiera pewną dozę materiałów edukacyjnych, które raczej są inspiracją do własnych poszukiwań niż samodzielny opracowaniem. Dzięki temu gra jest lekka, nieobciążona obowiązkiem uczenia się faktów historycznych. Zawarte w instrukcji biogramy, notki historyczne i fragmenty pieśni z tego okresu pozwalają rodzicom i nauczycielom na rozwinięcie potrzebnych w danej chwili wiadomości w ciekawą gawędę. Dość krótki czas rozgrywki pozwala na wykorzystanie gry na zajęciach edukacyjnych, a nietypowa tematyka odciąży zapewne tradycyjną, listopadowo poważną atmosferę świętowania sukcesów Legionów. ■

Wojciech Sieroń – nauczyciel, redaktor naczelny serwisu GamesFanatic.pl



# W obronie Antka Srebrnego

W numerze 5/2016 „Pamięci.pl” zamieściliśmy recenzję wydanej przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej IPN w Warszawie gry *Wojenna odyseja Antka Srebrnego*. Współautorki pakietu edukacyjnego odpowiadają na krytykę Wojciecha Sieronia.

## Mapa

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałam recenzję pana Wojciecha Sieronia dotyczącą pakietu edukacyjnego *Wojenna odyseja Antka Srebrnego*, opublikowaną w czasopiśmie „Pamięć.pl”. Jako współautorka jednego z jego elementów, a mianowicie puzzli, najbardziej zainteresowałam się tym fragmentem tekstu, który był poświęcony mapie przedstawiającej udział Polaków na frontach II wojny światowej. Zaczęło się dobrze, gdyż recenzent z entuzjazmem odniósł się zarówno do samego pomysłu, jak i do dużej liczby ciekawych ikonek zamieszczonych na mapie. Były to jednak miłe złego początki. Pierwszą sprawą, którą poddał krytyce, była strona techniczna wykonania puzzli, z powodu ich niestandardowego pocięcia. To nie podlega dyskusji. Na rewersie mapy znajdują się jednak archiwalne zdjęcia, których zresztą recenzent nie omieszkał pochwalić. Są one tematycznie powiązane z poszczególnymi



częściami komiksów. Nietypowe pocięcie puzzli było zatem koniecznością, która pozwoliła na sensowne wyodrębnienie tych zdjęć, a także na pracę w czteroosobowych grupach na zajęciach edukacyjnych. Cykl warsztatów przeprowadzonych w grupach głównych odbiorców pakietu, a więc uczniów szkół podstawowych, potwierdził, że takie rozwiązanie doskonale się sprawdziło. Uczniowie poradzili sobie z tym bez trudu – cel zatem został osiągnięty.

W dalszej części recenzent próbuje przekonać czytelnika, że chociaż pomysł mapy jest bardzo dobry – wykonanie tragiczne. Tętno przyśpiesza, a w głowie pojawia się myśl, jakie merytoryczne grzechy zaniedbania zostaną zaraz wyciągnięte na światło dzienne i jaka zasłona musiała spaść na oczy autorów mapy, że oddali do druku materiał o tak kompromitującej treści. I oto dowiadujemy się, że w południowo-wschodniej części Norwegii na mapie znajduje się mały, wyodrębniony, lecz nieopisany obszar. Na terenie naszego kraju w kontekście obrony Poczty Gdańskiej, widnieje – o zgrozo! – współczesne logo Poczty Polskiej. Dalej pojawiają się zarzuty, które pod względem merytorycznym są oczywiście słuszne (np. pojawienie się Serbii na mapie itp.), jednak w żadnym, nawet najmniejszym stopniu, nie dyskredytują mapy jako wartościowego materiału edukacyjnego, co zresztą zostało potwierdzone przez wielu nauczycieli podczas licznych warsztatów edukacyjnych.

Reasumując, po przeczytaniu tego fragmentu recenzji autorzy mapy mogli odetchnąć z ulgą. W tym nietłętym przedsięwzięciu, jakim jest pokazanie na jednej planszy działań polityczno-militarnych z sześciu lat w sposób zrozumiały dla młodego odbiorcy, który dopiero co rozpoczyna przygodę z historią, znalezienie paru mało istotnych niedociągnięć nie jest chyba niczym nadzwyczajnym, a już na pewno nie dyskwalifikującym. Założeniem mapy, jako integralnej części pakietu, było wyjście naprzeciw potrzebom uczniów szkół podstawowych, którzy dzięki niej mogli umiejscowić w przestrzeni (a ze względu na





odpowiednią kolorystykę mapy – także i w czasie) wydarzenia opisane w komiksach, prześledzić drogę, którą przeszedł bohater, a także przyswoić wiele ciekawych – i nieraz mało znanych – informacji dotyczących udziału Polaków w II wojnie światowej. I nawet jeśli uczeń na tej drodze znajdzie przez przypadek do Serbii lub też w niewłaściwym miejscu przekroczy granicę, to wiedza, którą zdobędzie dzięki analizie tej mapy, skutecznie złagodzi ból guza, którego być może nabije sobie, potykając się w tej wędrowce o współczesne logo Poczty Polskiej. 🇵🇱

Magdalena Duber – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Warszawie

## Gra

W związku z recenzją, która ukazała się w „Pamięci.pl”, chciałabym się odnieść do kilku kwestii. Autor, Wojciech Sieroń, wykonał dużą pracę, aby tak szczegółowo przyjąć się pakietowi *Wojenna odyseja Antka Srebrnego*, a przede wszystkim grze planszowej pod tym samym tytułem. Wartościową uwagą w stosunku do gry jest postulat, aby w przyszłości zmienić formę przyznawania odznaczeń Orderu Virtuti Militari i Krzyża Walecznych w czasie rozgrywki. Warto zaznaczyć, że każdy z uczestników może zdobyć takie odznaczenie, a nie tylko ten, który pierwszy dotrze na odpowiednie pole.

Jednakże z innymi zarzutami nie jestem w stanie się zgodzić. Wojciech Sieroń twierdzi, że głównym minusem gry jest jej mechanika albo raczej jej brak, ponieważ gra oparta na rzucie kostką nie zainteresuje odbiorców. Po pierwsze, pewne uściślenie – gra, podobnie jak i cały pakiet, jest przeznaczona dla dzieci i „młodszej młodzieży” w wieku 8–13 lat (uczniów szkoły podstawowej). Rozumiem, że starsi „planszówkowicze” nudzą się przy grze wykorzystującej tylko rzut kostką, jednak pamiętajmy, dla kogo jest ona przeznaczona. Dziesięcioletnie dzieci nie zaciekawiają się grami w stylu amerykańskim, w których fabuła i mechanika są bardzo rozbudowane, a samo rozłożenie elementów trwa kilkanaście minut. Dlatego uważam, że argument o zbyt prostej mechanice jest bezzasadny. Gra i tak jest rozbudowana: uczestnicy muszą rozłożyć różnorodne żetony, pamiętać o polach specjalnych, polach związanych z wydarzeniami. Gdyby dorzucić do tego jeszcze skomplikowaną mechanikę, gra nie byłaby dostosowana do odbiorcy, a z pewnością odciągałaby jego uwagę od kwestii najważniejszej, czyli od informacji historycznych. Te zaś zostały w sposób przemyślany rozmieszczone w całym pakiecie między wszystkimi jego elementami. Komiksy miały za zadanie zaciekawić odbiorcę, gra dostarczyć wiedzy historycznej, a puzzle uzupełnić ją o dodatkowe elementy i pozwolić umiejscowić dzieciom wszystkie opisywane zdarzenia na mapie. Jeszcze raz podkreślam, że wytrawnego „planszówkowicza” może znudzić tzw. ściganka czy gra typu *roll-and-move*, ale to nie dla takich odbiorców tworzyliśmy pakiet. Gry tradycyjne są wciąż popularne wśród najmłodszych.



Drugi zarzut pana Wojciecha Sieronia dotyczy kart z wydarzeniami. I w tej kwestii muszę wrócić do celu, w jakim powstała ta gra. Pakiet *Wojenna odyseja Antka Srebrnego* nie jest zwykłym gadżetem, grą, która ma tylko dawać rozrywkę, pozwolić na miłe spędzenie czasu w gronie przyjaciół. Tworząc pakiet, myśleliśmy o dzieciach w wieku szkolnym, ale pamiętając o perspektywie nauczyciela, tak aby i on mógł wykorzystać nasz pakiet do zajęć z uczniami. Dlatego gra *Wojenna odyseja...* nie mogła być tylko rozrywką, ale musiała ze sobą nieść wartość edukacyjną. I tak naprawdę jest drugą grą IPN, po *ZnajZnak*, która informacje historyczne zawiera w sobie, a nie w dołączonym opracowaniu (tak jak w przypadku *Kolejki* czy gier lotniczych). Rozumiem, że uczestnicy gry nie zawsze czytają opisy znajdujące się na kartach wydarzeń. Choć zachęcamy do tego w instrukcji, to nie jest to konieczne do rozgrywki. Jednakże wystarczy, aby uczniowie, wchodząc na dane pole wydarzeń, użyli jego nazwy, aby przyswoili pewne pojęcia, nazwiska, które z czasem będą kojarzyć z odpowiednimi wydarzeniami historycznymi. Przecież większość uczniów szkoły podstawowej nie zna nazwiska gen. Władysława Andersa czy terminu „łagier”, a jeśli po *Wojennej odysei...* je zapamięta, to już będzie to sukces edukacyjny. Ponadto karty mogą być wykorzystywane poza grą – jako pomoc edukacyjna w czasie zajęć. Na przykład w taki sposób: uczniowie losują karty, zastanawiają się, do jakiej kategorii pasuje ich karta (np. okupacja niemiecka, okupacja sowiecka, powstanie Armii Polskiej w ZSRR itd.), a następnie ustawiają się w różnych częściach klasy, które odpowiadają poszczególnym kategoriom.

Kolejny zarzut odnosi się do instrukcji. W tym wypadku wystarczy skonfrontować recenzję z instrukcją. Alternatywne drogi są opisane jako „skrót” i „...obejścia”! A więc niektóre alternatywne drogi będą miały mniej pól niż droga podstawowa, a inne będą tylko obejściem niebezpiecznych miejsc.

Wojciech Sieroń ma wątpliwości co do Przysuchy. Chciałabym zapytać, czy twórcy gry popełnili błąd, umieszczając ją na planszy? Czy Przysucha nie leżała w granicach II RP? Błędu historycznego nie ma, a twórcy mają to szczęście, że mogą ▶

umieścić na swoim produkcie te elementy, które sami uznają za stosowne. W tym wypadku umieszczenie tej miejscowości miało zaintrygować odbiorcę, tak jak zresztą zaintrygowało pana Sieronia. Szkoda tylko, że tym razem nie sprawdził tak wnikliwie historyczności tego miejsca: to przecież miejsce, w którym doszło do ostatecznego rozbicia 81 pp Strzelców Grodzieńskich, którego odznaka – z racji pochodzenia głównego bohatera, Antka Srebrnego – jest jednym z trofeów gry.

I na koniec jeszcze kilka refleksji z dziedziny edukacji, ponieważ pakiet w zamierzeniu miał służyć nie tylko domowej rozrywce, lecz także wykorzystaniu w czasie zajęć lekcyjnych. Warsztaty na podstawie pakietu *Wojenna odyseja Antka Srebrnego* były najpopularniejszymi warsztatami, jakie pracownicy OBEP IPN w Warszawie prowadzili w 2016 roku. Niektóre z zamawianych warsztatów musiały zostać przesunięte na kolejny rok szkolny ze względu na niewielkie możliwości kadrowo-logistyczne. Na potwierdzenie tych słów przytoczę kilka wypowiedzi nauczycieli uczestniczących w warsztatach.

„Poprzez grę planszową można uczyć historii II wojny światowej, a puzzle ułożyliśmy na kółku, po czym rozsypaliśmy, aby ułożyć drugą stronę i wreszcie, wbrew prośbom o ponowne układanie oprawiłam je i służą mi jako pomoc edukacyjna do fantastycznego tematu o Polakach na frontach II wojny światowej!!! Lepszej nauki nie można sobie wyobrazić!! Od teraz każde puzzle, każda gra jest czy będzie wyczekiwana przez uczniów. Oczywiście nie zastąpi podręcznika, ale jest świetnym uzupełnieniem, rodzajem wizualizacji. Nauką mapy. Szczerze mówiąc, nawet mapa, której mi na początku brakowało, jej nieobecność okazała się korzyścią dla wszystkich, bo tylko zmuszała do większego wyłączenia uwagi. No, dla słabszych czy bardziej leniwych można dołączyć. Naklejki służą jako nagroda za aktywność, pracę na zajęciach dodatkowych. Można by dołączyć opis tych odznak formacji wojskowych, ale to też jest forma zmobilizowana uczniów do szukania informacji. No, i sama forma zewnętrzna, stylizowana na skrzynkę amunicyjną, jest pomysłem pierwsza klasa, z górnej półki. Do tego odznaka orła w pudełku po zapalniczkach – cały zestaw gadżetów, które są tak przez dzieci lubiane. Jestem naprawdę pod ogromnym wrażeniem i wiem, że każdy z moich znajomych nauczycieli, a także osób spoza oświaty, które się z tym pakietem zetknęły, wyraża podziw dla pomysłu i pracy włożonej w jego przygotowanie. W ten sposób bardzo podwyższacie poprzeczkę innym, którzy mogliby czy chcieli oferować coś dzieciom w tematyce pomocy do nauki historii w szkole podstawowej. Jest to najlepsza odpowiedź na walkowany od lat i stale jałowy temat »aktywizujące formy nauczania«.

**Małgorzata Niwińska** – nauczycielka SP w Gdańsku

„Zajęcia skierowane do uczniów VI klasy okazały się trafionym pomysłem, o czym świadczyło ogromne zainteresowanie oraz wielkie zaangażowanie uczestników w trakcie ich trwania. Organizacja zajęć warsztatowych ma głęboki sens, ponieważ w interesujący, nowoczesny sposób zapoznaje uczniów z trudnymi losami Polaków i wydarzeniami II wojny światowej, pozwalając wczuć się w łęki, ale też sukcesy młodego bohatera – Antka, z którym uczniowie chętnie się identyfikują. Mamy nadzieję, że kolejne grupy naszych uczniów będą mogły wziąć udział w tak ciekawym doświadczeniu”.

**Lucyna Grzybowska, Aneta Włodkowska** – nauczycielki historii w Szkole Podstawowej nr 342 w Warszawie

„Jak wiadomo, najlepiej przyswaja się wiedzę podczas zabawy. Taką też formę miały warsztaty. Wykorzystane zostały ciekawe pomoce. Wielkim zainteresowaniem cieszyła się gra planszowa *Wojenna odyseja Antka Srebrnego*. Dodatkową motywacją dla uczestników były przyznawane nagrody. Zadowoleni uczniowie jeszcze następnego dnia opowiadali o lekcji, pokazywali zdobyte naklejki. Ja, jako nauczyciel historii, stwierdzam, że uczniowie znacznie poszerzyli swoją wiedzę z zakresu II wojny światowej, świadczą o tym bardzo dobre oceny ze sprawdzianu. Zestaw, który otrzymałam, wykorzystuję na zajęciach w klasie VI. Ogromnym zainteresowaniem uczniów cieszą się komiks, które czytane są nawet podczas przerw”.

**Ewa Piotrowska** – nauczyciel w SP im. Mikołaja Kopernika w Radzanowie

O komentarz na temat pakietu poprosiliśmy także Agnieszkę Sas, doradcę metodycznego m.st. Warszawy, pracownika Wojewódzkiego Centrum Innowacji Edukacyjno-Społecznych i Szkoleń, specjalistę od nauczania w szkołach podstawowych.

„Gra planszowa *Wojenna odyseja Antka Srebrnego 1939–44* wraz z komiksami i tematycznie związane z nią puzzle stanowią dobry materiał do wykorzystania w praktyce szkolnej w II etapie edukacyjnym. Gra nadaje się nie tylko do wykorzystania wg zasad określonych w instrukcji (w tej wersji przede wszystkim na zajęciach z mniejszą grupą), ale także do pracy z całą klasą (nawet ponadtrzydziestoosobową). Daje możliwość, by aktywizować uczniów, którzy dzięki niej zdobywają wiedzę na temat wybranych zagadnień II wojny światowej. Stwarza możliwość, by utrwaląc pojęcia odległe od uczniowskich doświadczeń, np. »deportacja«, »łagier«. Pozwala ćwiczyć trudne w praktyce szkolnej kategoryzowanie. Bawiąc się np. w memo-karuzelę, szukanie pary, licytując lub poprzez burzę mózgow, młodzi ludzie mogą realizować zagadnienia z podstawy programowej, ale także poszerzyć wiedzę. Gra, puzzle są entuzjastycznie odbierane przez dzieci, które w formie lekkiej przyswajają poważane treści. Materiały edukacyjne w takiej postaci są także atrakcyjne dla nauczycieli, którzy zyskują propozycję pracy bez podręcznika. W sytuacji obecności w szkole dzieci młodszych mają także okazję, by pracować na konkretach, wizualizować przeszłość”.

Zdanie specjalistów, nauczycieli, a także samych uczniów jest najlepszym dowodem na to, że cele edukacyjne przyświecające *Wojennej odysei Antka Srebrnego* zostały spełnione.

PS Pomimo wysokiej ceny (powyżej 100 zł) pakiety *Wojenna odyseja Antka Srebrnego 1939–1944* sprzedają się dobrze i cieszą się cały czas dużym zainteresowaniem klientów (dotychczas sprzedano 700 sztuk). Zaprezentowana w poprzednim numerze recenzja p. Wojciecha Sieronia była i jest jak dotychczas jedynym głosem krytycznym, jaki dotarł do twórców gry (zarówno ze strony mediów, jak i użytkowników – czyli nauczycieli). Pozostaje mieć nadzieję, że ta niereprezentatywna recenzja nie wpłynie na zmniejszenie zainteresowania odbiorców. 🍀

**Anna Obrębska** – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Warszawie

# Mroczna historia „Jasnego Domu”

Katarzyna Dzierzbicka

W warszawskiej dzielnicy Włochy, tuż przy stacji kolejowej, stoi nowoczesna kamienica z początku lat trzydziestych ubiegłego wieku. Willa „Jasny Dom” przy ul. Świerszcza 2, mimo swojej pogodnej nazwy, budzi grozę. Po wojnie mieścił się w niej areszt śledczy Informacji Wojskowej, przez który od stycznia do października 1945 roku przeszło ponad tysiąc polskich patriotów.

**K**amienicę zwiedziłam na początku stycznia na zaproszenie Fundacji „Willa Jasny Dom”. Mimo łagodnej zimy – tego dnia słupek rtęci pokazywał kilka stopni powyżej zera – w piwnicach budynku panował przenikliwy chłód. Po celach oprowadzała nas spadkobierczyni przedwojennych właścicieli domu, Marlena Piekarska-Olszówka. – Żadna ➤



instytucja nie ma pełnej dokumentacji tego miejsca – podkreśliła na wstępie.

Od maja 1936 roku kamienica przy ówczesnej ulicy 11 Listopada (dziś Świerszcza 2) należała do Józefa Kasperkiewicza, notariusza z Pabianic, który odkupił ją od pierwszego właściciela, burmistrza Włoch Franciszka Kostecznego. Cztery lata później notariusz z całą rodziną przeprowadził się do podwarszawskiej miejscowości. W czasie II wojny światowej, najbardziej znanym lokatorem willi „Jasny Dom” był „ojciec polskiego lotnictwa” prof. Czesław Witoszyński – konstruktor maszyn lotniczych, współzałożyciel Politechniki Warszawskiej i Instytutu Aerodynamicznego w Warszawie.

### Drzewa kryjące więźniów

Po wkroczeniu Sowietów do Warszawy Józef Kasperkiewicz otrzymał nakaz natchmiastowego opuszczenia budynku. Dokument podpisał komendant wojenny miasta Włochy, mjr Puszkow. W lutym 1945 roku willę zajęł Główny Zarząd Informacji Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. Nietrudno się domyślić, dlaczego wybrał właśnie taką lokalizację. Kamienica, która nie uległa zniszczeniu w czasie II wojny światowej, była położona blisko torów kolejowych, tuż obok niej znajdował się rozległy park, a wokół domu rósł sad. Drzewa zasłaniały więc podjeżdżające od strony podwórka samochody z więźniami.

Szefem aresztu śledczego został Rosjanin Josif Cwirko. Do pracy w kamienicy przy Świerszcza 2 zostali odelegowani sowieccy funkcjonariusze Smiersz (od rosyjskiego *śmier szpionam* – śmierć szpiegom) i NKWD. W pobliżu „Jasnego Domu”, przy ul. Cienistej 14, kwaterował zastępca ludowego komisarza spraw wewnętrznych ZSRR Iwan Sierow, a pod numerem 16 przy tej samej ulicy mieścił się areszt NKWD, w którym więziono w marcu 1945 roku szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego.

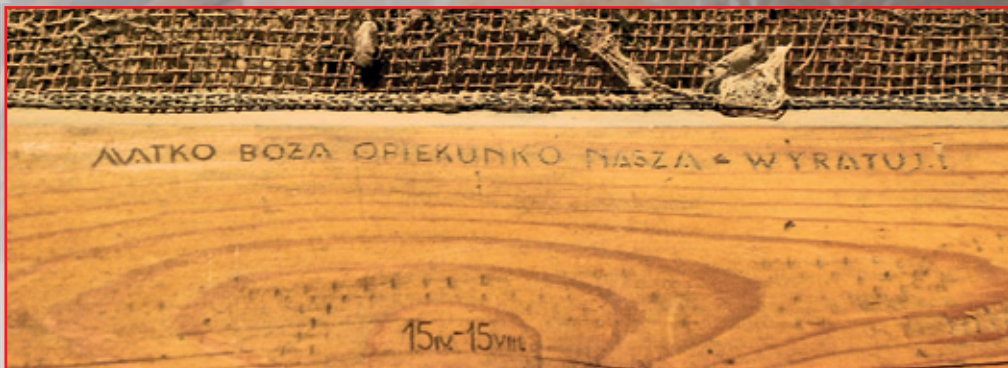
W piwnicach „Jasnego Domu” znajdowały się 22 cele, w tym dwa karcery, a na

piętrze pokoje przesłuchań i pomieszczenia biurowe. Jednorazowo, w nieludzkich warunkach, przetrzymywano w areszcie do stu pięćdziesięciu więźniów. W celi przebywało nawet trzydzieści osób, które spały na betonowych podłogach wyłożonych słomą. „Jak kładliśmy się spać, to odwracaliśmy się na komendę, bo nie było miejsca” – wspominał były więzień aresztu śledczego, Ludwik Molik. W karcerach pod schodami wyprostować można się było jedynie przy drzwiach. Według byłej więźniarki Aliny Kosińskiej, w jednym z nich przebywały tylko kobiety. Większość cel nie miała okien, a jeśli miały, to były zasłonięte workami

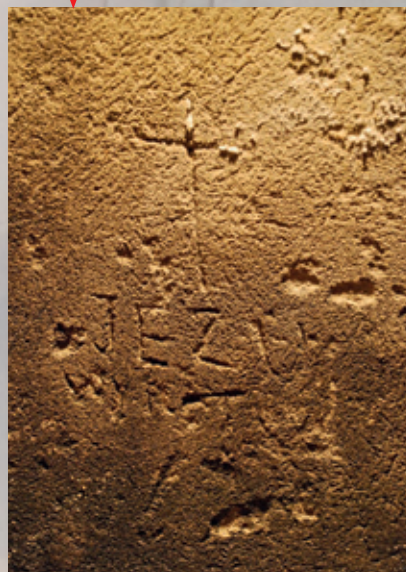


z piaskiem. W zimie w piwnicach panował przeraźliwy chłód, a latem trudny do zniesienia upał. Przez całą dobę w celach paliły się duże żarówki, które w lecie dodatkowo ogrzewały pomieszczenie. W niektórych ścianach znajdowały się tzw. przebitki, czyli świetliki, przez które więźniowie wymieniali się informacjami. Posiłki, które stanowiła kromka chleba i porcja kaszy jaglanej lub rozgotowanych otrąb zbożowych, podawano przez otwór wycięty u góry drzwi. Więźniom dokuczały wszy i pluskwy. Nie było wody do mycia ani możliwości wyjścia z cel, aby załatwić potrzeby fizjologiczne.

Do aresztu śledczego przy Świerzcza 2 trafiali członkowie Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, później także żołnierze ludowego Wojska Polskiego uznani za „przestępców politycznych”. Pozostawali w nim do wydania wyroku przez sąd wojskowy lub zwolnienia. Część więźniów skazano na karę śmierci, którą na mocy decyzji Bolesława Bieruta zamieniono na długoletnie więzienie. Ci, którzy przeżyli sowiecką katorgę, wspominają, że odgłosy kaźni z górnych pięter słyhać było w dzień i w nocy. Przesłuchania trwały nawet do dwudziestu godzin. Więźniom wyrywano paznokcie, bito ich po całym ciele, łamano ręce i nogi. „Byłem bity po karku i tętnicy szyi kantem prostej dłoni, również polanem drzewa, które leżą pod piecem. Innych bito naganem w twarz, wybijano zęby. Na ogół wszystkim bito po twarzy i kopy. Zabawa taka mogła trwać godzinę, dwie i więcej. Bicie doprowadzało do tego, że ludzie wychodzili z badań czarni od bicia” – cytuje zeznania jednego z więźniów Sławomir Kalbarczyk w artykule Z „Czarnej księgi” komunizmu. NKWD i „Informacja” Wojska Polskiego w podwarszawskich Włochach w 1945 r. W tym samym artykule autor przytacza również zeznania kpr. Wojciecha Gutry: „W naszej celi w maju był ppłk [Edward] Pisula, który zapadł na bardzo ciężką biegunkę i chyba na nią zmarł, bo zabrano go z celi w bardzo złym stanie, gdyż nie mógł chodzić”. Jak pisze Sławomir Kalbarczyk, więź-



niowie zapamiętali dwóch najbardziej sadystycznych oficerów śledczych – kpt. Pawła Smolikowa i kpt. Konstantego Spierańskiego. O cierpieniach ofiar Informacji Wojskowej świadczą znajdujące się na ścianach cel napisy. Jeden z więźniów w karcerze tuż nad podłogą wyrył znak krzyża i przejmujące wezwanie: „Jezu wyratuj”. Na poprzecznej belce drzwi tego samego karceru widnieje prośba: „Matko Boża, Opiekunko na-



sza – wyratuj”. – Boję się pomyśleć, że ktoś mógł tu siedzieć cztery miesiące – mówi Marlena Piekarska-Olszówka. Na drzwiach drugiego karceru wyryty jest maleńki, bo mający zaledwie 3,5 na 3 cm szkic willi i jej najbliższych okolic. – Może miał służyć jako plan na wypadek ucieczki z aresztu? – zastanawia się nasza przewodniczka.

Właściciele kamienicy poznali dwie osoby, które były więzione w katowni: wspomnianych już Alinę Kosińską z domu Górską „Kałę” i nieżyjącego dziś Ludwika Molika „Tomigana”, żołnierza Armii Krajowej, którego nazwisko jest wyryte na ścianie jednej z cel. – Kiedy ▶



pan Molik przybył do naszego mieszkania, usiadł i się zasepił. Mąż zapytał, czy coś się stało, czy się źle czuje. Pan Molik spojrział na piec kaflowy. „Nic się nie dzieje, tylko ja się od tego pieca odbijałem podczas przesłuchań”, odpowiedział – wspomina Marlena Piekarska-Olszówka. Pytana, jak się mieszka w lokalu, w którym był pokój przesłuchań, mówi: – Żyje się ze świadomością przeszłości, ale też z ogromnym szacunkiem do ofiar.

W latach pięćdziesiątych willę „Jasny Dom” przejęła Rejonowa Komenda Uzupelnień Wojska Polskiego, a następnie budynek przeszedł pod zarząd miejski, który umieścił w nim lokatorów komunalnych. Spadkobiercy odzyskali dom dopiero w 1992 roku, wraz z lokatorami, z których część stanowili oficerowie ludowego Wojska Polskiego. Ci, mimo przedstawienia ewidentnych dowodów, zaprzeczali istnieniu katowni w piwnicach. – Jest grupa ludzi, która mówi, że należała do AK, a która z różnych powodów twierdzi, że to miejsce jest nieprawdziwe. Że dla chwały, poklasku i pieniędzy wydrapałyśmy z mamą te napisy. Sama sobie gratuluję wiedzy historycznej, że potrafiłam wydrapać nazwiska, które potem zostały potwierdzone w dokumentacji moskiewskiej. Ale na to ci ludzie też mają odpowiedź – zarzucają mi znowę z IPN – opowiada Piekarska-Olszówka.

### Napisy pod gazetami

Willi „Jasny Dom” prawdopodobnie kryłaby tajemnicę do dziś, gdyby nie przypadek. Jak wspomina właścicielka, 11 listopada 2000 roku zeszła wraz z mamą do piwnicy, aby pożyczyć węgiel od jednej z sąsiadek. Pomieszczenie było wyłożone gazetami, które w kilku miejscach zaczęły się już odklejać. Pod jedną z nich ukazał się napis „Bóg, Honor, Ojczyzna”, a pod kolejną nazwisko powojennego twórcy koncesjonowanej przez komunistów katolickiej organizacji PAX – Bolesława Piaseckiego.

O odkryciu właścicielki powiadomiły Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej, której pracownicy 20 grudnia 2000 roku potwierdzili istnienie w tym miejscu aresztu śledczego Informacji Wojskowej. – Ten dom był brakującym ogniwem. Instytut Pamięci Narodowej wiedział, że blisko kolei, gdzieś w podwarszawskiej miejscowości takie miejsce istniało, tylko nie można było go zlokalizować. Dzięki temu przypadkowemu odkryciu to się udało – mówi Piekarska-Olszówka. Odsłonięte zostały kolejne napisy, także na drzwiach cel. Część z nich była w języku rosyjskim. Oprócz inskrypcji w piwnicach odnaleziono liczne rysunki (kotwicę Polski Walczącej, przedstawienia krzyża, serce, słońce, itp.), orzełka ludowego Wojska Polskiego i fragment aluminiowego krzyżyka. Do dziś, po wyprowadzce kolejnych lokatorów, w dawnych celach odkrywano nowe inskrypcje: nazwiska więźniów, kalendarze, rysunki. – Nie wykorzystano



możliwości nakazów prokuratorskich, żeby tych lokatorów, którzy nie chcieli udostępnić piwnic, do tego zmusić. Wiedzano, że coś tu było, domyślano się, że takie napisy mogły jeszcze w tych piwnicach pozostać, ale nikt tego nie sprawdził – mówi z żalem pani Marlena. Właściciele kamienicy dopiero od trzech lat mają swobodny dostęp do wszystkich pomieszczeń piwnicznych. Spadkobierczyni willi „Jasny Dom” otrzymała z IPN ponad 2,5 tys. stron dokumentów, w tym ankiety więźniów aresztowanych w katowni. Część z nich jest wyeksponowana na otwartej w piwnicach willi w październiku ubiegłego roku skromnej wystawie „Krzyk murów”. Dodatkowo element wystawy



stanowią depozyty przekazane przez za-przyjażnione stowarzyszenia i fundacje.

→ W marcu 2006 roku na kamienicy odsłonięto tablicę pamiątkową, a trzy lata później piwnice zostały wpisane do rejestru zabytków (miejsce martyrologii, nr rej. A-874). Wojewódzka konserwator zabytków Barbara Jezierska zapowiadała dofinansowanie na ochronę zachowanych napisów. „Wpis do rejestru daje podstawę do sfinansowania przez miasto konserwacji tych cennych pamiątek” – obiecywała. Dopiero jednak w 2010 roku na mocy decyzji stołecznej konserwator zabytków Ewy Nekandy-Trepki zrealizowano pierwsze i dotąd jedyne prace konserwatorskie. Uznano wtedy, że ściany cel są zachowane w dobrym stanie, więc nie wymagają dodatkowego zabezpieczenia, a dzięki pieczy właścicieli budynku nie grozi im dewastacja. – Żadna instytucja nie wyszła do nas z propozycją czy podpowiedzią, nie zgodziła się nas wesprzeć, nawet jeśli chodziło tylko o opracowanie historyczne. Przez dwanaście lat występowałam z pismami jako prywatni właściciele i ciągle słyszeliśmy, że nikt nie będzie łożył na prywatną własność – mówi pani Marlena. Piwnice katowni przy Świerszcza 2 przetrwały i są chronione tylko dzięki godnemu podziwu uporowi i zaangażowaniu właścicieli willi. Ale część tego, co nie zostało świadomie zniszczone przez poprzed-



nich lokatorów, niedługo może zniknąć z powodu wilgoci i grzyba pojawiającego się na ścianach karcerów.

Dziewięć z 22 piwnic byłej katowni Informacji Wojskowej jest, po uprzednim zgłoszeniu, udostępnianych zwiedzającym. W pozostałych nic się nie zachowało. Nie wiadomo, czy napisy nie zostały celowo zniszczone przez dawnych lokatorów. – Być może pod tymi tynkami znajdują się jeszcze jakieś ślady, ale nie ma w Polsce takich instytucji, które zechciałyby takie badania przeprowadzić. Ja nie jestem historykiem, ja to robię z serca, ale nie wiem, czy to robię fachowo – zastrzega Piekarska-Olszówka. Pomoc konserwatorska jest także niezbędna, aby zachować coraz słabiej już widoczne napisy na tynkach.

W styczniu 2013 roku z inicjatywy właścicieli kamienicy powstała Fundacja „Willa Jasny Dom”, której celami są pielęgnowanie pamięci o polskich patriotach i krzewienie świadomości historycznej Polaków. W dawnych kazamatkach organizowane są prelekcje, spotkania z historykami i pokazy filmów. 📌

Katarzyna Dzierzbicka – dziennikarka, licencjonowana przewodniczka po Warszawie

Autorką wszystkich zdjęć jest Katarzyna Dzierzbicka





Fot. ze zbiorów Muzeum Katyńskiego

# Artefakty katyńskie

Ewa Kowalska

Zbiory Muzeum Katyńskiego to kopalnia wiedzy o zbrodni Sowiec na polskich oficerach w 1940 roku. Znajdujące się w tej kolekcji listy jednego z polskich lekarzy wojskowych obalają rosyjską propagandę „anty-Katynia”.

**M**uzeum Katyńskie – Oddział Muzeum Wojska Polskiego zostało tymczasowo otwarte w 1993 roku w kazamatach dziewiętnastowiecznego rosyjskiego Fortu Czerniakowskiego przy ul. Powsińskiej 13 w Warszawie. Po dwukrotnej zmianie siedziby znalazło w 2015 roku swój dom w kaponierze na terenie cytadeli warszawskiej. Muzealia, które trafiły do jego zbiorów, stanowią relikwie narodowe i zarazem dowody zbrodni popełnionej przez okupantów radzieckich na narodzie polskim. W jego zasobach znajdują się przedmioty wydobyte w Katyniu, Miednoje, Charkowie oraz Bykowni z grobów pomordowanych polskich oficerów, policjantów, więźniów obozów specjalnych i miejsc odosobnienia NKWD. Uzupełniają je liczne dary i depozyty od rodzin ofiar. Zbiory muzeum, jako instytucji żywej, odwiedzanej zarówno przez rodziny zamordowanych, jak i przez innych świadków prawdy o Katyniu, nieustannie się powiększają, służąc wypełnianiu misji polegającej m.in. na przekazywaniu prawdy o represyjnej polityce Sowiec

następnym pokoleniom, aby znając przeszłość, mogły w sposób świadomy budować przyszłość.

## Tropem artefaktów

Muzeum Katyńskie, oprócz szeroko rozumianej działalności muzealnej, prowadzi także prace naukowo-badawcze. Umożliwiają je, oprócz zbiorów muzealnych, bogate archiwum oraz biblioteki. W skład archiwum wchodzi dokumenty wydobyte z mogił, przekazane przez rodziny materiały dotyczące wykształcenia i kariery zawodowej zamordowanych, losu ich bliskich, zbiór kserokopii dotyczący zbrodni wydany przez stronę rosyjską, zespół dokumentów dotyczących poszukiwań bliskich z Polskiego Czerwonego Krzyża i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz innych organizacji. Odrębną część archiwum stanowią zasoby ikonograficzne, które obejmują zdjęcia zamordowanych, fotografie z rodzinnych albumów ilustrujące życie wojskowe, służbę policyjną, karierę zawodową i życie osobiste ofiar. Drugi dział ikonografii to zbiór zdjęć lotniczych oraz fotografii wykonanych w trakcie prac ekshumacyjnych w Katy-

niu, Charkowie i Miednoje. Kolejną grupę stanowią zdjęcia pamiątek wykonane po konserwacji i rejestracji w księgach inwentarzowych.

Niewątpliwie najcenniejszym elementem zbiorów Muzeum Katyńskiego są artefakty grobowe. Ich wyjątkowość polega z jednej strony na wartości, jaką mają dla rodzin ofiar, dla których są relikwiami, z drugiej zaś na ich wymiarze historycznym – jako bezpośrednich dowodów zbrodni Sowiec. W zbiorach muzeum znajdują się pamiątki wydobyte w 1994 roku w Katyniu, w latach 1991 i 1994–1996 w Charkowie oraz w latach 1991–1995 w Miednoje, jak też najpóźniej przekazane do muzeum artefakty z Bykowni. W tej grupie mieszczą się kartki pocztowe, listy, notatki, gazety, ulotki, bilety, zdjęcia i inne dokumenty wykonane na papierze lub tekturze. Trzon zbioru stanowią dokumenty i banknoty znalezione w grobach Miednoje. Znacznie mniej archiwaliów trafiło do muzeum z Charkowa, z Katynia zaś – ani jeden. Trudno przecenić ich wymiar historyczny. Część dokumentów znajdujących się w zasobie jest możliwa do odczytania wyłącznie w warunkach laboratoryjnych, gdyż tylko niektóre zachowały się w dobrym stanie. Te nieczytelne odzyskują treść dzięki współpracy muzeum z Centralnym Laboratorium Kryminalistycznym Policji w Warszawie. Z dokumentów wy-



Fot. ze zbiorów Muzeum Katyńskiego



(do nabożeństwa, wojskowych, oszczędnościowych itp.) i kalendarzyków, wizytówki, pokwitowania, banknoty o różnych nominałach, fotografie z napisami, bibułka tytoniowe i małe karteczki z adresami rodzin, przygotowane prawdopodobnie dla osób zwalnianych w celu powiadomienia o swoim losie.

Kolejny zespół dokumentów to wykazy nazwisk jeńców zamieszkujących poszczególne sale. Wykazy wydobyte z dołów śmierci zostały wykonane odręcznie przez różne osoby na luźnych kartkach. Przy wielu nazwiskach odnotowano stopnie służbowe i rok urodzenia. Te cenne notatki zostały sporządzone w językach polskim i rosyjskim.

Kartki i listy otrzymywane od rodzin, dzięki możliwości odczytania adresata oraz daty nadania, można – przez porównanie z listami wywozowymi do miejsc kaźni – uznać za najbardziej obciążające pośrednie dowody zbrodni funkcjonariuszy NKWD. W sposób jednoznaczny zaprzeczają one tezie o odpowiedzialności Niemców za śmierć obywateli polskich. Korespondują z nimi przekazane przez rodziny ofiar do Muzeum Katyńskiego kartki i listy, wysyłane do obozów po marcu 1940 roku, które wracały z adnotacją: „Adresata nie odnaleziono”.

Ważnym uzupełnieniem wspomnianej dokumentacji są archiwalia oraz kserokopie różnych dokumentów dotyczące zamordowanych, oddane pierwotnie ty-

► Kartki pocztowe wysłane przez plk. Jana Boronia ze Starobielska

dobytymi w Charkowie szczególnie dobrze zachowały się np.: odnaleziona przy zwłokach Jerzego Sochy lista, na której zostało zapisane ponad siedemdziesiąt nazwisk pułkowników Wojska Polskiego, osiemnaście listów i kart pocztowych oraz trzy wypełnione formularze Biura Informacyjnego Polskiego Czerwonego Krzyża; czytelne są także odnalezione w mogiłach blankiety telegraficzne, blankiety pokwitowania przyjęcia banknotów polskich, gazety w języku polskim i rosyjskim, opakowania machorki.

Dobrze zachowane są również materiały archiwalne wydobyte w Miedno-

je. W zasobach Muzeum znajdują się listy, z czytelnym tekstem i datami, karty pocztowe z odciskami stempli pocztowych oraz daty pisane odręcznie, relacje i fragmenty pamiętników. W jednej z relacji, sporządzonej na niewypełnionych stronach książeczki wojskowej, można prześledzić drogę, która zaprowadziła skazanego do Ostaszkowa. Wymieniając miejsca postoju i środki transportu, autor odnotowuje warunki bytowe oraz nazwiska współwięźniów. Relację kończy pożegnanie z żoną. Takich szczególnie cennych zapisów pamiętnikarskich jest kilka. W zbiorze znajdują się ponadto kolekcje dokumentów należące do kilku osób obejmujące: świadectwa chrztu, metryki ślubu, świadectwa ukończenia kursów, zawiadomienia o mianowaniu, decyzje o przyznaniu medali, różnego rodzaju legitymacje, fragmenty książeczek

► Zdjęcia rodzinne – mjr Jan Boroń z żoną Zofią i córką Janiną

Fot. ze zbiorów Muzeum Katyńskiego



godnikowi „Zorza” i „Tygodnikowi Powszechnemu” (przekazane przez Jędrzeja Tucholskiego do muzeum) oraz nadesłane bezpośrednio. W zbiorze, rozrastającym się przez lata, znajdują się karty pocztowe, telegramy i listy pisane z poszczególnych obozów, kartki z informacjami i adresami przygotowane do przekazania rodzinom, odpowiedzi na zapytania kierowane do Polskiego Czerwonego Krzyża i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża oraz innych organizacji dotyczące poszukiwań bliskich, dokumenty wykształcenia: świadectwa ukończenia szkół i rozmaitych kursów, uniwersyteckie legitymacje studenckie, dokumenty o przebiegu służby i pracy, patenty oficcerskie, legitymacje nadania odznak pamiątkowych.

### Listy obalają anty-Katyń

W zasobach muzeum znajduje się kilka kolekcji ukazujących cały przebieg służby od czasu wybuchu I wojny światowej, aż po drogę do dołów śmierci. Do szczególnie cennych należą zespoły: adiutanta 8. pułku ułanów, rtm. Kazimierza Prus-Skowrońskiego, por. piech. rez. Michała Sagańskiego oraz płk. lek. Jana Boronia. Pokazny zbiór dokumentów tego ostatniego obejmuje 1,5 tys. listów adresowanych do żony Zofii. Pozwala prześledzić nie tylko losy rodziny, lecz także jest świadectwem losów całego pokolenia polskich obrońców Września. Listy kreślą sylwetkę lekarza o duszy naukowca, zainteresowanego medycyną bardziej ze względów badawczo-analitycznych aniżeli pragmatycznych. Boroniowi, jak wielu jemu podobnym, po ukończeniu studiów (wydziału medycznego Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie), nie było dane rozpocząć spokojnej praktyki lekarskiej. Na skutek wybuchu I wojny światowej został wcielony do armii cesarsko-królewskiej. Przez jego pocztę z tamtych lat można zobaczyć front włoski: wydarzenia oraz krajobrazy przed bitwą i po niej, zapoznać się z refleksjami autora na temat życia tamtejszych mieszkańców. Jego dal-

sza korespondencja dotyczy służby Polsce. W listach pisanych do żony porażają informacje o gwałtach czynionych na polskiej ludności przez Moskali. Boroń w swoich relacjach zaświadcza o czynionych spustoszeniach, nierzadko bestialskim postępowaniu wobec jeńców polskich i okrucieństwach w stosunku do cywilów: „Z miasta zostały zgłiszczą. [...] Ludność cywilną zrabowali do ostatniej nitki, wielu wymordowali. Oddawanie bowiem pieniędzy wymuszali rewolwerami. Kobiety gwałcili masowo, nawet dzieci 9-letnie. Włosy stają na głowie, gdy się słucha opowiadań tych ludzi, w których oczach widać dotąd obłęd strachu i rozpacz. [...] Szczęście, że ta horda nie poszła dalej, lecz ucieka teraz w nieładzie na wschód. Byłby to bowiem drugi najazd Dżyngis-chana”.

Na tle opisywanych okrucieństw wyróżniają się opisy postępowania wobec jeńców rosyjskich. Boroń w osobistych listach do żony zamartwiającej się o niego, spostrzegając, że wysoka śmiertelność jeńców jest spowodowana w znacznym stopniu wcześniejszym, krańcowym wyczerpaniem organizmu. Donosił, że efekty leczenia tyfusu salwarsanem u chorujących żołnierzy polskich i armii przeciwnej są nieporównywalne. Polscy żołnierze zdrowieją, podczas gdy czer-

wonoarmiści umierają. Należy dodać, że Boroń, wywodząc się ze środowiska chłopskiego, rozumiał położenie prostych żołnierzy i starał się służyć pomocą wszystkim potrzebującym. Pracując wśród szalejącej epidemii, sam również nie uniknął zakażenia. Rozwój choroby przyspieszało postępujące wyczerpanie fizyczne i emocjonalne. Szczęśliwie jednak udało mu się powrócić do zdrowia.

Tak pisał 9 grudnia 1919 roku z Tarnopola: „Ten cały tyfus plamisty, który roznoszą wszy, nie jest wcale tak straszną chorobą. Można śmiało twierdzić, że hiszpanka pochłoneła więcej ofiar, niż pochłania ich tyfus. Tu szpitale nabite są chorymi na tyfus, a wypadki śmierci są rzadkie. I o ile umierają chorzy, to prawie zawsze są to Ukraińcy (jeńcy), którzy giną więcej z wyczerpania niż choroby samej”.

Należy przyznać, że warunki w stajkach zbornych były, zgodnie z opublikowanymi już dokumentami, trudne. Polska nie zbudowała jednak żadnych nowych obozów, tylko przejęła obiekty stworzone przez Niemców lub Austriaków podczas I wojny światowej. W większości były to obozy ziemiankowe, zniszczone i splądrowane, bez drzwi i okien. Ich stan był tak zły, że wizytujący taki obiekt przedstawiciel Ligi Narodów stwierdził, iż uważa ten obóz za jedną z najstraszniejszych rzeczy, jaką widział w życiu. Zapewne oprócz warunków zakwaterowania miał na myśli dający się zauważyć bałagan organizacyjny i widok nie-

▶ Fragment listu płk. Jana Boronia do żony, pisanego ze Starobielska

Talun i Dr Jan Boronia  
Stacja słonna dwor. por-lek  
do Zofii Boronia  
Tarnopol 9 grudnia 1919  
Losinek Wójczi!

Tysiąc dostatem list Twój - 30 listograde.  
Nadę, że martwin się o mnie chłopie i to sprawie  
mi opomny bol. Dziele nie może sobie wyłazyć  
tego, że tak uarwo odmalowatem Ci, wcz potrosnie  
w pierwszym listach. Do tej nie jest ono wcale  
tak strasne. Spraws mienkienia natatititum  
mnośnie, wikt mam dobry i niedrogi, wos  
do przy- to byle ona detulnas sprawie

Wszystko  
cie re  
Sref san  
jui por  
ma by  
to por  
posk b  
Kur  
mój p  
wnet  
dura  
podm  
Quk  
tak dobre, a  
- dla niego ob-  
"Poznaj Gonka praco i serdecnie poddawiam  
Twój Janek"

dozywionych jeńców w łachmanach, słoczonych w barakach. Te trudne warunki bytowe wspomina także w swojej korespondencji Boroń: „Pierwszy tydzień mojego tu pobytu był rzeczywiście niewesoły. Była i praca ciężka, i niebezpieczeństwo duże [...] szalała tu epidemia tyfusu, szpitale były przepełnione, a w stacji zbornej leżała masa chorych, nie było ich gdzie odstawić dla braku miejsca w szpitalach. Chorzy leżeli często na ziemi, bez pościeli, przy wybitych oknach etc., a co najgorsze – byli nie odwzeleni, więc zatem niebezpieczni. Personel składał się z bandy najemnych cywilnych robotników, z którą nie wiedzieć było jak się zabrać do pracy”.

Korespondencja frontowego lekarza z żoną, powstała nie dla celów propagandowych, jest najlepszym dowodem świadczącym o kłamstwie „anty-Katynia”, czyli propagandy głoszącej, że Polacy mordowali sowieckich jeńców w wojnie polsko-bolszewickiej, przez co starano się relatywizować zbrodnię na polskich oficerach. Listy są dowodem na to, że celem strony polskiej nie było uśmiercenie jeńców Armii Czerwonej. Polacy nie rozstrzelali ani w inny sposób celowo nie uśmiercali przeciwników. Przeciwnie, na miarę możliwości poprawiali zakwaterowanie i spieszyli z pomocą wszystkim chorym, zarówno żołnierzom polskim, jak i wziętym do niewoli.

Opis tamtych trudnych lat przez przyzmat postępowania jednego z wojskowych lekarzy pozwala wnioskować o systemie wartości tej grupy. Wiedza podnosiła prestiż społeczny, a zajmowane stanowisko było rozumiane jako służba człowiekowi, nie

zależnie od zajmowanej pozycji. Mimo wiedzy o bestialstwach Armii Czerwonej, stać ich było na pomoc jeńcom. Za tamtą służbę, nieco ponad dwadzieścia lat później, Sowietci obarczyli ich odpowiedzialnością za śmierć tych, których nie zdołali uratować. Kilkadziesiąt lat później władze rosyjskie porównały obozy dla czerwonoarmistów z „fabrykami śmierci”. To porównanie miało stanowić usprawiedliwienie dla zbrodni dokonanej na polskich obrońcach z września 1939 roku.

### Na nieludzkiej ziemi

Odrębnym zespołem w zbiorach archiwum Muzeum Katyńskiego, o którym należy nieco szerzej wspomnieć, jest dokumentacja przekazana przez rodziny pomordowanych dotycząca ich losów pod dwiema okupacjami. W skład zespołu wchodzi relacje z wielu miejsc pobytu na „nieludzkiej ziemi”, zdjęcia rodzinne, w tym np. z zesłania w głąb Związku Radzieckiego, rozmaite zaświadczenia miejscowe oraz z drogi powrotnej, dowody poszukiwań bliskich – kopie listów i odpowiedzi instytucji międzynarodowych mogących udzielić informacji.

Muzeum Katyńskie podjęło się gromadzenia tej dokumentacji i zarazem dowodów polityki represyjnej Sowietów, gdyż z jednej strony życzeniem rodzin była i jest opieka nad całością spuścizny przekazywanej do jego archiwum, z drugiej zaś niemal jednoznaczny wydaje się związek podjęcia decyzji zamordowania ponad 22 tys. jeńców wojennych i więźniów oraz przeprowadzenia deportacji ich rodzin skazanych na walkę o przetrwanie. Realizacja planów, prawie równocześnie,

zapewniała zniknięcie z mapy byłej II RP ojców rodzin i ich najbliższych oraz krewnych wywożonych zesłańcami transportami w głąb ZSRR. Deportacja rodzin stanowiła też, po części, urzeczywistnienie zamysłu ukrycia przed światem mordu na oficerach, policjantach i więźniach. W sytuacji zmiany adresu znacznie łatwiej było usprawiedliwić utratę kontaktu między bliskimi. Końcowym aktem wysiedleń było zawłaszczenie przez państwo radzieckie mienia pozostawionego przez zsyłanych. W ten sposób władze okupacyjne działały metodą faktów dokonanych nie tylko w warstwie ludzkiej, lecz także w sferze własności. Przez podział mienia po zesłańcach wprowadzano ponadto element moralnej wspólnoty z władzami radzieckimi tych, którzy z niego korzystali. W konsekwencji finalizowano zmiany stanu posiadania i struktury etnicznej oraz trwale depolonizowano zajęte ziemie Rzeczypospolitej. Biorąc pod uwagę wieloletnie zsyłki rodzin, można mówić o dokonanej przez władze radzieckie czystce etnicznej na Kresach. Ofiary trzech obozów specjalnych i więzień Ukrainy i Białorusi miały bezpośredniego kata, dla rodzin katem były czas, miejsce, warunki bytu i niewolniczej pracy, której nie mogli sprostać nawet najsilniejsi.

Z artefaktami grobowymi oraz dokumentami przekazanymi przez rodziny zamordowanych w archiwum muzeum sąsiaduje zbiór kserokopii przekazanych przez stronę rosyjską. Odrębną część archiwum stanowią zasoby ikonograficzne, biblioteczne oraz filmoteka.

Zbiory Muzeum Katyńskiego nie tylko przyczyniają się do zachowania dla przyszłych pokoleń dowodów zbrodni i utrwalenia w pamięci narodowej jednego z największych polskich dramatów XX wieku, lecz także uzmysławiają cynizm polityki sowieckiej wobec Polski. Na tym tle staje się też bardziej zrozumiałe nieustanne kulturowanie narodowych i niepodległościowych tradycji, podejmowanie działań na rzecz uświadomienia, że zbrodnia ludobójstwa ma niezwykle szeroki wymiar historyczny, moralny i ludzki. 🇵🇵

dr Ewa Kowalska – kierownik Muzeum Katyńskiego  
– Oddziału Muzeum Wojska Polskiego

► Patent Oficerski Jana Boronia



W kalendarzu polskich świąt narodowych pojawiła się – wreszcie – nowa karta: 11 lipca. Na Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II Rzeczypospolitej Polskiej wybrano datę, na którą 73 lata temu przypadło apogeum Zbrodni Wołyńskiej. Wtedy na Wołyniu doszło do tzw. krwawej niedzieli – oddziały UPA, członkowie OUN i cywilni Ukraińcy przeprowadzili w 99 miejscowościach akcję, której celem było wymordowanie Polaków. Zginęły tysiące bezbronnych ludzi – tylko za to, że mówili po polsku.



## Dowody ludobójstwa, świadectwo pamięci

Andrzej Brzozowski

**W**ystawa „Polacy – Ukraińcy 1943–1945. »Antypolska akcja« OUN i UPA Bandery. Rzeź wołyńsko-galicyska w dokumentach ukraińskich” skupia się na najkrwawszym okresie konfliktu polsko-ukraińskiego. Ciekawą – a jednocześnie bardzo ważną – cechą wystawy jest to, że autor scenariusza, Mariusz Zajączkowski, za punkt

wyjścia obrał dokumenty ukraińskie. Rekonstruując na tej podstawie rzeź wołyńską, wykorzystał słabiej do pory pokazywane źródła historyczne, a jednocześnie zbudował też, niejako przy okazji, odpowiedź dla tych wszystkich (szczególnie po stronie ukraińskiej), którzy negują tę zbrodnię i odpowiedzialność za nią ukraińskich nacjonalistów. Z przedstawionych dokumentów (a przecież na wystawie nie

wyeksponowano wszystkich) jasno wynika, że głównymi odpowiedzialnymi są Ukraińska Powstańcza Armia (UPA) i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów Stepana Bandery, czyli OUN-B. Autorzy odtwarzają proces decyzyjny, którego rezultatem było ludobójstwo. Widz może prześledzić go od samego początku.

Etap kształtowania się szowinistycznej ideologii widać na przykła-

## Zwiastun „antypolskiej akcji” banderowców na Wołyniu (Luty 1943 r.)

25 lutego 1943 r. [...] w mi. Parosławce [w]k. Włdźmieriskim, krajemcy nacjonalistoi zmięczyli 21 rodzeń Polaków



„W okresie rozpoczęcia rzezi ukraińskich, do kierownictwa ukraińskiego został przypisany [...] wstawił [...] k.p. por. „Zajew” [kuchociński Lech Lada, M. Z., który w ten sposób był oświadczeniem jednego z kierowników ukraińskich: „Z dziełem 1 maja 1943 Ukraińcy przystąpi do powstania zbrojnego”. „Antypolska akcja wojskowa skierowana przeciw okupantowi. Obcocy okupant i ewęgi uważany jest za przejściowego, nie warto więc marnować sił na walkę z nim, gdyż i tak odejdzie. Właściwym przeciwnikiem jest ten co nadchodzi [bolchewizm]. Jeśli chodzi o sprawę polską, obiekt to zagadnienie nie wojskowe, lecz międzynarodowe, rozwiązujemy je więc tak jak Niemcy sprawę żydowską, Główna zaby [Polacy, M. Z. usłuchali wezwania i obiegli za Bugoc”.

Źródło: Instytut Pamięci Narodowej, 2010, s. 101.

## „Antypolska akcja” na Wołyniu kulminacja (lipiec – sierpień 1943)

„21 lipca 1943 r. [...] w mi. Parosławca [w]k. Włdźmieriskim, krajemcy nacjonalistoi zmięczyli 21 rodzeń Polaków

„21 lipca 1943 r. [...] w mi. Parosławca [w]k. Włdźmieriskim, krajemcy nacjonalistoi zmięczyli 21 rodzeń Polaków



dzie publikacji jednego z ideologów ukraińskiego nacjonalizmu i imperializmu, Mychajły Kołodzinskiego, której fragmenty znalazł na tablicy otwierającej wystawę. Tego rodzaju manifesty pojawiały się już przed wojną, ale wówczas skutecznie jeszcze działał wymiar sprawiedliwości – i radykałowie, którzy próbowali je wcielić w życie, trafiali do więzień. Okazję do realizacji ideologii ban-

derowskiej dały II wojna światowa i okupacja niemiecka. Nacjonalści poszli na współpracę z III Rzeszą, Niemcy zaś wykorzystali i wsparli ukraiński nacjonalizm. Narastanie nastrojów – nie tyle antypolskich, bo one istniały w środowisku ukraińskich nacjonalistów od dawna, ile bardziej radykalnych, będących zapowiedzią mordów – pokazują kolejne dokumenty. Jak np. wytyczne ➤

**„Polacy – Ukraińcy 1943–1945. »Antypolska akcja« OUN i UPA Bandery. Rzeź wołyńsko-galicyjska w dokumentach ukraińskich”**  
Scenariusz: Mariusz Zajączkowski  
Recenzenci: Andrzej Leon Sowa, dr Paweł Sasanka  
Koncepcja graficzna wystawy i katalogu: Magdalena Śladecka  
Fotografie współczesne: Magdalena Śladecka

## „Antypolska akcja” w Galicji Wschodniej – początek (lato 1943 r. – zima 1943/1944 r.)

Fragmenty z Włókna (Kamień) i Polacy w Galicji Wschodniej (1943) i próba w Krakowie (1944) z udziałem...

„Jeżeliby Polacy chcieli, wspólnymi siłami obojczyków Polaków i Ukraińców, wstąpiłoby do walki o tymi rozważań. Ale rzecz w tym: że takich Polaków nie ma i nie było, jak nie było Polaków z Polakami [...] tylko wtedy, kiedy w naszym w rykach co najmniej, jakbyśmy już byli tylko wtedy, kiedy...

Wzrost: 180 cm, waga: 70 kg, data urodzenia: 1912 r.

„Zanim skończył się pierwszy etap, w październiku 1943 r. w Krakowie...”

„W stosunku do Polaków było wydane (już przed wrześniem 1943 r.) – M. Z. i wprost rozporządzenie o fizycznej likwidacji wsi polskich (uczestników Armii Krajowej...) [...] jej sympatyków. W efekcie wsi zostały zlikwidowane przez UNW...”

„W sprawie przetrwania wsi polskiej w 1943 r. w Krakowie...”

„Za każdego zabitego Ukraińca karać – M. Z. 10 Polaków, których nie należy rozstrzelać, lecz zarębać siekierami i nie ukrytych porzucić...”



### „Antypolska akcja” na Wołyniu – zacieranie śladów polskości (przełom 1943/1944 r.)

Fragmenty z Włókna (Kamień) i Polacy w Galicji Wschodniej (1943) i próba w Krakowie (1944) z udziałem...

„W sprawie przetrwania wsi polskiej w 1943 r. w Krakowie...”

„Za każdego zabitego Ukraińca karać – M. Z. 10 Polaków, których nie należy rozstrzelać, lecz zarębać siekierami i nie ukrytych porzucić...”



referenta OUN-B z Brzeżan, który w grudniu 1943 roku instruował, aby za każdego zabitego Ukraińca karać śmiercią „10 Polaków, których nie należy rozstrzelać, lecz zarębać siekierami i nieukrytych porzucić”. Antypolską akcją możemy prześledzić niemal dzień po dniu, dzięki meldunkom i sprawozdaniom obojczyków i upowców. Ten wstrząsający opis nie wymaga nawet dokumentacji fotograficznej, jest wystarczająco sugestywny i stanowi wyraźne świadectwo okrutnej zbrodni.

Autorzy wystawy przywołują także sprawiedliwych, których głos jednak był

mało lub zgoła wcale słyszalny. Do zatrzymania masakry nawoływał wówczas greckokatolicki metropolita lwowski, abp Andrzej Szeptycki: „Człowiek, który przelewa niewinną krew swego wroga, przeciwnika politycznego, jest takim samym zabójcą jak ten, który to czyni dla rabunku, i tak samo zasługuje na karę Bożą oraz klątwę Kościoła”. Jego głos ginął jednak w zgiełku pacyfikowanych wsi i kazań wiejskich popów święcących siekiery przeciwko Polakom.

Co ważne, wystawa podejmuje także temat polskiej samoobrony i odwetu

za zbrodnie – również przez pryzmat dokumentów ukraińskich. Na tablicach pojawiają się zarówno opisy akcji przeprowadzonych przez polskie podziemie – Armię Krajową i Narodowe Siły Zbrojne, jak i przez jednostki ludowego Wojska Polskiego po zakończeniu wojny. Odwet Polaków był niekiedy równie okrutny – na miarę zbrodni popełnionych wcześniej przez ukraińskich nacjonalistów i ich sympatyków. Z kolejnych tablic wystawy wylania się obraz nakręcającej się spirali zbrodni.



Wystawę zamykają tablice dotyczące konfliktu pamięci: pokazują pomniki poświęcone wszystkim ofiarom, a także te upamiętniające upowców i banderowców z jednej – oraz żołnierzy polskiego podziemia z drugiej strony. Wystawa IPN ma służyć nie tylko pielęgnowaniu pamięci, lecz także budowaniu dialogu między Ukraińcami i Polakami. Jego fundamentem powinna zawsze być prawda historyczna. 🇺🇦

**Andrzej Brzozowski** – historyk, redaktor naczelny miesięcznika „Pamięć.pl”

**Informacja techniczna:**

37 paneli, wystawa wewnętrzna, dostępna w wersji polskiej i ukraińskiej  
 W celu wypożyczenia wystawy prosimy o kontakt z Oddziałowym Biurem Edukacji Narodowej IPN w Lublinie:  
**Agnieszka Jaczyńska**, 81-536-34-63, [agnieszka.jaczynska@ipn.gov.pl](mailto:agnieszka.jaczynska@ipn.gov.pl)

**Program ekspozycji:**

**Lipiec–wrzesień 2016:** Kluby Garnizonowe jednostek 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej (Elbląg, Braniewo, Giżycko, Bartoszyce, Węgorzewo, Goldap). Informacje o aktualnym miejscu prezentacji wystawy można uzyskać pod numerem tel. 261 31 22 31 (rzecznik prasowy 16. PDZ)  
**Pazdziernik 2016:** Powiatowe Centrum Kultury i Sztuki w Ciechanowie  
**Listopad 2016 – styczeń 2017:** Muzeum Gross-Rosen w Rogoźnicy

# Czego się bali komuniści

Niezależność w myśleniu była z punktu widzenia władz Polski Ludowej cechą ze wszech miar niepożądaną. Nachalna ideologia miała zaszczerpić w Polakach przekonanie, że socjalizm jest jedynym ustrojem, który zapewni im szczęście i dostatek; że jest to system najlepszy i nie do obalenia. Wpajaniu i podtrzymywaniu tego przekonania służyła machina propagandowa, którą tworzyły m.in. ówczesne prasa, radio, a później również telewizja. Aby mieć pewność, że w mediach nie znajdą się treści krytyczne wobec ówczesnej rzeczywistości, władze powołały Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Od tej pory każda informacja, która miała trafić do opinii publicznej, musiała zyskać aprobatę cenzora.

W książce *Rewolucja powielaczy* Jan Olszek udowadnia, że zabiegi władz zmierzające do zastraszenia Polaków i zniechęcenia ich do samodzielnych, często krytycznych sądów, się nie powiodły. Autor skupił się na niezależnych wydawnictwach, które pojawiły się w Polsce w połowie lat siedemdziesiątych i funkcjonowały aż do 1989 roku. Skala, jaką przybrało to zjawisko, była wyjątkowa. Jak podaje Olszek, drugi obieg w Polsce liczył ok. 5,5 tys. tytułów. Dla porównania, w ZSRR pojawiło się ich ok. 300, w Czechosłowacji ok. 80, na Węgrzech ok. 40. Wyjątek stanowiła Rumunia, w której nie ukazywał się żaden samizdat.

Wszystko zaczęło się w Lublinie, gdzie trzech studenci Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: Janusz Krupski, Piotr Jegliński i Bogdan Borusewicz spotkali się na wykładach Władysława Bartoszewskiego. Jego opowieści o konspiracyjnych drukarniach z czasu okupacji zainspirowały studentów „zgodnych w dwóch podstawowych sprawach: że system polityczny w Polsce zdecydowanie im nie odpowiada i że będą z nim walczyć”. Ich determinacja i energia spowodowały, że do Lublina trafił pierwszy powielacz przewieziony z Zachodu przez Wita Wójtowicza, członka grupy teatralnej KUL. Opis podróży sprzętu do Polski jest niezwykle barwny, dość powiedzieć, że Wójtowicz drogę z NRD do kraju spędził, siedząc na wielkiej szpulce, dzięki czemu największa część powielacza pozostała ukryta.

Od zdobycia powielacza do drukowania pisma było jeszcze daleko, zwłaszcza że początkowo doświadczeni przeciwnicy reżimu komunistycznego, tacy jak: Jacek Kuroń, Jerzy Giedroyc i Jan Nowak-Jeziorański, próbowali zniechęcić młodych ludzi do pracy konspiracyjnej. Kuroń pamiętał, że dekadę wcześniej sądzono go za sam zamiar drukowania. Jego argumentacja nie była widocznie przekonująca, skoro studenci „postanowili jednak ten powielacz uruchomić”.

Przełomem w historii polskiego samizdatu był rok 1976 i powstanie Komitetu Obrony Robotników oraz, rok później, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Skupieni wokół tych organizacji działacze wiedzieli, że jednym z podstawowych zadań musi się stać nie tylko obrona represjonowanych, lecz także informowanie Polaków o skali i formach represji. Wkrótce zaczęły ukazywać się pierwsze pisma, takie jak „Komunikat” czy „Biuletyn Informacyjny”, przy których pracowali m.in. Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Jacek Kuroń i Jan Józef Lipski. W dość krótkim czasie na pod-

ziemnym rynku wydawniczym zaczęły pojawiać się kolejne tytuły. Ich zawartość odzwierciedlała nie tylko ówczesną rzeczywistość: strajki, podwyżki, represje wobec protestujących, lecz także światopogląd autorów. Artykuły drukowane w drugim obiegu wypełniały też lukę w wiedzy historycznej Polaków, ponieważ wiele z nich dotyczyło historii zakazanej w szkołach lub celowo zakłamywanej. Dzięki konspiracyjnym drukarzom do szerokiego obiegu trafiły również książki objęte zakazem rozpowszechniania: wiersze Czesława Miłosza i Stanisława Barańczaka, prace Jakuba Karpińskiego, Andrzeja Kijowskiego i wiele innych. Podczas spotkania z pracownikami Niezależnej Oficyny Wydawniczej, czyli słynnej NOW-iej, Miłosz stwierdził: „Trudniej moje książki wydawać, niż je napisać”.

Środowiska opozycyjne były bardzo różnorodne. Tworzyli je ludzie wyraziści, mniej lub bardziej radykalni, zwolennicy różnych metod walki z ówczesną władzą. Ich ideowość i determinacja nieraz powodowały konflikty, ale – jak słusznie zauważył Olszek – „polemiki prowadzone przez opozycjonistów nie przekraczały pewnych granic. Wrogiem były władze PRL i w zestawieniu z tym rozbieżności między różnymi środowiskami, które wyraźnie widać przy lekturze prasy drugiego obiegu, miały mniejsze znaczenie”.

Książka Olszaka porusza wiele wątków i nie sposób wszystkich ich tu wymienić. Należy jednak podkreślić, że autor niezwykle przystępnie przekazał czytelnikom ogromną porcję wiedzy nie tylko o wydawnictwach podziemnych, lecz także o bogatej historii dwóch ostatnich dekad PRL. Przedstawia, jak dynamicznie rozwijała się prasa podziemna przed powstaniem Solidarności, w okresie jej legalnego funkcjonowania i już po wprowadzeniu stanu wojennego. Szczegółowo analizuje poruszane tematy, prezentuje również sylwetki redaktorów. Nie przytłacza jednak czytelnika faktami – chociaż w ich przedstawianiu jest bardzo rzetelny. Żongluje anegdotami, umiejętnie wplata w narrację fragmenty wspomnień bohaterów, a także artykułów, które zamieszczano w podziemnych wydawnictwach. Pokazuje codzienność drukarzy, redaktorów, kolporterów

drugoobiegowej prasy, którzy musieli zmierzyć się nie tylko z niebezpieczeństwem ze strony Służby Bezpieczeństwa, lecz także z trudnościami w zdobyciu papieru czy dostępie do maszyn poligraficznych. A ponieważ potrzeba jest matką wynalazku, okazało się, że walczyć z systemem można było również za pomocą gumki od majtek i pasty „Komfort”. Jak? Zainteresowanych odsyłam do książki.

W *Rewolucji powielaczy* znajduje się wiele anegdotycznych wspomnień, jednak myli się ten, kto sądzi, że to splota poruszany problem. Opracowanie jest rzetelne, a dowcip zawarty w przywoływanych wspomnieniach jedynie je ubarwia. Dodatkowym smaczkiem jest to, że jej bohaterami są postaciami do dzisiaj obecnymi w przestrzeni publicznej.

Mankamentem omawianej pozycji jest mało staranna korekta, a przecież liczy się nie tylko treść, ale i forma. Ten minus nie przysłonił jednak plusów i *Rewolucja powielaczy* z całą pewnością zasłużyła na niedawną nagrodę tygodnika „Polityka”. A co ważniejsze, zasługuje na lekturę. ■

Emilia Świętochowska



Jan Olszek, *Rewolucja powielaczy. Niezależny ruch wydawniczy w Polsce 1976–1989*, wydawnictwo Trzecia Strona, Warszawa 2015, 354 s.



# Biografia czy kronika?

Jacek Krzysztof Danel był pierwszym historykiem, który już przed laty miał wgląd do obszernego archiwum Kazimierza Sabbata w Londynie. Częścią tych materiałów do dziś dysponuje rodzina, a dostęp historyków do tego ważnego źródła do badań nad dziejami emigracji jest utrudniony. Sprawę mogłoby rozwiązać przekazanie zgromadzonych przez Sabbata materiałów do Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie czy do Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Postać Sabbata jego biograf pokazał na szerokim tle historii wychodźstwa. Takie panoramiczne ujęcie ma zalety, ale sprawia, że bohater książki niejednokrotnie gubi się wśród rozmaitych wydarzeń z życia politycznej emigracji. Z pożytkiem dla tematu i czytelnika autor powinien w większym stopniu nadać pracy charakter typowej biografii, a nie koncentrować się na politycznej działalności Sabbata. Danel wspomina, że jego bohater założył firmę „Limba”, zajmującą się produkcją kolder, jednak Sabbat jako emigracyjny biznesmen w ogóle go nie interesuje. Niewiele informacji znajdziemy też na temat Niezależnej Grupy Społecznej, partii, której prezesem przez 26 lat był Sabbat.

Ważniejszymi mankamentami pracy są jednak kronikarski charakter oraz niedostateczna selekcja i analiza zebranego materiału. Niejednokrotnie można odnieść wrażenie, jakby Danel chciał odnotować niemal wszystkie znane mu szczegóły z życia swojego bohatera. Pisząc obszernie o licznych podróżach Sabbata jako premiera, a później prezydenta, wymienia np. nazwiska wielu jego rozmówców, znacznie rzadziej informując o tematyce czy rezultatach tych rozmów. Przy okazji dowiadujemy się, u którego z polonijnych działaczy w Stanach Zjednoczonych czy Australii Sabbat nocował bądź z kim jadł obiad. Mnogość tego typu szczegółików sprawia, że książka rozrosła się do pokaźnych rozmiarów. W rezultacie praca jest miejscami rozwlekła i nużąca w lekturze. Ostatni, blisko dwustustronicowy rozdział o prezydenturze Sabbata ma wprost formę kroniki. Posiłkując się dziennikiem czynności prezydenta, Danel pod kolejnymi datami odnotowuje różnego kalibru wydarzenia z jego życia i działalności.

Irytująca jest bardzo duża liczba literówek i błędów gramatycznych, także w przytoczonych przez Danela cytatach. Skutkiem niestarannej korekty są też błędy w nazwiskach czy nieumieszczenie w indeksie nazwisk niektórych osób występujących w książce. Przykładowo jeden z czołowych działaczy Stronnictwa Pracy, Stanisław Sopicki, w książce i indeksie osobowym występuje jako Sopocki lub Stopicki. Organem prasowym PPS na emigracji był „Robotnik”, a nie „Robotnik PPS”, jak wielokrotnie można przeczytać w książce, choć w bibliografii tytuł pisma wydawanego przez socjalistów został podany poprawnie.

Kazimierz Sabbat był niewątpliwie znaczącą postacią „polskiego” Londynu. Po rozłamie emigracji w 1954 roku na tle sporu o prezydenturę przez 13 lat kiero-

wał działem finansowym konkurencyjnej wobec „Zamku” (obóz prezydencki) Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, a w latach 1967–1972 stał na czele EZN. Po scaleniu obu rywalizujących ośrodków przez 10 lat był premierem rządu RP na uchodźstwie, a przez kolejne trzy – prezydentem. Czy zasłużył również – jak chce Danel – na miano męża stanu? Spośród emigracyjnych prezydentów mężem stanu niewątpliwie był znany dyplomata Edward Raczynski, poprzednik Sabbata na urzędzie prezydenta. Sabbatowi nie można odmówić poświęcenia, zaangażowania, patriotyzmu czy nawet zdolności organizacyjnych, ale to zdecydowanie za mało, by pretendował do miana męża stanu.

Na wyrost jest również opinia Danela, że Sabbat obok Raczynskiego był „jedynym politykiem emigracyjnym, który po 1947 r. znalazł uznanie wśród obcych. Dla polityków i intelektualistów znad Tamizy, znanych z powściągliwości i politycznej poprawności, stał się politykiem, z którym warto było rozmawiać, ponieważ reprezentował znaczną część polskiej emigracji politycznej, która w połowie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku zaczęła odgrywać znaczącą rolę polityczną i gospodarczą nie tylko w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, ale także w Australii i Ameryce Łacińskiej”. Z żadnym z tych stwierdzeń nie sposób się jednak zgodzić. O uznaniu wśród obcych można rzeczywiście mówić w przypadku Raczynskiego, dodałbym jeszcze gen. Władysława Andersa, ale nie Sabbata. Trudno również porównywać rolę i znaczenie Sabbata na emigracji z oboma wspomnianymi politykami. Bohater książki Danela sprawował co prawda najwyższe stanowiska, ale w sychłowym okresie emigracji politycznej. W większości nie żyli już wówczas ci najbardziej znani, zasłużeni, uchodźcza elita. Jeśli chodzi o miejsce emigracji w polityce międzynarodowej, to przełomowe znaczenie miał rok 1945 (wycofanie uznania rządowi RP przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię), a nie wskazany przez Danela 1947 rok (to ważna data, jeśli chodzi o życie we-

wewnętrzne emigracji – początek długoletniego sporu o prezydenturę). Notabene kariera polityczna Sabbata w „polskim” Londynie rozpoczęła się niemal dziesięć lat później. Jacyż to brytyjscy politycy czy intelektualiści byli rozmówcami Sabbata? Ich nazwisk nie znajdziemy w książce. Ta lista ogranicza się co najwyżej do pojedynczych posłów do Izby Gmin. Gdyby na serio potraktować wynurzenia Danela, to mogłoby się również wydawać, że polscy emigranci w połowie lat osiemdziesiątych byli znaczącą siłą w międzynarodowej polityce i gospodarce. Niestety, tak nie było.

Mimo tych krytycznych uwag biografistyka emigracyjna wzbogaciła się o kolejną ważną pracę. Monumentalna, prawie tysiącstronicowa książka przynosi przecież wiele informacji o działalności Sabbata i polskiej emigracji politycznej w Wielkiej Brytanii. Gdyby jednak autor dopracował swoje dzieło i co najmniej o połowę je odchrudził, efekt mógłby być znacznie lepszy. ❄



Jacek Krzysztof Danel, *Oređownik niepodległości. Kazimierz Sabbat 1913–1989*, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2015, 980 s.

# Oblawa w fotografiach

**O**blawa Augustowska to bolesna karta w dziejach Suwalszczyzny i całej północno-wschodniej Polski. W lipcu 1945 roku oddziały sowieckie oraz wspomagające je formacje polskiej bezpieki dokonały w tym regionie masowych aresztowań. Większość spośród 7 tys. zatrzymanych została niebawem zwolniona do domów. Jednak po blisko sześciuset osobach zaginął wszelki ślad. Wiele poszlak wskazuje, że ludzie ci zostali bestialsko zamordowani. Zawierający unikatowe materiały album *Nowe zniewolenie*, przygotowany pod redakcją Ewy Rogalewskiej przez Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku, to książkowa wersja wystawy pod tym samym tytułem, zaprezentowanej po raz pierwszy w 2015 roku.

Praca składa się z dwóch części. Pierwsza obejmuje trzy teksty merytoryczne. Druga, obszerniejsza, w całości została poświęcona fotografiom i dokumentom. Niewątpliwym atutem publikacji jest jej dwujęzyczny charakter. Tekst w językach polskim i angielskim złożono w dwóch równoległych kolumnach. Na angielski przetłumaczono ponadto wszystkie opisy materiału ilustracyjnego. Dzięki temu prostemu zabiegowi wiedza o Oblawie Augustowskiej ma szansę zaistnieć nie tylko w międzynarodowym obiegu naukowym, lecz także – co może nawet ważniejsze – w szerszej świadomości społecznej na świecie. Zaznaczyć bowiem należy, że w PRL pamięć o tej tragedii była urzędowo zakazana i tłumiona, podobnie jak pamięć o Zbrodni Katyńskiej.

We wprowadzającym tekście *Wyzwolenie czy okupacja?* Marcin Markiewicz scharakteryzował sytuację polityczną na ziemiach polskich od pierwszych miesięcy 1944 roku do początku lat pięćdziesiątych, czyli w okresie siłowego instalowania w Polsce władzy sowieckiej. Opisał zbrodniczą działalność sowieckich oraz miejscowych, polskich organów bezpieczeństwa. Oblawę Augustowską słusznie w tym miejscu przedstawił jako integralną część opisanego procederu. Niezbyt obszerny artykuł Markiewicza z konieczności zawiera wiele uproszczeń, jednak bardzo dobrze zarysowuje kontekst wydarzeń opisanych w dwóch kolejnych opracowaniach.

Barbara Bojaryn-Kazberuk w tekście *Siedemdziesiąt lat poszukiwań* przypomniała m.in. o tym, że Oblawa Augustowska była największym mordem na Polakach popełnionym po II wojnie światowej i największą tego typu zbrodnią w Europie do czasu wybuchu krwawego konfliktu w Jugosławii na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Bardzo cenny jest także opis udziału poszczególnych formacji sowieckich i polskich. Interesujące są zwłaszcza rozważania na temat domniemanego miejsca pochówku ofiar, do dzisiaj nieodnanego – mimo wysiłku badaczy, społeczników i polityków. Bojaryn-Kazberuk podkreśliła pozytywną rolę, jaką w próbie wyjaśnienia okoliczności zbrodni odegrała współpraca z rosyjskim Stowarzyszeniem Memorial i badaczem Nikitą Pietrowem.

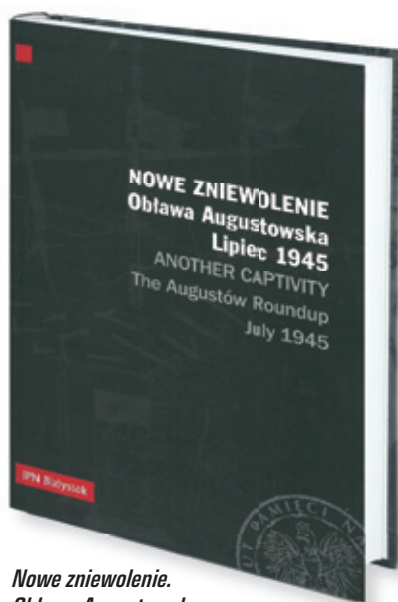
W artykule *Oblawa Augustowska. Wspólnota pamięci* Ewa Rogalewska zwróciła uwagę na dychotomię pamięci charakterystyczną nie tylko dla opisywanego przypadku. Mimo że w PRL temat Oblawy Augustowskiej oficjalnie był skazany na zapomnienie, to – podobnie jak w przypadku

Katynia – nie dało się po prostu zmusić ludzi do wymazania tragicznych wspomnień. Odnalezienie w 1987 roku masowego grobu pod Gibami na skraju Puszczy Augustowskiej stało się katalizatorem działań, nad którymi słabnący reżim komunistyczny nie był już w stanie zapanować. Mieszkańcy Suwalszczyzny byli przekonani, że odnalezione szczątki należą do ofiar prześladowań z 1945 roku. Chociaż prace ekshumacyjne i ekspertyzy nie potwierdziły podejrzeń, odtąd powszechnie domagano się wyjaśnienia losów zaginionych. Na fali oczekiwań zawiązał się Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 roku. Kilkunastoosobowa grupa składała się z miejscowych opozycjonistów i osób z Warszawy. Dokumentowali oni historie zaginionych, zbierając setki relacji rodzin i świadków wydarzeń z 1945 roku. Rezultatem pracy komitetu była nie tylko walka o wyjaśnienie okoliczności tragedii, lecz także praca dokumentacyjna. W 1991 roku komitet doprowadził do wzniesienia w Gibach pomnika zaginionych.

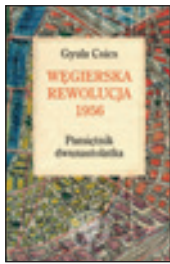
Po obaleniu komunizmu i odzyskaniu przez Polskę suwerenności Oblawa Augustowska przestała być tematem tabu, stała się przedmiotem badań oraz licznych upamiętnień. Jak słusznie zauważyła Rogalewska, najbardziej jednak doskwiera brak możliwości postawienia kropki nad „i” w postaci odnalezienia ciał ofiar zbrodni. Mimo starań Instytutu Pamięci Narodowej nie udaje się nawiązać współpracy z władzami Białorusi, na której terenie prawdopodobnie pochowano zamordowanych Polaków.

Omówione teksty, bardzo wartościowe merytorycznie, są wobec siebie komplementarne. Stanowią one jednak tylko bardzo ważny wstęp do zasadniczej części publikacji: reprodukcji dokumentów, map, afiszy, ulotek oraz fotografii. Są to zarówno materiały ilustrujące klimat epoki, jak i bezpośrednio dotyczące Oblawy Augustowskiej oraz prób upamiętnienia. Najbardziej przejmujące są fotografie przedstawiające przyszłe ofiary wraz z krótkimi biogramami przygotowanymi m.in. na podstawie pracy Alicji Maciejowskiej *Przerwane życiorysy – Oblawa Augustowska lipiec 1945* (IPN, Białystok 2010). Ta część pracy – i słusznie – jest najobszerniejsza. Równie wstrząsające wrażenie wywierają dokumenty, niejednokrotnie publikowane po raz pierwszy, pozwalające czytelnikowi wyrobić opinię o sprawcach zbrodni oraz jej okolicznościach.

Album jest bardzo ważnym i potrzebnym opracowaniem, o walorach zarówno naukowych, jak i popularyzatorskich. Pamięć o Oblawie Augustowskiej zasługuje na stałe podtrzymywanie, podobnie jak pamięć o innych tego typu zbrodniach popełnionych w imię ideologii narzucanych przemocą. Publikacja z całą pewnością zajmie miejsce obok najważniejszych prac poświęconych najnowszej dziejom północno-wschodniej Polski. Dla rodzin ofiar książka będzie bezcenną pamiątką, śladem życia i okrutnej śmierci bliskich. Dla wszystkich zainteresowanych album będzie wszakże potwierdzeniem sensu upartego dążenia do poznania prawdy historycznej. Do ustalenia jej wbrew przeciwnościom, koniunkturam i naciskom. 📖



*Nowe zniewolenie. Oblawa Augustowska. Lipiec 1945/Another Captivity. The Augustów Roundup. July 1945*, red. E. Rogalewska, IPN, Białystok 2016, 335 s.



■ Gyula Csics, *Węgierska rewolucja 1956. Pamiętnik dwunastolatka*, red. J. Tischler, IPN, Warszawa 2016, 280 s.



■ Ryszard Kotarba, *Niemiecki obóz w Płaszowie 1942–1945. Przewodnik historyczny*, wyd. II poprawione, IPN, Kraków 2016, 88 s.



■ Mariusz Sawa, *Ukraiński emigrant. Działalność i myśl Iwana Kedryna-Rudnyckiego (1896–1995)*, IPN, Lublin 2016, 379 s.



■ Krzysztof Drażba, *Urna to jest taki priak. Wrzucisz „nie”, wychoździ „tak”. Referendum z 30 czerwca 1946 roku w Polsce na przykładzie województwa gdańskiego*, IPN, Gdańsk 2016, 156 s. + 24 s. wkł. ilustr.



■ Arkadiusz Kutkowski, *„... jak my ich nienawidzimy”. Represje sądowe po radomskim Czerwcu 1976 r.*, IPN, Lublin 2016, 377 s.



■ *Solidarność Walcząca w dokumentach*, t. 2, cz. 1: *Materiały własne*, wybór, wstęp, oprac. K. Dworaczek, G. Waligóra, IPN, Warszawa 2016, 628 s.



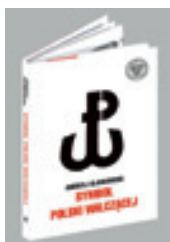
■ Justyna Dudek, *Marian Gołębiowski (1911–1996). Żołnierz, opozycjonista, emigrant*, IPN, Lublin 2016, 382 s.



■ *Kwestia ukraińska w działalności Służby Bezpieczeństwa PRL. Dokumenty i materiały*, wstęp, oprac. A. Słabig, IPN, Warszawa 2016, 702 s.



■ *Szczecińskie posiedzenie KKP NSZZ „Solidarność”, 18–19 listopada 1980 r.*, wstęp, wybór, oprac. A. Kubaj, IPN, Szczecin 2016, 302 s.



■ Andrzej Gładkowski, *Symbol Polski Walczącej*, IPN, Warszawa 2016, 168 s.



■ *Non omnis moriar. Abp Ignacy Tokarczuk we wspomnieniach*, red. M. Krzysztofiński, IPN, Rzeszów 2016, 472 s. + 32 s. wkł. ilustr.



■ Bogusław Tracz, *„Zachodźże czerwone słoneczko”. Wybory '89 w województwie katowickim*, IPN, Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, Katowice 2016, 80 s.



■ Piotr Grzelczak, *Poznański Czerwiec 1956. Walka o pamięć w latach 1956–1989*, IPN, Wydawnictwo Nauka i Innowacje, Poznań 2016, 584 s.



■ *Nowe zniewolenie. Oblawa Augustowska. Lipiec 1945/Another Captivity. The Augustów Roundup. July 1945*, red. E. Rogalewska, IPN, Białystok 2016, 335 s.



■ Marek Wierzbicki, *Harcerz, żołnierz, obywatel. Zygmunt Lechosław Szadkowski (1912–1995)*, IPN, Lublin 2016, 255 s.



■ *Klio na wolności. Historiografia dziejów najnowszych w Polsce po 1989 roku*, red. M. Kruszyński, S. Łukasiewicz, M. Mazur, S. Poleszak, P. Witek, IPN, Lublin 2016, 391 s.



■ Krystian Pielacha, Jarosław Kuczyński, *Do ostatniej kropli krwi. Major Marian Bernaciak „Orlik” 1917–1946*, Warszawa 2016, 334 s. + płyta *Kronika oddziału majora Mariana Bernaciaka „Orlika”*.



■ Bogusław Wójcik, *Młodzież antysystemowa w Polsce południowo-wschodniej w latach 1957–1989. Wybór dokumentów*, IPN, Rzeszów 2016, 660 s. + 16 s. wkł. ilustr.

Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:

w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki  
PRZYSTANEK HISTORIA, ul. Marszałkowska 21/25,  
00-628 Warszawa, tel. 22 576 30 05  
i w księgarniach IPN: ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa,  
al. Grunwaldzka 216, 80-266 Gdańsk.

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie [www.pamiec.pl](http://www.pamiec.pl) przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane obok.

Sprzedaż wysyłkowa publikacji

Zamówienia można składać telefonicznie:  
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;  
faks 22 581 89 77  
pocztą zwykłą na adres IPN  
pocztą elektroniczną: [joanna.pamula@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pamula@ipn.gov.pl);  
[joanna.pszczola@ipn.gov.pl](mailto:joanna.pszczola@ipn.gov.pl)  
lub w księgarni internetowej: [www.ipn.pocztytaj.pl](http://www.ipn.pocztytaj.pl)

# „Od niepodległości do niepodległości”

najpopularniejsze kompendium wiedzy o historii Polski XX w.

150 000 rozpowszechnionych egzemplarzy

*było na papierze*



*jest w Internecie!*

## www.Polska1918-89.pl

Elektroniczna wersja książki „Od niepodległości do niepodległości”

- + materiały z zasobów portalu edukacyjnego IPN **pamięć.pl**
- + publikacje z Biblioteki Cyfrowej
- + ponad 2000 artykułów, e-booków, filmów materiałów edukacyjnych, fotografii i innych
- + przejrzysta szata graficzna
- + prosta nawigacja



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ